

Ile płacimy za szaleństwo „obrońców klimatu”
– przedstawiamy rachunek

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 3/306 14–20 STYCZNIA 2019

Awantura o Muzeum Getta
Warszawskiego

**ZNÓW ATAK NA ORBÁNA
CO NAPRAWDĘ
DZIEJE SIĘ
NA WĘGRZECH**



Gmyz o arabskich gangach,
które rządzą Berlinem

WOJCIECH CEJROWSKI DLA „DO RZECZY”:

Polsce należy się niepodległość



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



9 772299 850000

Nakład: 79 tys. egzemplarzy

cyfrowa.pl 1485523cca

NOWOCZESNY SPOSÓB NA NOWE AUTO!

SIXT *drivesmart* by 

Unikalny program długoterminowego najmu samochodów opracowany wspólnie przez Sixt rent a car oraz BP. W naszej ofercie znajdziesz bogato wyposażone auta wielu marek w każdym segmencie. Okres najmu od 6 do 24 miesięcy. Po zakończeniu umowy po prostu zwracasz nam auto i wybierasz nowe. Proste i nowoczesne!

TYLKO
750 zł
MIESIĘCZNIE



Fiat 500
bp limited edition

TYLKO
1060 zł
MIESIĘCZNIE



Toyota Yaris

Wyróżnia nas niska opłata miesięczna, bez kosztów wstępnych oraz szeroki wachlarz świadczeń zawartych w cenie:



Ubezpieczenie

pełne ubezpieczenie AC/OC



Assistance 24h

pomoc drogowa 24h



Opony

opony letnie i zimowe



Serwis

przeglądy, serwis, naprawy



Karta paliwowa

paliwa w korzystnej cenie

Więcej informacji na www.sixtdrivesmart.pl

eprasa.pl 1485523cca



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Koszty braku alternatywy

Niedługo może się okazać, mówiąc nieco ironicznie, że dzień, w którym nie przeczytałem informacji o kolejnym liście ambasador USA w Warszawie Georgette Mosbacher, będę musiał uznać za dzień stracony. Pisze bowiem pani ambasador dużo, często i bez zahamowań. W grudniu „Do Rzeczy” ujawniło list wysłany do premiera Mateusza Morawieckiego w sprawie TVN, później okazało się, że pani ambasador interweniowała też w kwestii listy leków refundowanych, ustawy o transporcie oraz spółki PKP Energetyka. Za każdym razem, co łatwe do przewidzenia, ambasador Mosbacher broni interesów poszczególnych firm amerykańskich, które mogłyby ucierpieć wskutek zmian legislacyjnych. Występuje w imieniu a to Discovery (właściciel TVN), a to Ubera, a to firmy Roche. I za każdym razem, jeśli wierzyć doniesieniom mediów, jest skuteczna. Najlepiej widać to po losach tzw. ustawy repolonizującej media: nawet nie chce mi się przypominać wszystkich tych buńczucznych i stanowczych oświadczeń polityków PiS, którzy nagle, po słowach pani ambasador, musieli położyć uszy po sobie i ogłosić, że

koncepcja dekoncentracji mediów się nie sprawdziła i żadnej ustawy nie będzie.

Nie wiem, szczerze mówiąc, czy zachowanie pani ambasador aż tak bardzo odbiega od działań przedstawicieli innych placówek zagranicznych w Polsce. Zakładam, że podobnie choćby o interesy swoich firm zabiegali przedstawiciele pozostałych silnych państw – na pewno było tak choćby w przypadku najpierw zawartego, a następnie zerwanego kontraktu na caracale. Również wtedy ambasador Francji dwoił się i troił, broniąc pozycji Paryża. Być może inni robią to nieco bardziej subtelnie, mniej przyciągając uwagę opinii publicznej. A może nie.

Tym, co jest tak niebezpieczne, nie jest jednak tylko postępowanie ambasador Mosbacher, ale reakcja (reakcje) władz. Krótko mówiąc, wygląda na to, że polscy politycy godzą się na to, by ich strofować, pouczać, a niekiedy wręcz narzucać rozwiązania, których wcześniej nie chcieli. Powód takiego zachowania jest oczywisty: ponieważ polskie władze uczyniły z sojuszu z USA filar swojego bezpieczeństwa i ponieważ uznają, że za wszelką cenę trzeba doprowadzić do stałej obecności wojsk amerykańskich w Polsce,

to będą robić wszystko, by stosunków z USA nie zadrażniać. Skoro rządząca prawica uprawia politykę „bezalternatywną”, to musi zjeść tę żabę do końca. Skoro każda wątpliwość co do braku alternatywy jest uznawana za akt zdrady lub przejaw ignorancji, to po prostu trzeba grzecznie robić, co pani Mosbacher każe.

Powstaje jednak wiele kolejnych, niewygodnych pytań. Najważniejsze chyba brzmi tak: Jeśli głównym i zasadniczym powodem oparcia się na USA jest bezpieczeństwo i niepodległość Polski, to co zrobić w sytuacji, kiedy koszty takiego oparcia będą rosły i rosły? Czy jest w ogóle jakaś granica, czy też zakłada się, że korzyści amerykańskie i polskie zawsze będą tożsame? Co będzie w sytuacji, kiedy ambasador USA, reprezentujący już nie Donalda Trumpa, ale inny, lewicowy rząd, zajmie się nie obroną amerykańskich firm, ale – jak to było za czasów Baracka Obamy – promocją ideologii gender i ruchów homoseksualnych? Albo jak polski rząd zareaguje, kiedy okaże się, że ceną za przyjaźń USA będzie uległość wobec potężnych żydowskich organizacji domagających się gigantycznych pieniędzy za tzw. mienie bezspadkowe? Inaczej: Jakie są maksymalne koszty, które Polska gotowa jest ponieść za podtrzymanie przyjaźni z wielkim bratem zza oceanu?

Szkoda, że takich pytań nikt nie zadaje. Przechodzi się nad nimi do porządku dziennego albo mówi się, że taki czarny scenariusz nie może się ziścić. Oby tak było. Chociaż śmiałość i rozległość działań pani ambasador wskazuje na co innego. Wygląda na to, że Amerykanie uznali, że Polska nie ma innego wyboru, jak tylko wisieć u pańskiej (waszyngtońskiej) klamki i pokornie prosić o obronę, sownie za nią płacąc. Doprawdy, niedobrze to wróży polsko-amerykańskiemu partnerstwu. ©

RYСУNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA
14 ROZMOWA Z WOJCIECHEM CEJROWSKIM
POLSCIE NALEŻY SIĘ NIEPODLEGŁOŚĆ
 Wolę mieć kręgosłup niż plecy

KRAJ

20 KAMILA BARANOWSKA
EUROPEJSKIE PUZZLE
 Co planują Salvini i Kaczyński

22 PIOTR SEMKA
CENNA SZCZEROŚĆ LEWICY

25 WOJCIECH WYBRANOWSKI
URYWANIE CHADECKIEJ KOTWICY

28 ŁUKASZ WARZECHA
**PRAWY PROSTY,
 LEWY SIERPOWY**

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
GLĄTWA PIS

32 MARCIN MAKOWSKI
MUZEUM, KTÓRE UWIERA

36 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
MIĘDLARYZM

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
CUDOWNE DZIECKO SZACHÓW

40 ŁUKASZ ZBORALSKI
NIEBEZPIECZNE ZABAWY

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
ŻYCIE, ŚMIERĆ I PEŁNIA KSIĘŻYCA
 „Detektyw” – więcej niż powtórka z rozrywki

44 ROZMOWA Z AUTORKĄ BIOGRAFII
 HENRYKA GÓRECKIEGO
**BŁOGOSŁAWIONA WOJNA
 GÓRECKIEGO**

46 ŁUKASZ CZARNECKI
CHOPIN U STÓP FUJI

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 WALDEMAR ŁYSIAK
VATICANUM SATANICUM?
 O najnowszych książkach Pawła Lisickiego

58 FILIP MEMCHES
SPÓR O „RUSKĄ AGENTURĘ”

HISTORIA

62 ROZMOWA Z DR. DANIELEM WICENTYM
SB OD ŚRODKA
 Patologie w służbach PRL

65 JACEK KOMUDA
BOHATER SPOD ZBOROWA

ŚWIAT

68 ROZMOWA
 Z DR. HAB. MACIEJEM SZYMANOWSKIM
SOROS NIE ODSUNIE ORBÁNA OD WŁADZY
 Dyrektor Instytutu Współpracy Polsko-
 -Węgierskiej: Fidesz rozhuśtał węgierską
 gospodarkę

72 CEZARY GMYZ
CZYJ TEN BERLIN?

76 JACEK PRZYBYLSKI
SOCJALIŚCI NA KAPITOLU

EKONOMIA

80 TOMASZ WRÓBLEWSKI
KLIMATYCZNA HIPOKRYZJA
 Ile płacimy za szaleństwo „obrońców klimatu”
 – przedstawiamy rachunek

84 ROZMOWA Z CEZARYM KAŻMIERCZAKIEM
PRZEDSIĘBIORCY CZEKAJĄ NA PRZEŁOM

STYL

88 TOMASZ CUKIERNIK
BIAŁA NATURA
 Na Grenlandię jachtem

O ZDROWIU

90 ROZMOWA
 Z KS. MARKIEM CHRZANOWSKIM
PO LUDZKU NIE DA SIĘ WYTŁUMACZYĆ
 Cuda w medycynie

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu krytyka i krytyka... krytyki. Tej „dla zasady”. E-maile do działu listy prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Warszawa – poligon totalnej opozycji”, „DRz” 2/2019

Droga Redakcjo, jako mieszkanie Warszawy dziękuję za poruszenie tematu skracania stolicy w lewo. Odkąd tamto wydanie trafiło do czytelników, pojawiło się kilka nowych pomysłów, które mogą świadczyć o tym, że pytanie postawione w „Do Rzeczy” – „Czy Warszawa obok Poznania będzie tęczęwą wyspą?” – ma sens.

Jestem zaskoczony ideą utworzenia i finansowania przez miasto „hostelu dla osób »nieheteronormatywnych«” pod płaszczykiem tworzenia „azylu bezpieczeństwa dla osób, które nie mogą go znaleźć gdzie indziej”. Przypomnę, że taki hostel w Warszawie prowadziła jedna z fundacji, ale przestała. A teraz jest pomysł, by płacili za niego warszawiacy. I nie rozumiem, dlaczego osoby „nieheteronormatywne” (jak się chcą definiować) mają być traktowane inaczej/lepiej niż reszta społeczeństwa. Czy nie mogą korzystać z oferowanych przez państwo wszystkim Polakom jednakoowo służb i instytucji? Oczywiście nie popieram przemocy ani jakiegokolwiek formy dyskryminacji ludzi ze względu na orientację seksualną, ale jestem też przeciw temu, by orientacja seksualna dawała dodatkowe przywileje, za które jeszcze mam płacić ze swoich podatków. Jeśli takie miejsce jest potrzebne, a osób „nieheteronormatywnych” jest w Polsce tak dużo, jak twierdzą te środowiska, to nie powinno być najmniejszego problemu ze sfinansowaniem takiego miejsca przez te środowiska.

To jednak dopiero początek. Mrozi mnie dążenie postępowych radnych do utworzenia w Warszawie „darmowego całodobowego gabinetu ginekologicznego bez klauzuli sumienia”. Martwi mnie, że marzy im się miejsce, w którym pod osłoną nocy i za pieniądze miasta można poprosić o aborcję. „Nocny ginekolog bez klauzuli sumienia” nasuwa jak najgorsze skojarzenia.

Pozdrawiam czytelników „Do Rzeczy”

Jan z Warszawy

Nie idźmy tą drogą

Szanowna Redakcjo! Jestem Waszym czytelnikiem „od zawsze”; co oznacza, że tytuł „Uważam Rze” stał mi się obcy od 2012 r. Jestem raczej tylko odbiorcą, ale jedna z kwestii poruszonych w ostatnim numerze 2/2018 m.in. w felietonie Pana Łukasza Warzechy sprowokowała mnie do napisania tego listu.

Stusnie wszyscy nabijamy się z naszych ulubionych ulubieńców z POKO, że zagłosują nawet za własną anihilacją, byle przeciwko PiS-owi, jeżeli ten będzie miał odmienne zdanie. Nie idźmy jednak tą drogą i nie powielajmy tej idiotycznej metody.

Chodzi mi o fajerwerki w okresie okołosylwestrowym i ich wpływ na zwierzęta domowe.

Znaczna część stworzeń, które trzymamy w domach, na co dzień kochamy i których miłości doznajemy, boi się huk. Szaleństwo, które akurat w mojej podwarszawskiej okolicy zaczęło się w święta Bożego Narodzenia i zakończyło ostatecznie dopiero w Trzech Króli, jest dla tych zwierząt niezwykle uciążliwe. Tak się składa, że w mojej rodzinie jest kilka psów, które zostały narażone bezpośrednio na huk petard i wystrzały rakiet. Część zniosła to zgodnie z receptą Pana Redaktora Warzechy – jako psy myśliwiśkie trochę poszczekały, i po krzyku. W przypadku dwóch – jednego sportowego, rasowego, z sukcesami itd. oraz drugiego wielorasowego podrzutka (dosłownie – suczkę przerzucono przez płot, wychodząc z założenia, że jeśli ktoś ma sześć psów, to i siódmego przyjmie...) – powstał poważny problem. Przez kilka dni po kanonadzie psiaki te bały się wyjść na dwór; co powodowało zrozumiałe kłopoty związane chociażby z codziennymi kwestiami fizjologicznymi.

Nie każdy pomysł tych wstrętnych lewaków i totalsów jest idiotyczny. Nie zachowujemy się jak oni. Zastanówmy się za każdym razem, czy nie da się od każdego ściągnąć czegoś sensownego. I nie krytykujemy w czambuł wszystkiego tylko dlatego, że powiedział to Owsiak czy Trzaskowski. Nie musimy od razu chwalić ani wynosić pod niebiosa. Nie dajmy się jednak wciągnąć w nie najgłębsze „nie, bo nie”. Wychodzi bowiem na to, że mamy do zaproponowania to samo co oni. A tak przecież nie jest, czego chyba dowodzi cała pozostała treść numeru.

Piotr Grochulski z Konstancina



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji),
Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociak, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojarczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cendekiewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Coś (Bruksela), Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym), Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Toraniński, Matthew Tymand, Szwach Weiss, Piotr Włoczek, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Magdalena Złotnicka** (także TVP Warszawa), **Jan Fiedorczuk**
Współpracuje: **Milosz A. Łodowski**
Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wojtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krystofa**
Okładka: **W.Cejrowski Ltd.**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polska Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 79 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie Innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Brytyjczycy nie kapitulują

Z dzieciństwa utkwiała mi w pamięci książeczka jakiegoś czeskiego autora, który pisząc z punktu widzenia ośmioletka, najpierw narzeka, że dorośli wszystkiego dzieciom zabraniają, krzyczą, gdy zje się czekoladę przed obiadem, irytują się, jak pociecha pogłaska bezpańskiego pieska, i nie pozwalają wybiegać na podwórko w trykotowej koszulce bez szalika. Potem autor w imieniu dziecka-narratora solennie sobie obiecuje, że jak już dorośnie, to odreaguje wszystkie zakazy. W końcu jednak nasuwa mu się pytanie: No dobrze, ale przecież dorośli mogą te wszystkie zakazane rzeczy robić, a jednak tego nie czynią. Dlaczego? „Muszę kiedyś ich o to spytać”.

Przepraszam za ten przydługi wstęp, ale przewrotne przesłanie poczytywanej książeczki przypomina się mi, ilekroć czytam europoprawne komentarze na temat postawy brytyjskiej Partii Konserwatywnej wobec brexitu. Dlaczego wyspiarze wytrwali przy decyzji o wyjściu z Unii, mimo że większość postępowego świata straszy ich skutkami tej decyzji? Dlaczego tak starannie omija się temat ich motywacji?

Zegar odmierzający czas do daty końca obecności Wielkiej Brytanii w UE już dawno tyka. Do 29 marca (magicznej cezury stu dni) jest już znacznie mniej czasu, a porozumienia rozwodowego z UE nie ma. Theresa May nie ma ochoty na dalsze błaganie unijnych tuzów o jakieś ustępstwa. Po stronie eurofanatyków można usłyszeć tylko mściwy ton: Nie będzie dealu? Dobrze, niech dumny Albion pozna cenę opuszczenia UE. A tak w ogóle to „Brytyjczycy zwariowali”, w kampanii „wprowadzono wyborców w błąd”, a „Putin tylko zaciera ręce”. Politolodzy ze smutkiem kiwają głowami. Głoszą, że upór Londynu jest efektem nostalgii za minioną „imperialną sławą”.

Także w Polsce nie ma zbyt wielu chętnych do próby zrozumienia Brytyjczyków. PiS jak ognia boi się oskarżeń o chęć polexitu i unika deklaracji zrozumienia dla Wielkiej Brytanii. A politycy PO wróżą, że Londyn wróci, skamłając do Unii po roku czy dwóch latach załamania gospodarczego. A jednak Brytyjczycy podejmują ryzyko twardego brexitu. Nie spełniły się prognozy, że londyńskie City zmusi torysów,

by błagali o przebaczenie Junkera i Timmermansa.

Faktem jest, że wiele z przepowiedni głoszących poważne kłopoty brytyjskiej ekonomii już po samym referendum i zapowiedzi wyjścia z Unii się nie spełniło. Wiem jedno – torysi odrzucili propozycje umowy z Brukselą jako stan, w którym nie straciliby już korzyści z integracji z Europą, za to przez wiele lat musieliby znosić rozmaite formy uzależnienia od Brukseli. Wolą ostry brexit. To ryzyko, ale i dowód odwagi. Budzi też szacunek jasne stanowisko Theresy May, która odrzuca wezwania do powtórnego głosowania nad brexitem. Jak wskazuje brytyjska premier, podważyłoby to zaufanie wyspiarzy do jakichkolwiek referendów w przyszłości.

Gdyby podobna sytuacja zdarzyła się w Polsce, chór autorytetów prawniczych uzasadniałby potrzebę powtórzenia referendum na ten sposób.

Brytyjscy konserwatyści podjęli ryzyko. Może to wstęp do jakiejś gry z Brukselą, a może niepodległościowa determinacja. Jednak Londyn nie ulega histerii nakręcaną przez eurodogmatyków. Zobaczmy, kto wygra w tej grze na czas. ©©

Chińczyk i Polak zatrzymani za szpiegostwo

Funkcjonariusze Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego zatrzymali w zeszłym tygodniu dyrektora sprzedaży na Polskę chińskiej firmy Huawei Weijinga W. oraz Piotra D., byłego wysokiego rangą oficera ABW, byłego pracownika Orange i Urzędu Komunikacji Elektronicznej.

„Z materiałów zgromadzonych przez ABW wynika, że obaj prowadzili działalność szpiegowską przeciwko Polsce. W ramach prowadzonego śledztwa funkcjonariusze dokonali niezbędnych czynności procesowych, m.in. przesłuchania mieszkań podejrzanych oraz

zabezpieczenia dowodów” – poinformował rzecznik prasowy ministra koordynatora służb specjalnych Stanisław Żaryn. Sąd zdecydował o aresztowaniu zatrzymanych na trzy miesiące. Jeśli zostaną uznani za winnych, to grozi im 10 lat więzienia. Ministerstwo Spraw Zagranicznych w Pekinie wyraziło „głębokie zaniepokojenie” w związku z aresztowaniem chińskiego obywatela.

„Spółka Huawei jest świadoma zaistniałej sytuacji i na bieżąco ją obserwuje. Na razie nie udzielamy komentarza w tej sprawie. Spółka Huawei przestrzega

wszystkich obowiązujących praw i przepisów w krajach, w których prowadzi działalność. Ponadto od każdego swojego pracownika Spółka Huawei wymaga stosowania się do przepisów prawnych oraz zasad obowiązujących w krajach, w których firma ma swoje oddziały” – napisała spółka w przesłanym „Do Rzeczy” oświadczeniu.

Wcześniej rząd Nowej Zelandii, Australii i USA nie zgodziły się, aby chińska spółka Huawei brała udział w budowie sieci 5G, powołując się na względy „bezpieczeństwa narodowego”. (jap) ©©

Dzika histeria

Z Jackiem Podgórskim, dyrektorem Instytutu Gospodarki Rolnej, rozmawia Damian Cygan



DAMIAN CYGAN: Czy odstrzał dzików, o którym mówią teraz wszyscy, będzie skutecznym sposobem na zatrzymanie ekspansji ASF?

JACEK PODGÓRSKI: Nie ma takiej pewności, natomiast na pewno odstrzał sanitarny prowadzony na taką skalę, jaką zaplanowało Ministerstwo Środowiska, ogromnie przyczyni się do nierozprzestrzeniania się tego wirusa, więc mamy szansę w jakiś sposób zahamować rozwój tej choroby. To się udało np. w Estonii.

Czym jest odstrzał sanitarny?

Niczym nadzwyczajnym. Już podobne interwencje środowiskowe w swojej historii prowadziliśmy.

W Niemczech także strzelano do dzików z powodu ASF. I to na szeroką skalę.

No właśnie. U nas ekolodzy ogromnie protestują przeciwko odstrzałowi dzików, natomiast nie wyrażali się negatywnie o odstrzale na terenie Niemiec, a wyniósł on ok. 830 tys. sztuk. To jest cztery razy więcej niż planowany sanitarny odstrzał w Polsce. W przypadku kornika drukarza było tak, że na wstrzymaniu wycinki otuliny Puszczy Białowiejskiej zyskał drugi największy producent drewna w UE, czyli Niemcy. W tym przypadku Niemcy także będą pierwszym naturalnym beneficjentem

rozwoju ASF w Polsce. Oni zrobią wszystko, żeby ta choroba nie przekroczyła Odry, natomiast myślę, że całkiem na rękę byłoby im osłabienie sektora trzody chlewnej w naszym kraju. Dlatego na protesty przeciwko odstrzałowi dzików patrzę jako na sprawę o charakterze politycznym.

A list naukowców do premiera?

To jest dokument, pod którym podpisało się 500 pracowników uczelni wyższych. Po pierwsze, nie wszyscy z nich mają tytuły naukowe wyższe niż magister. Po drugie, na palcach dwóch rąk policzymy naukowców, którzy mają choćby cokolwiek wspólnego z przyrodą. Nie są to też specjaliści od zagrożeń epidemiologicznych.

Na temat odstrzału dzików prezydent Andrzej Duda ma rozmawiać z ministrami rolnictwa i środowiska. Czego pan się spodziewa po tym spotkaniu?

Myślę, że prezydent i panowie ministrowie powinni stanąć na wysokości zadania i wypracować wspólny program po to, żeby w okresie do marca, bo to jest absolutnie kluczowe, zakończyć odstrzał sanitarny dzików.

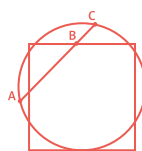
W tym temacie przypomina mi się jeszcze sytuacja z 2015 r. Wtedy ówczesny minister rolnictwa w rządzie koalicji PO-PSL Marek Sawicki zapowiadał odstrzał dzików w woj. podlaskim, właśnie wtedy, kiedy w Polsce zaczął występować ASF, do zera. Dzisiejsze plany rządu przewidują 0,1 dzika na 1 km kw., dlatego krytykowanie tych założeń przez opozycję jest mało logicznym rozumowaniem. ©©

Architektura niepodległości w Europie Środkowej

9.11.2018 —
10.02.2019



Wystawa



**MIĘDZYNARODOWE
CENTRUM
KULTURY**

Galeria Międzynarodowego Centrum Kultury
Rynek Główny 25, Kraków
wtorek–niedziela 10.00–18.00

www.mck.krakow.pl



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Kochane CO₂

Rzecznicy dbałości o środowisko naturalne i zasoby, zwolennicy „czystej”, ekologicznej energii, do bólu zatroskani o planetę i klimat – przynajmniej ci związani z Polską – mają powód, żeby się cieszyć i świętować. Po wieloletniej batalii udało się jednej z polskich fundacji zgromadzić środki, głównie z Unii Europejskiej, podpisać umowę

z możliwych. Ciekawskim pozostawiam obliczenie, o ile mniej dzięki temu zostanie posłanych do atmosfery pyłów, siarki i innych toksycznych produktów spalania, a bodaj tylko samego dwutlenku węgla, tak bardzo trapiącego liczne organizacje i szefów państw, gromadzących się regularnie na szczytach klimatycznych.

Odziwo – radości zupełnie nie widać. Przeciwnie, środowiska epatujące swym entuzjazmem dla modnego w postępowym świecie „klimatyzmu” nie tylko się nie cieszą, lecz także nie potrafią powstrzymać zgrzytania zębami. Wszystko dlatego, że toruńską geotermię wymyślił i buduje znienawidzony ksiądz Rydzyski. I dlatego to, co w innym wypadku budziłoby ich radość, doprowadziło je do paroksyzmu wściekłości. Znienawidzony ksiądz dostał kasę i zezwolenia, jego potęga jeszcze bardziej urośnie – co za hańba! Jaki skandal!

To nic, że wbrew propagandzie pieniądze na geotermię nie pochodzą wcale od polskich podatników (chyba że pośrednio), tylko z funduszy Unii, i że wcale nie dał ich redemptoryście rząd PiS, tylko sąd, unieważniając decyzję rządu Ewy Kopacz i stwierdzając, że była ona czystą szykaną, bo fundacja Lux Veritatis spełniła wszystkie wymagania, którymi unijne dofinansowanie było obwarowane. Szaleństwo nienawiści jest po stronie totalnej opozycji tak... totalne właśnie, że jeśli znienawidzony ksiądz robi coś dobrego dla środowiska – to na pochybel środowisku, precz z ekologią, a dwutlenek węgla kochany jest i niech nam żyje!

Cóż, pozostaje „totalnym” zapisać sobie nazwiska tych sędziów, a w następną zimę demonstracyjnie wyłączyć kaloryfery i na złość Rydzyskiemu odmrozić sobie... no, powiedzmy, jak w starym porzekadle – uszy. ©@

Jeśli znienawidzony ksiądz robi coś dobrego dla środowiska, to na pochybel środowisku, precz z ekologią

z firmą energetyczną, dopiąć inne formalności i rozpocząć geotermalne odwierty w Toruniu. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, niedługo już miasto to będzie co najmniej w jednej piątej ogrzewane w sposób najbardziej ekologiczny



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Dresiarze z Czerskiej

Gazeta Wyborcza” i szerzej pojęte środowisko bliskie ulicy Czerskiej słynie ze zgodnego z europejskimi zasadami, iście genderowego szacunku do kobiet i ich praw. Nie od dziś upomina się o parytety, wspiera feministyczne działania i promuje panie, które zdaniem liberalno-lewicowego lobby przebiły szklany sufit. Pełno więc w niej „profesorek”, „naukowczyń”, w najgorszym przypadku „kierowczyń”, jakby użycie męskiej formy zawodu odbierało owym paniom część chwały. Ale są też i „dwórki” czy „faworytka prezesa”, jak najbliższe współpracownice prezesa NBP określała „GW” w ar-

tykułach Dominiki Wielowieyskiej i Romana Imielskiego czy twitterowych komentarzach Bartosza Wielińskiego.

Abstrahuując od kwestii wysokich zarobków współpracowniczek prezesa Glapińskiego, bo te rzeczywiście budzą wiele wątpliwości, pojawia się pytanie, co sprawiło, że lewicowo-liberalni publicyści uznali, że akurat tym paniom – inaczej niż np. katechetce Teresie Piotrowskiej, szefowej MSWiA za rządów PO-PSL, czy Joannie Musze, kierującej w rządzie Tuska resortem sportu – elementarny, wynikający także z płci szacunek nie przysługuje? Że można je, obraźliwymi

określeniami, zgłanować w stylu prymitywnego dresiarza, po czym dobić kampanią hejtu rozpętaną w mediach społecznościowych?

Po wulgarnych komentarzach pod adresem prof. Krystyny Pawłowicz czy Beaty Szydło – wszak to publicysta „GW” z zapałem nie tak dawno komentował i powielał na Twitterze wpis internetowego trolla, w którym była premier określono mianem „suki prezesa” – można powiedzieć nihil novi. Seksizm? Też, ale przede wszystkim brak szacunku do kobiet, do samego siebie, do czytelnika. A co na to feministki, bojowniczeki o prawa kobiet?

I tylko cisza woła. ©@



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Znacie? To posłuchajcie

Bardzo dawno temu, pierwszego dnia pracy w Polskiej Sekcji BBC w Londynie, jeden z szefów pokazał mi redakcję, mówiąc: „Tu dziennikarze pracują”, a następnie zaprosił

dają zawsze w ten sam sposób: na zaproszonego konserwatystę czeka trzech adwersarzy, którzy wraz z prowadzącym natychmiast rzucają się na nieszczęśnika. Gdy jakimś cudem uda mu się wyartykułować celną kontrę, prowadzący wzywa na pomoc reklamę. Można śmiało podejrzewać, że SKY24 oglądają wyłącznie wyznawcy jedynie słusznych, postępowych poglądów. Wszystkim innym po pięciu minutach obcowania ze stacją grozi apopleksja.

Przez kilka dni SKY24 zgodnie z wyżej opisanym scenariuszem pastwił się nad tzw. ustawą bezpieczeństwa, która znacznie ograniczyła przyznawanie prawa pobytu i ochrony z powodów humanitarnych, bo praktycznie otrzymywali je niemal wszyscy przybysze z Afryki. Kilku lewicowych burmistrzów (m.in. Neapolu, Mediolanu i Florencji), a także szefów regionów (Sycylia, Toskania) postanowiło ustawę zbojkotować i/lub spowodować, by pochylił się nad nią Trybunał Konstytucyjny.

Po kilku dniach egzorcyzmów, młotkowania propagandą i tak – wydawałoby się – przekonanej publikacji stacja postanowiła zadać ustawie cios ostateczny: klikany sondaż wśród widzów. Rezultaty odebrały dziennikarzom mowę na dłuższą chwilę, bo przestali rozumieć świat, a raczej ideologiczny kokon, w którym żyją: 65 proc. pochwaliło ustawę, a 20 proc. nie miało zdania.

Dawno się tak nie ubawiliśmy. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Mądrości etapu

Hatakumba dzików, NBP, „neofaszysta” na kawie u prezesa, rozdział Kościoła od państwa – czego na Twitterze w minionym tygodniu nie było? A ponieważ w płataninie wątków, zaorań i ripost można się było pogubić, zapraszam na selektywną podróż po „the best of”. Na start Arkadiusz Myrcha. „**!WAŻNE!** PIS wycofuje się z zakazu hodowli zwierząt futerkowych. To ewidentnie sprzeczne z dotychczasowym stanowiskiem Prezesa Kaczyńskiego. Kolejny Ruch PIS zaostrożający kurs!” – zakrzyknął poseł. Tylko w jaki sposób pozostawienie obecnych przepisów powiązał z zaostrożeniem kursu, pozostanie tajemnicą.

Podobnie jak tajemnicze są ścieżki, którymi chadza logika Tomasza Lisa. Oto np. w marcu 2018 r., gdy Barbara Nowacka składała do Sejmu projekt ustawy rozdziałającej boskie od cesarskiego, pisał: „Jak się chce świeckiego państwa, to trzeba wygrać wybory, a nie szykować kolejną ustawę, która wylądnie na śmietniku”. Natomiast w styczniu 2019 r., gdy Barbara Nowacka ponownie ruszyła z identyczną inicjatywą, odparł: „I to jest to, zamiast »progresywnego« bajania – konkrety. Barbara Nowacka zmierzy się z religią w szkole”. Gdzie tkwi sekret autorefleksji? W dwóch literach: KO.

Radykalną metamorfozę ideową przeszła również jedna z aktorek. „Grażyna Wolszczak niedawno zaangażowała się w akcję #pozywamzasmog. Dziś rano poinformowała, że pozew wobec Warszawy zostanie wycofany. Dziękuję za zaufanie wobec programu walki ze smogiem. Działajmy wspólnie. Wszystkie ręce na pokład! – informował triumfalnie Rafał Trzaskowski. „Wielki dzień dla Warszawy. Nie ma już smogu. Programu wyborczego ze 100% dopłatą do wymiany pieców też nie ma” – przygasił jednak nieco nastroje Patryk Jaki.

A teraz Sławomir Nitras o spotkaniu Kaczyński – Salvini. „Gdybym miał szukać analogii, to musiałbym powiedzieć, że to jest tak, gdyby w latach 30. polski rząd zawierał jakieś tajne porozumienie z rządem Mussoliniego”. „Z Mussolinim bym uważał, Panie Sławomirze. W końcu to Alessandra Mussolini, wnuczka duce, zasiada w Parlamencie Europejskim w jednej grupie z Platformą. Jeszcze gotowa się obrazić :)” – odparł Tomasz Kowalski. Jak to z historią trzeba ostrożnie, prawda? ©©



WEŻ ODDECH

Celebryci jak co roku prześcigają się w pomysłach, co oddać na licytację Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, by okazać światu swą dobroć i wspańiałości. Jak co roku przewijają się suknie ślubne, kreacje z konkretnych imprez, autografy, kolacje w cztery oczy i takie tam. W tym roku absolutnym hitem miał się okazać przedmiot wystawiony przez Małgorzatę Rozenek i jej małżonka Radosława Majdana. Na aukcję mieli ponoć ofiarować naszyjnik z wisiorkiem, w którym zamknęli swoje oddechy. „Ten naszyjnik jest zrobiony z rodwanego srebra, żywicy oraz... oddechów Małgorzaty i Radosława Majdanów. W jednej kuli zamknięte są dwa potężne żywioły idealnie uzupełniające się nawzajem. Ten naszyjnik łączy w sobie diabelską energię i anielski spokój. To jedyny taki amulet celebrycji życia, dystansu do siebie, perfekcyjnego stylu i idealnej harmonii!” – czytamy opis aukcji, która została rozreklamowana przez wszystkie plotkarskie portale. Niestety, państwo Majdan, którzy przebywają obecnie na wakacjach, wstawili do Internetu filmik, w którym informują, że jedynymi przedmiotami, które przekazali na aukcję WOŚP, są ich plecaki z programu „Azja Express”. Plecaki z oddechami czy bez? Jak żyć bez tej informacji?

ZAPOWIEDZIANA NIESPODZIANKA

Jakub Kucner, Mister Polski i aspirujący celebryta, opowiada o początkach swojego związku z obecną dziewczyną Karoliną. Opowiada, że poznali się cztery lata temu, gdy po raz pierwszy zgłosił się do konkursu piękności, przy którym pracowała Karolina. – Ważyłem ponad 90 kilo. Przyjechałem i patrzę, że chłopaki mają wypracowane sylwetki, a ja na ich tle jestem lekkim grubaskiem. W głowie miałem tylko jedną myśl: „Co ja tutaj robię?”. Wziąłem się wtedy za siebie. Kosztowało mnie to sporo pracy, ale się opłacało. Po trzech latach od wysłania pierwszego zgłoszenia na konkurs zostałem Misterem Polski – opowiada w jednej z kolorówek. Na szczęście wszystko się dobrze skończyło i Kucner planuje wkrótce oświadczyć się swojej wybrance. – Oświadczyć się jej w takich okolicznościach, żeby było i romantycznie, i niepowtarzalnie – mówi. – Ale oczywiście ta chwila będzie dla Karoliny niespodzianką – dodaje. Dobrze, że uprzedził w gazecie o tej niespodziance. Dziewczyna ma czas, żeby poćwiczyć zaskoczenie!



ZNAĆ UMIAR

Ilona Felicjańska, modelka, celebrytka, autorka thrillera erotycznego i poradników o tym, jak dobrze żyć, jakiś czas temu przyznała się do choroby alkoholowej. Przyznała się w kilkudziesięciu wywiadach prasowych, telewizyjnych i internetowych. A także w iluś kolejnych poradnikach. Wszędzie podkreślała, że z nałogiem sobie poradziła. Dlatego gdy media obieły zdjęcia celebrytki z kieliszkiem w dłoni, rozgorzały spekulacje, czy aby na pewno u niej wszystko w porządku. Celebrytka postanowiła odnieść się do tego w wywiadzie udzielonym portalowi Plejada. – Nie, absolutnie nie wróciłam do picia – zaprzecza. – Tak, spróbowałam prosecco, to był pierwszy raz po siedmiu latach. Bałam się reakcji rodziny, że oni nie rozumieją i że to oni znów będą się bać. Wy tłumaczyłam im – mówi. – Jeszcze bardziej poznałam siebie i mój umysł. On mówi: tak, napij się, napij, będzie fajnie, a ja już wiem, że nie będzie. Ja nie chcę się już niczego bać. Jest to kwestia świadomości. Jedno, czego nadal nie potrafię, to nie mam umiaru – wyznaje. W szczegółowym informowaniu całego świata o swoim życiu – na pewno.



POMARZYĆ KAŻDY MOŻE

Blogerka modowa i idolka nastolatek Jessica Mercedes pojechała na wakacje na Bali. Tam została okradziona. Wyrwano jej z rąk torebkę, w której miała nie tylko pieniądze, lecz także dokumenty, w tym paszport. Pojawił się więc problem z powrotem celebrytki do kraju. Cały czas Jessica relacjonuje swoją trudną sytuację na Instagramach i innych Snapchatach. – Byłam na spotkaniu w konsulacie i jest źle. Dzwoniłam do nich tydzień temu, że chcę przyjechać, oni ustawili moje spotkanie na za tydzień, po czym mówią mi dziś, że potrzebują od tygodnia do dwóch na wyrobienie paszportu. Dobrze wiedzieli, kiedy mam lot powrotny, mówiłam im, że zależy mi na natychmiastowym spotkaniu – opowiada. Dalej mówi, że jedyne wyjście, jakie jej zaproponowano, to „wejściówka do Niemiec”. Będzie więc musiała kupić nowy bilet, wylądować w Niemczech i stamtąd dostać się do Polski. – Masakra, jestem wściekła! – mówi rozszalona. A co, jeśli Jessica stamtąd nigdy nie wróci? No co, pomarzyć zawsze można! ©©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, styczeń to tradycyjnie miesiąc, w którym podkarpackie dzieci pamiętają o swoich osobobabciach i osobodziadkach z okazji ich święta.

My natomiast jesteśmy ostrożniejsi i na wszelki wypadek nie będziemy składać życzeń naszym osobodziadkom. Są tego dwie główne przyczyny: nie chcemy nikogo dyskryminować ani tym bardziej wskazywać palcem ze względu na wiek, a po drugie – nie wiemy, czy nasi osobodziadkowie nie są „age fluid” i czy przypadkiem jednego dnia nie utożsamiają się z pokoleniem millenialsów, a kolejnego nie czują się jednak bardziej baby boomers.

Stąd też nie wiadomo, czy 21 i 22 stycznia osobodziadkowie czują się rzeczywiście osobodziadkami i czy nie urazilibyśmy ich uczuć kwiatkiem i bombonierką. A zatem szanując ich indywidualne wybory wiekowe, nie będziemy się narzucać.

W trosce o świeckie państwo musimy zaapelować do mediów i polityków, iżby przestali nazywać pracownice NBP, o których zarobkach jest ostatnio tak głośno, „aniołkami Glapińskiego”. Dziwi nas, iż wcześniej żadna z formacji lewicowych nie dostrzegła tego problemu. Naszym zdaniem niedopuszczalne jest po pierwsze nazywanie waginoosób „aniołkami”, jako iż jest to wyraźne nawiązywanie do wierzeń chrześcijańskich, a pracownice instytucji publicznej nie powinny być przyrównywane do postaci z jakichkolwiek wierzeń.

Po drugie wskazywanie, iż waginoosoby są czyjeś, to promowanie patriarchatu i tworzenie szklanego sufitu, co można całkiem słusznie zakwalifikować jako dyskryminację. Poza tym jesteśmy przekonani, iż biały heteroseksualny mężczyzna na takim samym stanowisku i tak zarobiłby więcej – tylko dlatego,

iż jest białym, heteroseksualnym i uprzywilejowanym mężczyzną.

W wielu szkołach odbywają się tzw. próbne matury. W ogóle co to jest? Co ma sprawdzić próbna matura – czy uczeń jest w stanie przystąpić do normalnej matury? Nie podoba nam się to, ponieważ naszym zdaniem matury w ogóle są zbędne i jeśli mamy dbać o odpowiedni poziom wykształcenia społeczeństwa, to nie możemy młodym ludziom rzucać kłód pod nogi i uniemożliwiać im podjęcia studiów. O ile więc zwykła matura to fashysm, iż wymaga mocno subiektywnej wiedzy, a w nauce, jak np. w socjologii miasta czy gender studies, nic nie jest stałe, a zmiany są dynamiczne, to próbna matura jest już fashysmem do kwadratu. Jedyne, co powinna sprawdzić, to czy osobouczeń jest w stanie się podpisać czy dobrać odpowiedni kolor długopisu. I tyle wystarczy. ©©

REKLAMA

NOWY SERIAL

WIELKA MIĘDZYNARODOWA KOPRODUKCJA

ROZBITE MARZENIA

1918 1939

Poniedziałek 21:55

Z cyklu zasłyszane. To nie jest tak, że tylko senator Jan Maria Nudy-
sta Jackowski oraz Gowin uważają,
iż szef NBP Adam Glapiński jest
wizerunkowym kłopotem władzy.
W efekcie karierę zaczyna robić zdanie
„Glapiński to taki Rostowski PiS-u”.
Wcale nie wyszło z ust polityka Eine
Totalopposition. Nie puentujemy – nie
ma potrzeby, pewne rzeczy puentują się
same.

Podoba nam się nazwa

Koalicja Europejska.

W skrócie KE.

Tak jak Komisja Europejska

My już rozwiązaliśmy zagadkę
NBP. To nie Adam Glapiński
ponosi odpowiedzialność za
wynagrodzenia w banku centralnym
oraz za styl, w jakim pracownicy NBP,
z nim samym włącznie, komunikują się
ze światem. W książce Kaczora Dyktatora
znaleźliśmy takie wspomnienie stycznia
1993 r.: „Nastrój był świetny. Bardzo
ciekawe rozmowy trwały przez cały czas.
Szczególnie Adam Glapiński potrafił
o najróżniejszych sprawach interesująco
i dowcipnie opowiadać”. Sprawa jest
prosta. Ktoś podmienił Glapińskiego.
O tym, którego widać ostatnio w
telewizji, na pewno nie da się bowiem
tego wszystkiego napisać.

Im bliżej wyborów do europarlamentu,
tym więcej złych ludzi. Ostatnio na
przykład ujawnili się tacy, którzy
uważają, że nawet żywe legendy polityki
europejskiej mogłyby ustąpić miejsca
nowym kandydatom. Ponieważ Richard
Henry Czarnecki jest bez wątpienia taką
żywą (i dość wszechdobylską) legendą, żli
ludzie opowiadają, że i on usłyszał taką
sugestię. Ci sami żli ludzie mówią, że
Richard walczy.

WKrakowie sprawa prosta i nic nie
zmieniło się od ustaleń grudnio-
wych: jedynką będzie wicepre-
mier Bełata, którą kocha lud, dwójką
prof. Legutko, którego kochają studenci
oraz Kaczor Dyktator, a trójkę ma
wypełnić Solidarna Polska. Słyszeliśmy
o obrzydliwym planie wstawienia tam

Patryka Jakiego, żeby nie przeszkadzał w
Warszawie w byciu jedynką prof. Krasno-
dębskiemu.

Poszukiwania wrogiego agenta trwa-
ją. To z kolei najkrótsze podsumo-
wanie sytuacji w ministerstwie ro-
dziny, pracy i 500 plus. Chodzi o chryję z
ustawą o przemocy domowej. A było tak:
jeszcze w kwietniu 2018 r. wszystko było
zapięte na ostatni guzik i gotowa ustawa
czekała na dalsze prace, tyle że chwilowo
ją wstrzymano. Są też wiewiórki, które
czytały ją jeszcze w lipcu, i też wszystko
było tam w porządku. A potem „tadam”!
I pojawiła się w „Biuletynie informacji
publicznej” rządu z poprawkami, których
nikt wcześniej nie widział.

Z życia Eine Totalopposition. Niedziel-
ne czytania z Pisma zastąpiono tam
codziennymi czytaniem
z Parucha. Profesor kierujący Centrum
Analiz Strategicznych stał się bowiem
dla POKO źródłem nieocenionej wiedzy
o planowanych działaniach PiS, opowia-
dając dziennikarzom obszernie o tym, co
trapi Polaków, a co nie, i jak zamierza to
wykorzystać PiS, żeby wygrać wybory.
Cała nadzieja w tym, że prof. Paruch ich
zwodzi.

W związku z powyższym czujemy się
tak, jakby czas cofnął się o lat 10.
Pamiętamy bowiem, jak dawno,
dawno temu, kiedy jeszcze głównymi
spin doktorami PiS byli Misio Kamiński
oraz Adam Bielan, co pół roku ogła-
szano nową strategię PiS, która miała
poprowadzić partię Kaczora Dyktatora

ku zwycięstwu. Strategie owe ogłaszano
zwykle w wywiadach prasowych panów
spinów, dzięki czemu nie były w stanie
zaskoczyć nikogo.

Witamy na rynku nową siłę. To Ko-
alicja Europejska. Znak firmowy:
liderzy wszystkich partii oprócz
Peło umówili się, że nie będą prowadzili
z Grzegorzem Ludojadem Schetyną
żadnych rozmów osobno, bo ich zje.
Tylko wspólnie. Mamy nadzieję, że także
z przyzwoitkami.

Podoba nam się nazwa Koalicja
Europejska. W skrócie KE. Tak jak
Komisja Europejska. Widać od razu,
że nowy sojusz chce być Polsce równie
pomocny.

Mamy nadzieję, że w wyborach do
Sejmu koalicja zmieni nazwę na
Koalicja Polska, bo to jednak Sejm
polski, a nie europejski.

Złonet odkrył, że Grzegorz Ludojad
Schetyna sonduje możliwość
wystawienia najśłynniejszego
lekarza polskiej wsi, Kosiniaka-Kamysza,
jako kandydata nie tylko na premiera,
lecz także na prezydenta. Złonet musiał
to odkryć w archiwalnych numerach
„Do Rzeczy”, bo dwa miesiące temu
pisał o planie, wedle którego lider
ludowców ze wzgardą odrzucił samo-
rządowe umizgi PiS, bo obiecano mu, że
będzie kandydatem „wszechpozycji” na
prezydenta w roku 2020.

Dwa ciekawe dialogi z kukistami.
Pierwszy: „Co słychać u waszego
byłego posła Jakubiaka Marka?”
– zagajamy. „Coś go ostatnio mniej
w mediach” – dodajemy. „Taki był
właśnie plan” – szczerzy zęby radośnie
wpływowy kukista. Drugi: „No to wam
Jakubiak robi teraz konkurencję wśród
antysystemowych narodowców” – zaga-
jamy. „Prędzej zostanie wiceministrem
w MON” – szczerzy radośnie zęby wpły-
wowy kukista. Jak widzicie, pierwszy
dialog był taki serio, a drugi żartobliwy.
A może odwrotnie?

Mimo wszystko wątpimy, by
wiceministrem mógł zostać ktoś,
kto nie pamięta, czy był w PZPR,
czy nie. Chociaż premierem mogła zostać
Ewka Kopacz, która nie pamięta, czy była
w ZSL.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Apropos MON. Im bardziej Michał Dworczyk dementuje, że do MON nie idzie, tym bardziej widzą go tam źli ludzie. Co jednak z Mariuszem Błaszczakiem? Im bardziej dementuje, że nie chce być marszałkiem Sejmu, tym bardziej widzą go tam źli ludzie.

Zżycia mediów. „GazWyb” mobilizował w miniony czwartek swoich prenumeratorów, rozsyłając dramatyczne e-maile: „Zaprotęstuj przeciw masakrze dzików!”. Najlepsze fragmenty: „Kto do dzików dzisiaj strzela, ten się w piekle poniewiera!”, „Możecie symbolicznie włączyć się w akcję, zmieniając zdjęcie profilowe na portret dzika” oraz „Mamy nadzieję, że los dzików nie jest Wam obcy”. Wzdychamy, wspominając stary PRL-owski rysunek Andrzeja Mleczki, którego stroskany bohater mówi: „Żeby chociaż przy wszystkim było napisane, czy to na poważnie, czy dla jaj”.

My w sprawie chryi o książkę Radka Sknerusa Sikorskiego. Na początek gratulujemy kolegom z „Dziennika Gazety Prawnej”, którzy na jej przeczytanie potrzebowali zaledwie dwóch miesięcy. My wciąż czytamy. Im dłużej czytamy, tym bardziej rozumiemy, że Polska może być też gorsza.

Jaki „Pdh”, jaka „Pani”,
Wypraszam sobie, ja
jestem kobietem!



Stary PRL-owski rysunek Andrzeja Mleczki – bohater mówi: „Żeby chociaż przy wszystkim było napisane, czy to na poważnie, czy dla jaj”

Radek jak zwykle był spóźniony, bo przed nim swoje książki zdążyli wydać Bart Simpson Sienkiewicz oraz Piotr Niemczyk. Sienkiewicz zatytułował swoją „Państwo teoretyczne”, więc musiał pisać z pobudek autobiograficznych. Niemczyk dał swej tytuł: „Szósta rano: Kto puka?: Jak ojczyzna Solidarności zmienia się w państwo policyjne” i dał na okładce rekomendację PRL-owskiego

oficera SB pseudo Vincent Severski.

Tymczasem w resorcie dyplomacji. Wszyscy zachodzą w głowę, z jakich to powodów Piotr Naimski (nie mylić z Niemczykiem), znany antykomunista, zabiega o przedłużenie kadencji na stanowisku ambasadorskim Henryce Mościckiej-Dendys, która urzęduje w Kopenhadze. Za czasów słusznie minionego reżimu sprawowała ona funkcję zastępcy Radka

i Grzegorza Ludojada. Jednak szczególnie zapamiętano, że uczucia, jakie wyrażała po katastrofie smoleńskiej, były dalekie od żałobnych.

Apropos MSZ. Jest to resort, który od dekad prowadzi politykę prorodzinną. W dyplomacji pracuje już czwarte pokolenie rodziny Bolesława Bieruta. Nikogo nie dziwi też, że pracownicy zwracają się do siebie per ciociu, wujku czy tato, mamu. Mamy pikantny szczegół. Tego typu przypadków byłoby znacznie więcej, gdyby w Polsce były legalne małżeństwa osób tej samej płci. Cóż, to powszechny trend w dyplomacji światowej. Na przykład przedstawiciel Trumpa w Berlinie to jawny gej. Cieszy, że Polska podąża za trendami światowymi. ©©

REKLAMA

SUPLEMENT NOWEJ GENERACJI!

„Tajna broń celebrytów i ludzi ze świata mody”

Harrods



Poznaj Esthechoc korzystając z ekskluzywnej zniżki!

Tylko dla Czytelników Do Rzeczy 50% rabatu.

Wejdź na www.esthechoc.com/pl, wpisz kod „Dorzeczy”.
Promocja trwa do 31.01.

esthechoc
CAMBRIDGE BEAUTY CHOCOLATE

Pierwszy na świecie suplement diety w formie ciemnej czekolady

Naukowo udowodniona poprawa metabolizmu skóry już po 3 tygodniach kuracji

10 lat badań i testów klinicznych w Cambridge, UK

Z Wojciechem Cejrowskim,
komikiem, pisarzem i przedsiębiorcą
mieszkającym w Arizonie;
człowiekiem, którego wszyscy
wywalają
rozmawia Maciej Pieczyński



Polsce należy się niepodległość

MACIEJ PIECZYŃSKI: Krzysztof Czabański obiecał, że Wojciech Cejrowski wróci na antenę TVP Info w styczniu. Mijają kolejne czwartki, siadam przed telewizorem, ale pana nie widzę. Szef Rady Mediów Narodowych spełni obietnicę czy może jednak pana wywalili?

WOJCIECH CEJROWSKI: Nie po to mnie w grudniu wywalali, żeby mnie teraz przywracać. Pan Czabański okazał się w tym przypadku trochę naiwny. Moim zdaniem wyleciałem trwale. Od miesiąca zajmuję się już czymś innym. Kilka biznesów czekało w kolejce, to teraz się nimi zajmuję. Telewizja pożera dużo czasu i mało płaci. Teraz mam więc znowu dobry czas na biznes. A Rachoń da sobie radę beze mnie, zdolny jest.

W niewyemitowanym przez TVP fragmencie rozmowy z Michałem Rachoniem spalił pan flagę (a właściwie logotyp, niepodlegający ochronie prawnej) Unii Europejskiej. Według Jacka Kurskiego to był „tandetny happening”, noszący znamiona „antypolskiej prowokacji”, godzący w polską rację stanu. Pan ma całkowicie odmienne niż prezes TVP poglądy na UE. Czy w takim razie, odpowiadając Kurskiemu, powiedziałby pan, że to właśnie PiS działa wbrew polskiej racji stanu, akcentując na każdym kroku wolę pozostania w Unii?

Unia chce likwidować państwa narodowe. Najpierw nie mieliśmy państwowości, bo były zabory, potem okupacja sowiecka i komunizm, a teraz znowu mamy nie mieć państwowości, bo się rozplyniemy w Unii? Ja tak nie chcę.

Nasz kraj jest w Unii popychadłem. Poprzednia władza stosowała lizusostwo, a Donald Tusk został pudłem Angeli. Obecna władza obiecywała, że polskie sprawy będzie stawiać twardo, potem wystawiali

tyłek i brzuch na kolejne kopniaki, jeździli do jakichś Komisji Weneckich, dawali sobą pomiatać, a ostatecznie dali sobie nakopać po pysku i wrócili do Polski jak zbite psy – reformę sądów zatrzymano, a teraz jeszcze PiS tłumaczy się jakimś urządzeniem z Brukseli, dlaczego obniżamy sobie w Polsce cenę prądu! To jest polska racja stanu?! Hm.

Oficjalnie to właśnie spalenie flagi było powodem zawieszenia programu z pańskim udziałem. Szef TAI Jarosław Olechowski stwierdził, że TVP chce dalej współpracować z Wojciechem Cejrowskim, tyle że potrzebna jest „przerwa na refleksję”. Pańską odpowiedź można ująć w skrócie tak: „Nie zmieniam poglądów pod naciskiem władzy, niezależnie od tego, kto rządzi”. Jednak może uda się zawrzeć jakiś – uwaga, wypowiem nielubiane przez pana słowo – kompromis? Nie wyrzeknie się pan swoich poglądów, tylko je przemilczy na potrzeby programu...

Pan cały czas negocjuje powrót „WC” na antenę, a ze mną nikt nie rozmawiał ani o wywaleniu, ani o przywracaniu, ani o umowie na rok 2019. Jedyna osoba, z którą rozmawiałem, to Rachoń. To ja do niego zadzwoniłem z USA dwa lata temu i zaproponowałem, że będę jego prywatnym korespondentem. Opowiedziałem mu, jaki to ma mieć format – że obaj patrzmy prosto w kamerę, czyli cały czas w oczy widzom, bo tylko wtedy widać, że człowiek nie kłamie. Zapytałem Rachonia, czy jest to w stanie ustawić w TVP, ustawił i zaczęliśmy grać. A teraz się skończyło, bo się do nas dobrali. Ja nawet nie wiem, kto i co się dobrało, bo ze mną NIKT nie rozmawiał ani gdy ustawiliśmy sobie ten format z Rachoniem, ani kiedy mnie wywalili.

Niech pan to zostawi w spokoju. Było fajnie, pokazaliśmy klasę, a teraz nawet dobrze, że mnie wywalili, bo po pierwsze mam czas wrócić na 100 proc. do robienia biznesów, a po drugie jest dobrze, gdy wywalają, gdy mam szczytową oglądalność, wtedy oni wychodzą na durniów, a nie ja (śmiech).

Jarosław Kaczyński „ma za pazurami krew niewiniątek” – właśnie te słowa pańskim zdaniem były rzeczywistym powodem „wywalenia Cejrowskiego” z TVP. Myśli pan, że prezes PiS kiedykolwiek zdecyduje się na całkowity zakaz aborcji?

Obiecywali kilka razy i nic. Roztropnie więc jest uznać, że to puste obietnice. Podobno w PiS pojawiła się teraz frakcja powiązana z Radiem Maryja, dla której sprawa aborcji jest najważniejszą obietnicą PiS. Jednak... może to tylko plotki, które mają nas ponownie zaprowadzić do urny, bo „jest w PiS frakcja, która załatwi zakaz aborcji” – pójdziemy, po raz kolejny damy się nabrać, a potem się okaże, że żadnej frakcji nie było.

Wracając do logotypu Unii... W rozmowie z Rachoniem przytoczył pan przykład USA, gdzie nawet flaga państwowa może zostać bezkarnie zniszczona, gdyż jest jedynie przedmiotem, czyjąś własnością. W Polsce też tak powinno być? Chciałby pan, by na demonstracjach można było bez konsekwencji palić również np. polskie flagi?

Flaga państwowa nie jest jedynie przedmiotem i czyjąś własnością – tu się pan myli. Jest również ważnym symbolem narodowym. Z kolei flaga z logo UE to tylko szmatka. Wolałbym, by polskiej flagi nie palono, ale jednocześnie wolność jednostki oraz prawo własności uważam za wartości wyższe niż ochrona przedmiotu, którym jest flaga. Coś trzeba wybrać w tym sporze i ja wybieram wolności osobiste.

Nie paliłem flagi UE, aby ją pohańbić – nie tym razem – w tym konkretnym nagraniu pokazałem jedynie prawny aspekt tej sytuacji. Na Marszu Niepodległości spalono ścierkę z wymalowanym logotypem bardzo nieprzyjemnej organizacji, jaką jest UE. Pokazałem, że jest jak najbardziej LEGALNE palenie tego typu ścierek, podobnie jak jest legalne spalanie koszulki z napisami „Donald Trump”, „Donald Tusk” lub „Kaczor Donald”. W każdym z tych przypadków wolno panu kupić koszulkę i ją sfajczyć. I nikomu nic do tego, co palę, pod warunkiem że palę własne – tak uważam.

Idąc za tą logiką, można uznać, że krzyż to też tylko przedmiot, czyjaś własność prywatna. Oczywiście jego profanacja obraża czyjeś uczucia religijne... Jednak, odpowiadając na pytanie o uczucia zwolenników UE na widok płonącej flagi unijnej, sam pan stwierdził: „Znoszą się dwa prawa: ich prawo do delikatności i moje prawo do ofensywnego wyrażania własnych poglądów”. Czy granica, za którą „ofensywne wyrażanie własnych poglądów” staje się profanacją i powinno być karane, dotyczyć powinna tylko uczuć religijnych, a np. narodowych już nie?

W USA wolno palić krzyże. Nie jest to eleganckie, ale jest legalne. I powiem panu, że w Polsce też jest legalne. Tak orzekają ci ubecy w sądach, których PiS nie wywalił – orzekają, że wolno panu podrzeć Biblię na koncercie oraz utopić krucyfiks w moczu na wystawie w galerii sztuki. Tak orzekają ubecy, a ich wyroki są wiążące. Dlatego właśnie wolałbym żyć w państwie wyznaniowym, gdzie wyznaniem panującym byłby rzymski katolicyzm. Ubekom byłoby gorzej, ale mnie byłoby lepiej.

Od razu podkreślę: nie porównuję znaczenia logotypu międzynarodowej organizacji ze znaczeniem symbolu religijnego. Chodzi o zasadę.

Prawa religijne są chronione w konstytucji, logotypy nie są. Krucyfiks jest prawnie czymś cenniejszym niż ściereczka ze znaczkiem UE. Wobec tych dwóch przedmiotów stosujemy inne zasady postępowania. Religia jest chroniona konstytucyjnie, a stowarzyszenie, jakim jest Unia, nie jest chronione konstytucyjnie.

W programie „Minęła dwudziesta” stwierdził pan, że gdyby został pan na dwa dni dyktatorem, wzięłby do ręki czerwony flamaster i powykreślał niepotrzebne przepisy. Zapewne zniknęłyby wszelkie ustawy uchwalone w ramach dostosowania prawa do unijnych standardów. Rozumiem, że po tych dwóch dniach mielibyśmy polexit?

Po tych dwóch dniach mielibyśmy moją dymisję, bo na koniec skreśliłbym swoje stanowisko, ale przedtem rzeczywiście odzyskalibyśmy niepodległość poprzez wypowiedzenie traktatu z Unią. Również o to chodziło, gdy paliłem tę flagę – moim zdaniem Polsce NALEŻY SIĘ niepodległość. I nie cackałbym się z nimi, jak to robi (nie wiem czemu) Wielka Brytania. Jednostronny akt suwerennego państwa, bez żadnych negocjacji. Jednak Unia to pikus. Do skreślenia jest cała masa przepisów krępujących rozwój. Skreśliłbym wiele ustaw w całości: prawo budowlane, wodne, prawo pracy, płacę minimalną, wszystkie co do jednej

akcyzy, wszystkie podatki poza jednym, i w konstytucji bym zapisał, że wolno od obywatela pobierać wyłącznie jeden podatek, bo zasadą prawną jest, że nie wolno karać dwa razy za to samo. A u nas pan, ja, każdy jesteśmy karani po kilka razy za to samo – zarobił pan forszę, opodatkowali, a potem kupuje pan chleb i płaci kolejny podatek VAT i tak dalej.

Jest pan wielkim zwolennikiem wolności. To zresztą jedna z przyczyn, dla których nie cierpi pan przeregulowanej Unii. Jednak z drugiej strony wszystkie badania pokazują, że Polacy są narodem euroentuzjastów. Może więc, skoro chcą być w Unii, to niech się dzieje wola ludu...

W Unii nikt nie pyta ludu o jego wolę. A ja dlatego z Polski wyjechałem i prowadzę interesy na obcych kontynentach, że mi się w Unii nie podoba. Polacy chcą w tym siedzieć – niech siedzą. Ja im nie bronię. Ja tylko czasami przekonuję do wolności, której w Unii nie ma. I robię to wyłącznie, gdy mnie ktoś zapyta. Sam się z pyskiem nie rwę. Rachoń mnie zapyta – odpowiadam, pan mnie pyta – odpowiadam. Tylko tyle. A naród tak wybrał i tego chce, no to niech naród siedzi w Unii. Z ciężkim sercem stwierdzam od wielu lat, że obce kraje i kontynenty dają mi, jako PRZYBYSZOWI, więcej wolności osobistych, niż mam w mojej ojczyźnie. No to co mam robić? Mieszkam w tych obcych krajach i cieszę się tam wolnościami, których w Polsce nie mam.

Historia nauczyła nas, że nie da się prowadzić wojny na dwa fronty. Trzeba albo dogadać się z Rosją przeciw Niemcom (Europie), albo na odwrót. Oczywiście teraz mamy potężnego sojusznika za oceanem. Jednak czy wierzy pan, że USA będą nas wspierać zawsze, choćbyśmy byli poważnie skonfliktowani zarówno z Niemcami (Europą), jak i z Rosją? Może jednak lepiej porozumieć się z Berlinem, Brukselą i Paryżem (wiem, że porozumienia z Moskwą nigdy by pan nie zaakceptował), niż liczyć zawsze wyłącznie na Waszyngton?

Waszyngton nie będzie nam nigdy pomagał, jeżeli nie będzie to leżało w interesie Ameryki. I wystawią nas do wiatru tak samo jak w Jacie, jeżeli to akurat będzie leżało w interesie Ameryki. W polityce nie ma filantropii, są wyłącznie interesy. Nikt cię nie kocha za darmo. Miłość w polityce się kupuje. Jeśli mamy jakąś walutę, by kupić sobie miłość Ameryki, to to jest moim zdaniem lepsze niż kupowanie miłości od komunistów w Moskwie czy od wnuków Hitlera w Berlinie.



Z danych opublikowanych przez Ministerstwo Finansów wynika, że od początku naszego członkostwa w UE do wspólnej kasy wpłaciliśmy już łącznie 47,3 mld euro. W tym samym czasie z kasy unijnej dostaliśmy aż 143,7 mld euro. Czy ten prosty rachunek nie sprawia, że jednak warto, z pragmatycznych względów, być członkiem UE?

Ten rachunek jest prostą próbą oszustwa. 47 mld wpłacone z Polski do Unii to była czysta gotówka, owszem, i wylądowała w Brukseli. Jednak te 144 mld, które niby dostaliśmy z unijnej kasy, to już czysta gotówka nie była... Zaglądał pan w te ich programy pomocowe? POŁOWA tej kasy poszła na urzędników unijnych nadzorujących i opracowujących. POŁOWA. Papierologia, wymiana opracowań i dokumentów, zamawianie

ekspertyz, wywieszanie nikomu niepotrzebnych tablic z napisem, że ufundowano z pieniędzy Unii. Czyli pierwsza połowa przyznana Polsce została wydana za granicą – w unijnych urzędach przetwarzających dokumentację. A reszta tej forsy? Powiedzmy, że zbudowali nam basen w Koszalinie. Za unijne. A do kogo poszła forsa za rury do basenu, za wyposażenie, okna, kafle i jeżdźalnie? Do polskich fabryk NIE poszła! Pojechała do Niemiec, gdzie się produkuje rzeczy ZATWIERDZONE przez Unię. Papierologia, na którą poszła pierwsza połowa kasy, jest po to, by reszta kasy NIE trafiła do Polski, tylko do krajów starej Unii, gdzie się produkuje te wszystkie przedmioty, które od Unii „dostaliśmy”. Program pomocowy

dla Polski służy nakręcaniu gospodarki w Niemczech, a nie w Polsce.

Pan uważa, że Niemcy lub Francuzi to są filantropi, którzy zaprosili Polskę do swojej starej organizacji po to, by nam z własnej kieszeni podarować 144 mld? Dali nam tę forszę, bo nas kochają? Oni SOBIE wypłacili te wszystkie pieniądze, a nie nam. Żeby to wykryć, musiałby pan prześledzić drogę KONKRETNEJ złotówki, która „trafia do Polski”. Skąd wyszła i dokąd ostatecznie trafiła. Moim zdaniem Niemcy nie stawiają nam basenów w Koszalinie. A jeżeli to robią, to na pewno nie po to, by umoczyć pieniądze, tylko po to, by pieniądze zarobić. Unia traktuje Polskę jak włamywacz psa – rzuca mu kielbasę, by spokojnie okraść dom.

Wiem, że wołałby pan Europejską Wspólnotę Gospodarczą, czyli – w uproszczeniu – Unię Europejską minus centralistyczna lewicowa ideologia. Nie ma jednak szans na powrót do EWG. To może lepiej zostać w UE i czerpać z niej tyle korzyści, ile się da?

Czerpać, czyli co? OKRADAĆ jakiegoś Belga płacącego podatki? Bo JEŻELI jest prawdziwe to wyliczenie, że Polska na czysto zarobiła z Unii 100 mld, to jednocześnie oznacza, że kogoś okradliśmy. Bo skąd ta forsa niby? Odessana jakiemuś Belgowi czy Holendrowi. A z jakiej racji odsysamy? Kradzione nie tuczy. Lepiej więc nie brać z Unii ani grosza. Ja na moim gospodarstwie rolnym nie biorę unijnych dotacji i dobrze mi idzie.

Dotacje unijne to jedno. Poza tym Unia Europejska to też wspólny rynek, potencjalnie większe możliwości dla polskich przedsiębiorców, pracowników (choć oczywiście np. Francja robi, co może, by te możliwości nam ograniczyć). Warto z tego rezygnować?

Gdyby UE chciała się ograniczyć wyłącznie do wspólnego rynku, wówczas warto rozważyć, choć nawet wtedy nie uważam, że likwidacja ceł byłaby dla polskiej ekonomii dobra. Niemcy mają mocne, rozwinięte branże i wpuszczanie do Polski ich towaru bez cła, tylko dlatego że jest tańszy, doprowadziło już do upadku cukrowni, czyli straciliśmy miejsca pracy dla Polaków w Polsce. Telefonii komórkowej w Polsce jest francuska, a mogłaby być polska, podobnie prasa jest niemiecka, a powinna być polska. No, a banki... Czemu straciliśmy banki na rzecz zagranicznych? To jest trujący owoc wspólnego rynku. Tych kilka przykładów pokazuje, że wspólny

FOT. W. CIEPICHOWSKI

rynek jest dobry dla zagranicy, a nie jest dobry dla Polski. Tak jak wspólnota demoludów była dobra dla Moskwy, ale niedobra dla Polski.

Jeśli ktoś w Europie jest eurosceptykiem, to zazwyczaj ma też poglądy prorosyjskie. Tak jest w przypadku m.in. Alternatywy dla Niemiec, Ruchu Pięciu Gwiazd czy francuskiego Frontu Narodowego. Trudno więc byłoby znaleźć w Europie sojuszników przeciw Brukseli i Moskwie jednocześnie.

Po pierwsze, ja nie jestem eurosceptykiem, lecz zdeklarowanym wrogiem UE. Chciałbym Polski niepodległej. Uważam, że niepodległość się Polsce NALEŻY.

Po drugie, takie myślenie, że „eurosceptyk” oznacza „prorosyjski”, jest prymitywne. Rosja jest największym zagrożeniem nie tylko dla polskiej niepodległości, lecz także dla życia Polaków. Historia pokazuje, że Rosja oznacza śmierć Polaków w milionach ludzkich istnień: Sybir, Katyń, II wojna światowa, komunizm.

Ekonomicznie powinniśmy zacisnąć zęby i nie robić żadnych interesów z Rosją. Bo to są złe interesy. Sprzedajemy im jabłka i wędliny, a Putin może zarządzić z dnia na dzień, że nie wpuszcza naszych jabłek ani kiebas. I wtedy polskie firmy bankrutują, bo są uzależnione ekonomicznie. Gdy Ruscy płacą, jest słodko, ale... nie jest to dobry biznes, gdy ogromny klient może z dnia na dzień zerwać umowę, a ty zostajesz z towarem, który się szybko psuje. Powinniśmy też zacisnąć zęby i nie kupować rosyjskiego gazu, bo Putin trzyma rękę na kurkach i stać go na to, by zakręcić je jutro do odwołania. Czyli Putin może złapać każdy polski rząd za gardło, gdy się ludziom w domu zrobi zimno.

Bezpieczniej dla Polski byłoby pocierpieć kilka lat, ale wycofać się z wszelkich interesów z Rosją, jabłka sprzedawać na innych rynkach, nawet za gorsze pieniądze, ale bezpieczniejsze. Arabia lubi jabłka do tego stopnia, że kupuje nawet z Izraela... Wymieniamy więc jabłka za arabski gaz.

Powiedział pan: „Trudno byłoby znaleźć w Europie sojuszników przeciw Brukseli i Moskwie jednocześnie”. A w jakim celu szuka pan sojuszników „przeciw”? Ja panu nie proponuję wojny z Rosją, lecz zaprzestanie niezdrowego biznesu, który Polskę uzależnia oraz stanowi zagrożenie niepodległości. Przestajemy sprzedawać, przestajemy kupować, kontakty pozostają poprawne,

ale ograniczone do dyplomatycznego minimum – tak to widzę.

PiS się ugiął i znowelizował ustawę o SN. „Wycofywanie się ze słusznych reform w obszarze wymiaru sprawiedliwości, pod naciskiem instytucji unijnych wykorzystanych do walki politycznej, wyznacza granice naszej suwerenności w bardzo nieciekawym miejscu” – stwierdziła posłanka Anna Siarkowska. Zgadza się pan z tą diagnozą?

Jeśli Pani Siarkowska miała na myśli, że PiS to miękkie parówki, wówczas jak najbardziej nie ma rację. Są ponadto oszustami wyborczymi, bo obiecywali coś innego. Obiecywali reformę sądownictwa, twardy kurs wobec Unii, niesprawdzanie imigrantów oraz całkowity zakaz aborcji. We wszystkich wymienionych sprawach są oszustami wyborczymi, czyli powinni oddać mandaty poselskie, bo program wyborczy to KONTRAKT handlowy i ten kontrakt z wyborcą zerwali.

I nie chcę słuchać gadania, że „niektórych rzeczy nie da się tak szybko załatwić”. W sprawie prądu ogarnęli się w tydzień – Sejm, Senat, prezydent. A sprawa prądu dotyczyła podatków, czyli rzeczy, które załatwia się zawsze najdłużej. No to w sprawie aborcji też mogliby się ogarnąć w tydzień. Gdyby chcieli.

Ekonomicznie powinniśmy zacisnąć zęby i nie robić żadnych interesów z Rosją. Bo to są złe interesy

W reakcji na te słowa posłanki Siarkowskiej prezes Kaczyński pogroził jej palcem. Za to, pańskim zdaniem, „powinien z liścia dostać”. Ostro... jakiś czas temu Kaczyński na sali sejmowej miał ponoć krzyknąć: „Woni!” do posłanki Kamili Gasiuk-Pihowicz. Czy za tamto zachowanie też powinien zostać spoliczkowany?

Na posłów z innej partii wolno wrzeszczeć, ile się chce. Moim zdaniem od tego jest parlament, żeby oni tam się kłócili. Niech wrzeszczą na siebie, byle doszli ostatecznie do jakiegoś rozwiązania dobrego dla większości Polaków.

A grożenie paluchem kobiecie z własnej partii... Przemyślałem – za to też nie powinien dostać z liścia. Gdybyśmy mieli system demokratyczny, w którym poseł reprezentuje swoich wyborców (a to możliwe jest WYŁĄCZNIE w okręgach jed-

nomandatowych), wówczas za grożenie mojemu posłowi placem mógłby dostać z liścia nawet ode mnie. Bo to jest mój poseł. Jednak... mamy system niedemokratyczny, w którym jakiś Jarosław, Kukiz lub Schetyna wpisują swoich ludzi na listy i potem to są ICH ludzie, a skoro ich, to powinni wiernie służyć kapitanowi.

W systemie z listami poseł nie ma prawa do swojej wolności osobistej, gdyż ZDECYDOWAŁ się na układ poddańczy z Jarosławem, ze Schetyną czy kogo tam sobie wybrał. A zatem Jarosław zrobił słusznie, że pogroził palcem swojej nieposłusznej służącej, którą wprowadził na listę i wpisał Kukiz, ale potem ona sama przeszła na służbę u Jarosława.

Ha! Ale... Ja tam uważam, że skoro mandat tej pani nie pochodzi od wyborców, lecz od wpisującego na listę, to powinna stracić stołek, gdy przestała pracować dla Kukiza. Kukiz ją wsadził na listę, a nie wyborcy, więc powinna grzecznie przynosić patyk, gdy Kukiz rzuci, albo oddać mandat, gdy już nie chce aporować Kukizowi – wtedy byłoby uczciwie w ramach tego chorego systemu, który teraz obowiązuje.

A może Unia doceni uległość PiS? Dadzą Polsce spokój i zaakceptują konserwatywny rząd nad Wisłą?

Jednak dlaczego w ogóle Unia ma akceptować to, jaki rząd wybrali dla siebie Polacy? Takie myślenie to postawa wasala – parówki. Poza tym... gdzie pan widzi jakiegokolwiek konserwatywny rząd nad Wisłą? Bo ja nawet nie widzę jednej konserwatywnej partii, a co dopiero rząd. Najbardziej konserwatywną grupą są kibole, ale oni nie tworzą rządu.

Już rok temu stwierdził pan, że PiS „zrobił się miękki jak rozgotowana parówka”. Od tamtej pory partia Kaczyńskiego robi się wręcz coraz bardziej ustepliwa. Również w relacjach z Brukselą. Nie wiem, czy za cokolwiek jeszcze byłby pan w stanie pochwalić PiS. Rozumiem, że Korwin-Mikke nie pasuje panu, gdyż jego motywacja „nie jest religijna”. Jednak biorąc pod uwagę zarówno poglądy, jak i bezkompromisowość w ich głoszeniu, chyba powinien pan przerzucić swoje poparcie na Ruch Narodowy?

Nie popieram partii politycznych. Jestem bezpartyjny od zawsze. Nie należałem i nie mam zamiaru należeć. Czasami kupuję coś od którejś partii politycznej na zasadzie: dam wam mój głos w zamian za coś, co macie w ofercie. PiS mnie okradł z mojego głosu wyborczego, bo obiecał mi

zakaz aborcji, a TYLKO TO mnie interesowało, gdy na niego głosowałem.

Partie polityczne nie są mi, jako wyborcy, potrzebne – one są potrzebne politykom, gdy politycy są już wybrani, bo politycy potrzebują tworzyć koalicje, aby skutecznie przegłosować to czy owo. Natomiast ja, wyborca, chcę głosować na POJEDYNCZE osoby, a nie na partyjniaków, czyli chcę głosować w JEDNOMANDATOWYM okręgu na jakąś osobę, która potem, już we własnym imieniu, połączy się w partię polityczną, z kim zechce. Ale! Połączy się W CELU realizacji obietnic wyborczych złożonych mnie w tym jednomandatowym okręgu. I to ten okręg wyborczy powinien politykowi wypłacać pensję poselską, a nie Sejm. Pracujesz porządnie, to ci porządnie płacimy. Przystajesz realizować obietnice wyborcze, to ci przestajemy płacić.

Jeżeli mam za coś pochwalić PiS, to za obniżenie deficytu. Było –50, jest –15, czyli trzy razy lepiej. Jednak pamiętajmy, że deficyt budżetowy, czyli MANKO w kasie, do której trafiają podatki, powinien być KONSTYTUCYJNIE zakazany. Dopiero wtedy będzie dobrze. Rząd nie ma żadnych własnych pieniędzy – jedynie

nasze – więc nie powinien nigdy wydawać więcej, niż wpłynęło z podatków. Tak uważam. Ameryka tonie w długach i kiedyś się od tego zawali. Chiny długów nie mają i rosną w siłę.

PiS i tak ma monopol na prawicowość w Polsce. Wyborca eurosceptyk i tak przed pójściem do urn pomyśli: „Narodowcy i korwiniści nie mają szans, to już lepiej zagłosuję na Kaczyńskiego, bo to mniejsze zło niż lewactwo”. Czasem się wydaje, że PiS mógłby zalegalizować związki partnerskie, a i tak byłby hegemonem na prawicy.

Tak rzeczywiście jest, gdyż nie mamy okręgów jednomandatowych. Przy listach partyjnych i progach wyborczych zarówno mniejsze partie, jak i wybitne jednostki są ELIMINOWANE przez system. Pojedyncza wybitna osoba nie ma szans startować. Jarosław, Schetyna lub inny partyjny aparatczyk wpuszczają na listy wyborcze lub nie wpuszczają. To nie jest demokracja, gdy nie każdy ma szansę kandydować. To oligarchia kilku partii. Taki system dopuszczania do stanowisk za komuny nazywaliśmy nomenklaturą.

A konkluzję tej rozmowy widzę taką: jestem frajerem, bo dałem się PiS okraść

z mojego głosu wyborczego – uwierzyłem, że mi załatwi zakaz aborcji. Jestem frajerem do kwadratu, bo pomogłem (niechcący, ale jednak) Dudzie wygrać z Komorowskim. Mój samodzielny filmik z darcie plakatu zmienił dynamikę kampanii. A teraz PiS nawet nie umie Tuska porządnie przesłuchać i wsadzić za kratki. Żadna z afer, które wtedy wypisałem na plakacie Komorowskiego i podarłem, nie została wyjaśniona. Jestem frajer.

A podziękował panu ktoś za tamten film? Jakis telefon z kancelarii? Propozycja pracy?

Oni nie mają mojego telefonu, a gdyby prosili, to im nie dam. Nie chodzę na żadne przyjęcia, z politykami się nie spotykam, z nikim się nie koleguję, czyli: każda kolejna władza może mnie bezkarnie wywalić z telewizji, bo nie mam pleców. Przyjmują mnie, bo jestem dobry, potem mnie wywalają, bo jestem niewygodny, a jednocześnie wywalenie mnie NIC nie kosztuje, bo... nie mam pleców, nigdzie nie należę, nikt mnie nie popiera. I, powiem panu, dobrze mi z tym – wolę mieć kręgosłup niż plecy (śmiech).

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

KOSZULE
PANA CEJROWSKIEGO
i inne
niebanalne prezenty

www.SklepKolonialny.com

WOJCIECH CEJROWSKI
SKLEP KOLONIALNY

Europejskie puzzle

Wicepremier i minister spraw wewnętrznych Włoch Matteo Salvini z szefem polskiego MSW Joachimem Brudzińskim składają kwiaty na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER



Kamila Baranowska

„Nie polexit, lecz przebudowa Unii” – to myśl przewodnia, wokół której PiS chce budować kampanię do europarlamentu. Jak do tego hasła ma się spotkanie z wicepremierem Włoch Matteo Salvinim i co z niego wynika?

Umiarkowany optymizm – tak w dwóch słowach można streścić nastroje, które panowały w PiS po rozmowie Jarosława Kaczyńskiego z Matteo Salvinim, wicepremierem włoskiego rządu i liderem współrządzącej Ligi Północnej.

Włosi mieli zabiegać o spotkanie z prezesem PiS od kilkunastu miesięcy. Strona polska długo zwlekała z odpowiedzią, wiedząc, że to da opozycji asumpt do podkręcania narracji o eurosceptycyzmie PiS i rzekomo szykowanym polexicie. 2 stycznia polski rząd ostatecznie potwierdził wizytę Salviniego w Polsce i spotkanie z Jarosławem Kaczyńskim. Jeszcze tego samego dnia

ta informacja pojawiła się we włoskich mediach.

PiS nie był zachwycony tak szybkim przeciekiem. Wiadomo, że wizyta Salviniego idealnie wpisuje się w lansowany przez opozycję przekaz o tym, że PiS to partia eurosceptyków, którzy chcą wyprowadzić Polskę z Unii.

Spotkanie Jarosława Kaczyńskiego z Matteo Salvinim to krok w kierunku budowy antyeuropejskiej koalicji populistów. To kolejny sygnał po nominacji Andruszkiewicza, że PiS chce wyprowadzić Polskę z Unii Europejskiej. W maju będziemy decydować o przyszłości Polski w UE – komentował Grzegorz Schetyna.

EUROPEJSKA WIOSNA?

Z drugiej strony, jak wskazują nasi rozmówcy z PiS, są też pozytywy tego, że ta wizyta odbiła się szerokim echem. – Pokazaliśmy, że planujemy do przodu, długofalowo, a zarzuty o izolowaniu Polski są całkiem chybione. Liga podobnie jak i PiS będzie odgrywać ważną rolę w nowym Parlamencie Europejskim – mówi nam jeden z polityków PiS. Pojawiły się także interpretacje mówiące o tym, że spotkanie z Salvinim to także sygnał dla obecnych europejskich decydentów, że jeśli nie zmieni się ich stosunek do Polski, to w kolejnym rozdaniu nasz rząd może

niedługo skorygować swój dotychczasowy kurs i przesunąć się na bardziej radykalne wewnątrzunijne pozycje.

Matteo Salvini nie kryje się ze swoim planem budowy dużego bloku partii, którym nie po drodze z obecnymi elitami brukselskimi i ich wizją Europy. Eurosceptyczne (czy też eurorealistyczne, jak wolą się określać) partie miałyby połączyć siły i doprowadzić do przebudowy Unii Europejskiej, „uzdrowić ją”, jak mówi lider Ligi Północnej. W jego planie PiS, jako partia dysponująca dużą delegacją (obecnie jest to 19 mandatów, a prognozy na ten rok mówią o zwiększeniu tej puli), odgrywa kluczową rolę, stąd takie parcie do zainicjowania rozmów jeszcze przed wyborami.

– Jeśli chodzi o wybory europejskie, to nie ulega wątpliwości, że układ sił w Parlamencie Europejskim będzie zupełnie inny niż do tej pory, a ugrupowania eurorealistyczne będą w nim odgrywały znacznie większą, a może wręcz kluczową rolę – mówi „Do Rzeczy” uczestniczący w spotkaniu europoseł Tomasz Poręba.

– Na poziomie partii zaczęliśmy proces dzielenia się opiniami na temat przyszłości w Parlamencie Europejskim, który będzie głęboko różnił się od istniejącego od zawsze duopolu socjalistów i chadecji – mówił Salvini po spotkaniu z Kaczyńskim,

proponując budowę nowej osi polsko-włoskiej, która miałaby zastąpić oś Niemcy-Francja. – Może takie ruchy ludowe jak Liga i PiS dadzą życie nowej europejskiej wiośnie – dodał.

Podkreślał też, że PiS i Liga zgadzają się w 90 proc., 10 proc. pozostaje wciąż do dyskusji. Wśród tych 90 proc. znajdują się kwestie choćby uszczelnienia unijnych granic i zatrzymania napływu nielegalnych imigrantów, bezpieczeństwa czy krytycznej oceny obecnego modelu funkcjonowania Unii Europejskiej, a także sposobu działania europejskiej administracji.

10 proc. rozbieżności, o których wspominał Salvini, dotyczy przede wszystkim stosunku Ligi i jego samego do putinowskiej Rosji. Liga podpisała umowę o współpracy z Jedną Rosją, partią Putina, a w Internecie można znaleźć zdjęcia Salviniego w koszulce z wizerunkiem prezydenta Rosji.

Salvini podczas rozmowy miał przedstawić dość miękkie podejście do Rosji. Mówił np. że sankcje nałożone za atak na Ukrainę nie spełniają swojego zadania. Polska jest odmiennego zdania, trudno będzie o porozumienie w tej kwestii.

Prorosyjskość sił prawicowych, które zyskują popularność w europejskich krajach, to dla PiS problem trudny do przeskoczenia. Sam Kaczyński jest mocno przeczulony na tym punkcie i nie wyobraża sobie wspierania partii, jakkolwiek związanych czy sympatyzujących z Putinem. – Nie chodzi tu o kwestie wizerunkowe, lecz o pojmowanie interesu Polski – wyjaśnia nasz rozmówca z PiS. Aby nieco uspokoić Kaczyńskiego, Salvini akcentował chęć zacieśniania relacji transatlantycznych w ramach NATO i poinformował o swojej planowanej wizycie w Waszyngtonie.

– Zmiana nastrojów w państwach członkowskich, spowodowana w dużej mierze praktyką unijnych polityków, przełoży się na inny kształt europarlamentu. Osłabieni będą socjaliści, chadecy i liberałowie, zyskają partie prawicowe i eurorealistyczne, takie jak Salvini – wskazuje prof. Piotr Wawrzyk, wiceminister spraw zagranicznych i ekspert ds. międzynarodowych.

Prognozy polityczne mówią, że Liga w przyszłym Parlamencie Europejskim może liczyć na jedną z największych delegacji partyjnych, porównywalną z niemieckim CDU (mowa o ok. 29–30 mandatach). Polska delegacja według różnych prognoz może okazać się trzecią siłą z liczbą ok. 24–25 mandatów (obecnie ma ich 19).

Nie zmienia to faktu, że EPP pozostanie największą siłą w europarlamencie. Salviniemu chodzi o to, by stworzyć na tyle silny i mówiący jednym głosem blok, by zmusić EPP do zmian i przemodelowania Unii Europejskiej. Pytanie, jak w praktyce taka współpraca miałaby wyglądać. Czy chodzi o powołanie całkiem nowej frakcji? Współpracę w ramach obecnych frakcji? A może połączenie EKR – frakcji, do której należy PiS – z Europą Narodów i Wolności, do której należą Liga Salviniego, Zgromadzenie Narodowe Marine Le Pen czy Partia Wolności Geerta Wildersa.

Politycy PiS zarzekają się, że nie chcą rezygnować z obecnego szyldu Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. – Sytuacja będzie bardzo dynamiczna, ale myślę, że będziemy wzmacniać EKR, prowadzimy rozmowy z wieloma ugrupowaniami w różnych krajach, aby uzupełnić miejsce po Brytyjczykach – wskazuje Zbigniew Kuźmiuk, europoseł PiS.

Podobnie uważa Tomasz Poręba. – Prawo i Sprawiedliwość było partią założycielską Grupy EKR, która opowiada się za powrotem UE do jej korzeni i poszanowaniem państw narodowych. Dlatego nie zamykamy się na rozmowy z nikim, kto wyznaje podobne zasady i sprzeciwia się ingerencji Brukseli w wewnętrzne sprawy państw członkowskich. Grupa EKR jest trzecią co do wielkości frakcją w PE, zyskała określoną pozycję, jej członkowie piastują ważne funkcje w europarlamencie i zależy nam na jej dalszym wzmacnianiu po wyborach – podkreśla.

To także jasny sygnał w kierunku Salviniego. Przyszła współpraca jest możliwa, ale w ramach EKR, gdzie to PiS ma ambicję odgrywać główną rolę. – Rozpoczął się dialog, mam nadzieję, że będzie on owocny, ale zobaczymy – mówił na konferencji włoski wicepremier. Zapowiedział też, że będą kolejne spotkania.

PiS, mówiąc o wzmacnianiu EKR, odcina się także od pojawiających się informacji o tym, że w PiS rozważa się także możliwość dołączenia do Europejskiej Partii Ludowej (EPP). Skoro w EPP jest miejsce dla Viktora Orbána, może znalazłoby się i dla PiS. Na taki manewr musiałyby się jednak zgodzić pozostali członkowie frakcji, a raczej wątpliwe, czy zgodę wyraziłyby Platforma i PSL, ale też inni, którym z PiS nie po drodze.

ZWIĘKSZYĆ STAN POSIADANIA

Na razie obok rysowania powyborczych scenariuszy PiS skupia się na

kampanii wyborczej i domykaniu list wyborczych. Prezes Kaczyński swoim zwyczajem trzyma wszystkich w niepewności niemal do ostatniej chwili. Ostateczne decyzje mają zapaść do końca stycznia. Pewniaków jest kilkoro. Jednym z nich jest Beata Szydło, która będzie jedynką w Krakowie (okręg obejmujący województwo małopolskie i świętokrzyskie), gdzie na drugie miejsce przesunie się prof. Ryszard Legutko. W tym okręgu PiS w 2014 r. wywalczył trzy mandaty, więc atrakcyjne są także dalsze miejsca na liście. Spać spokojnie może Anna Fotyga, która znów wystartuje z pierwszego miejsca na Pomorzu, Karol Karski, który będzie jedynką na Podlasiu (okręg obejmujący województwo podlaskie i warmińsko-mazurskie), a także Ryszard Czarnecki, który ma startować z Wielkopolski. Na Podkarpaciu jedynkę ma obiecana Tomasz Poręba. W mediach pojawiły się informacje, że z Podkarpacia miałyby chęć wystartować także Marek Kuchciński, obecny marszałek Sejmu, ale z naszych informacji wynika, że to raczej mało prawdopodobne. Z Wrocławia (okręg obejmujący województwo dolnośląskie i opolskie) ma startować Anna Zalewska, obecna minister edukacji. Tu PiS w 2014 r. dostał dwa mandaty, więc drugie miejsce jest również atrakcyjne i wciąż wolne. Jedynkę na Mazowszu (w tzw. obwarzanku) ma zapewnioną Adam Bielan, w poprzednich wyborach z tego miejsca i okręgu startował Zbigniew Kuźmiuk. Teraz pewnie dostanie drugie miejsce, bo PiS liczy, że zwiększy tu swój stan posiadania i zamiast jednego mandatu będą dwa.

Ciekawie wygląda sprawa w Warszawie. Na pierwszym miejscu pewnie znajdzie się znów prof. Zdzisław Krasnodębski, dwójka ma przypaść w udziale Patrykowi Jakiemu, ale – jak słyszymy – nie jest to jeszcze przesądzone. W 2014 r. PiS zdobył w Warszawie dwa mandaty, więc kandydujący z drugiego miejsca ma bardzo duże szanse na europarlament.

– W całym obozie Zjednoczonej Prawicy jest przeświadczenie, że listy muszą być bardzo mocne i tak skonstruowane, by poszerzać elektorat. W tym sensie duet Krasnodębski-Jaki w Warszawie byłby modelowy, bo każdy z nich dociera do innych wyborców – wskazuje jeden z naszych rozmówców.

Cenna szczerłość lewicy



Piotr Semka

Bardzo często tezy takich naukowców jak Halberstam uznawane są za osobliwe dziwactwo. Jednak nowe myślenie szybko zamienia się w prawo lub rzeczywistość polityczną



Krytyka Polityczna” – najbardziej wpływowe środowisko nowej lewicy w Polsce – wydała właśnie książkę „Przedziwna sztuka porażki” Jacka Halberstama, kulturoznawcy, wykładowcy Instytutu Badań nad Kobiętą, Płcią i Seksualnością na Uniwersytecie Columbia w USA.

57-letni Jack Halberstam, znany też jako Judith Halberstam, uznawany jest za jednego z najważniejszych teoretyków gender studies i teorii queer. Ma 57 lat i głosi, że nie ma jasno zdefiniowanej tożsamości płciowej. Urodził się jako dziewczynka Judith, ale z czasem zaczął odrzucać „ściśle identyfikacje płciowe”. Z tego powodu dopuszcza zwracanie się do niego w formie żeńskiej i męskiej.

W ten sposób osobiście wciela w życie teorię queer. Słowo „queer” oznacza „odmienna”, osobę o innej tożsamości seksualnej od „norm heteroseksualnych”. Doktryna ta głosi, że należy odejść od sztywnego kategoryzowania tożsamości płciowej na rzecz uznania jej naturalnej różnorodności.

Według niej ludzie mają prawo nie podlegać społecznemu naciskowi w kwestii określenia własnej tożsamości płciowej.

TAKO RZECZE HALBERSTAM

Książkę reklamuje wywiad na portalu „Krytyki Politycznej”, przeprowadzony przez Jędrzeja Bursztę, polskiego badacza teorii queer. Warto pochylić się nad jego najważniejszymi тезami, które wiele mówią o strategii środowisk genderowych.

Podstawowa teza książki to wezwanie do odrzucenia tradycyjnych amerykańskich wzorców sukcesu. Halberstam wskazuje: „Logika sukcesu to dosyć konwencjonalny sposób myślenia. Uważam, że osoby queer powinny walczyć o prawo do życia wedle innych zasad niż te, które proponuje nam sztywna heteronormatywna wizja. Wiele z tego, co potocznie nazywamy sukcesem, rozwojem czy korzyścią, jest elementem ściśle politycznego scenariusza. Pojęcie sukcesu, podobnie jak pojęcie zdrowia, nigdy nie jest neutralne – a już z pewnością nie w spo-

łączeństwie, w którym sukces rozumiany jest w kategoriach ekonomicznych”.

Jędrzej Burszta porusza w wywiadzie sytuację nad Wisłą: „Z perspektywy polskiego ruchu na rzecz praw LGBT trudno nie zauważyć, że pod wieloma względami organizacje te nie odniosły zbyt wielu sukcesów w ostatnich 25 latach – przynajmniej jeśli chodzi o uzyskanie znaczących praw politycznych, przede wszystkim możliwości zawierania związków partnerskich”. Halberstam w odpowiedzi proponuje zmianę perspektywy: „To stwierdzenie nie jest prawdziwe jedynie wtedy, kiedy zgadzamy się mierzyć sukces ruchu queer jego zgodnością ze społeczną normą. [...] Większość z najbardziej interesujących mnie organizacji politycznych w Stanach Zjednoczonych nie dąży do asymilacji życia queerowego w formie małżeństw jednopłciowych czy związków partnerskich, ale zajmuje się rozwijaniem takich alternatywnych instytucji społecznych jak przyjaźń, anonimowy seks, związki seryjne zamiast monogamicznych”.



FOT. AQUIRE-STOCK

ruchu queer powinna być refleksja nad korzyściami płynącymi z innych form bliskości niż małżeństwo”.

Kolejnym elementem walki z heteronormatywnością według amerykańskiego naukowca jest zapominanie. Jędrzej Burszta inicjuje temat odwołaniem się do swoich własnych publikacji, w których pisał o „queerowej strategii zapominania”. Jak mówi w rozmowie z Halberstamem: „Próbowałem podważyć tradycję badań nad pamięcią i ideologię never forget – przekonanie, że nigdy nie powinniśmy zapominać”.

Halberstam chętnie podejmuje temat: „Nietzsche pisał, że zapominanie jest równie ważną funkcją co pamiętanie. W badaniach nad traumą olbrzymia część pracy polega właśnie na zapominaniu, aktywnym niepamiętaniu o traumatycznych przeżyciach. Społeczne i polityczne projekty dotyczące pamięci zazwyczaj podlegają ideologii konserwatywnej. W ostatnim czasie zajmujemy się usuwaniem pomników generałów Konfederacji w południowych stanach USA – niekwestionowanych symboli rasistowskiej przeszłości kraju. Ale przecież w tej akcji nie chodzi o to, żeby zapomnieć o tej przeszłości, tylko żeby nie upamiętniać tych ludzi. Kwestie związane z przeszłością i tym, jak chcemy ją pamiętać, zawsze są o wiele bardziej złożone, niż wskazywałoby na to proste oddzielenie od siebie dwóch wymiarów: pamiętania i zapominania”.

Burszta pyta dalej: „Polski rząd przeprowadza właśnie akcję »dekomunizacji« przestrzeni publicznej”. Halberstam odrzuca takie idee całkiem jednoznacznie: „W moim odczuciu nie chodzi tu tylko o usunięcie pamięci o zbrodniach popełnionych przez reżim komunistyczny. Wydaje mi się, że ostatecznym celem jest całkowite wymazanie socjalizmu jako pewnego utopijnego projektu”.

I niedługo potem definiuje swoje stanowisko w kwestii pamięci: „Kiedy Nietzsche pisze, że zapominanie jest absolutnie niezbędne do osiągnięcia szczęścia, chodzi mu o to, że ludzki umysł po prostu nie jest w stanie zachować wspomnień wszystkich rzeczy, które nam się przydarzyły w życiu. Pamięć zawsze jest selektywna. Ale to nie oznacza, że zapominanie jest porażką umysłu – przeciwnie, może nieść ze sobą wartości profilaktyczne, lecznicze, pozytywne. Skupiam się na przemyśleniu negatywnych elementów tych logicznych opozycji nie po to, żeby uczynić je pozytywnymi, ale żeby wskazać, że również one

niosą ze sobą różne znaczenia i strategie, z których możemy korzystać”.

Wygraną Donalda Trumpa w ostatnich wyborach prezydenckich Halberstam ocenia jako efekt „głupoty jako przywileju białych, heteroseksualnych mężczyzn”. Jak mówi: „W krytycznym dyskursie publicznym mamy do czynienia z dwoma odmiennymi sposobami tłumaczenia sukcesu Trumpa. Pierwszy zakłada, że jest to po prostu kontynuacja istniejącego politycznego układu, który pozostaje skorumpowany w swoim rdzeniu. To dalszy ciąg polityki, w ramach której na stanowiska rządowe wybierani są bogaci biali ludzie, a nie utalentowani politycy reprezentujący interesy różnych grup obywateli. Czyli, paradoksalnie, największym problemem związanym z Trumpem nie jest sam Trump. Oczywiście to nikczemny człowiek, w żaden sposób nie jest przygotowany do pełnienia funkcji prezydenta, ale fakt jego zwycięstwa więcej mówi nam o dominującej logice, w którą wierzą amerykańscy wyborcy. Bycie bogatym jest jedynym wyznacznikiem sukcesu, nawet dla ubogich ludzi, dla których dostęp do jakiegokolwiek formy awansu ekonomicznego został całkowicie zablokowany przez obecny system społeczno-polityczny”.

Halberstam nie tłumaczy, dlaczego „biali, biedni ludzie głosowali na Trumpa, choć sami ulegają zbiednieniu”. W jego opinii o ich wyborze zdecydowało marzenie, by samemu być bogatym, więc oddaje się głos na bogatego. Tego, jak Trump, będąc „głupcem”, mógł dotrzeć do swej obecnej fortuny, amerykański badacz już nie wyjaśnia.

PROSTO Z MOSTU

Dlaczego warto zwrócić uwagę na teorie Halberstama? To proste. Poglądy ideologów gender już mają bowiem spory wpływ na rzeczywistość w krajach Zachodu. Publicyści lewicy nerwowo reagują na takie zdania. Zazwyczaj starają się je ośmieszyć poprzez ich karykaturyzowanie w stylu: „Tak, wszędzie rządzi sekta gender. Owija sobie wokół palca ONZ, Unię i wszystkie rządy”. Takie kpiny maskują bardzo wyrazisty trend – postępującą rewolucję w myśleniu, bez wyraźnego proklamowania rewolucji. Obyczajowe i świadomościowe zmiany w świecie Zachodu „ipso facto”. Jednak jest i w tych kpinkach element rzadko zauważany.

W XIX w. i do połowy XX w. wielcy rewolucyoniści starali się, by ich programy wywrócenia społeczeństw do góry

W tym kierunku zmierza też kolejne pytanie Jędrzeja Burszty: „Czyli osoby heteroseksualne mogłyby się czegoś nauczyć od osób queer?”. Halberstam odpowiada: „Tak. Szczególnie dzisiaj, kiedy dość powszechne jest przeświadczenie, że małżeństwa wcale nie są trwałą instytucją. Większość ludzi nie potrafi żyć w długotrwałym związku przez całe swoje życie. A jeśli im się to udaje, to pod koniec życia niekoniecznie muszą być pozytywnie nastawieni do siebie nawzajem, ponieważ jedną z cech natury ludzkiej jest zmienność. W czasach nieustannej stymulacji ekranami smartfonów i tego, co nazywam rynkiem zabaw (marketplace of amusements), ta potrzeba zmiany, zwracania uwagi na różnice i inność, może być jeszcze wyraźniejsza niż kiedyś. Przekonanie, że w życiu emocjonalnym i intymnym powinniśmy być usatysfakcjonowani tylko jedną relacją – to po prostu nie ma sensu. Idea pozostawania w jednym związku przez 65 lat jest dla mnie co najmniej wątpliwa. Uważam, że ważnym celem dla

■ nogami były jak najbardziej głośne i wydane w masowych nakładach. Od rewolty 1968 r. i wprowadzenia w życie idei „długiego marszu przez instytucje” następuje wręcz odwrotny proces. Masy nie muszą, a nawet nie powinny wiedzieć zbyt wiele o celach rewolucji. Chodzi raczej o implementację najbardziej radykalnych idei w sposób stopniowy, przypominający przysłowiowe gotowanie żaby w coraz gorętszej wodzie.

W tym sensie wydanie w Polsce książki Jacka-Judith Halberstama nie jest newsem z pierwszych stron gazet. A jednak można podejrzewać, że „Przedziwna sztuka porażki” będzie bardzo uważnie studiowana na rozmaitych seminariach uniwersyteckich, wszędzie tam, gdzie „nowa lewica” ma już ugruntowaną pozycję.

W kwestii związków partnerskich tezy amerykańskiego kulturoznawcy to potwierdzenie intuicji wielu konserwatystów, że postulat zrównania szans osób tej samej płci w kwestii małżeństwa jest tylko pierwszym etapem w walce o zmiany obyczajowe. Potem przychodzi pora na zakwestionowanie samego sensu małżeństwa monogamicznego jako niezgodnego z psychologią człowieka. W myśl logiki nieustającej emancypacji, w której człowiek nie może być ograniczany w żaden sposób – także przez wymóg wierności czy stałości.

Co charakterystyczne, wywody takie snute są w oderwaniu od refleksji o społecznej roli rodziny i jej znaczeniu dla trwałości społeczeństwa. W zamian dowartościowywana jest logika zabawy i kultu przyjemności, która źle znosi wszelkie ograniczenia. Powie ktoś, że Halberstam odnosi się tylko do społeczności queer, radząc jej, by przestała traktować możliwość zawierania małżeństw jako wymarzony dar. Problem w tym, że zazwyczaj jakieś osiągnięcie dla mniejszości seksualnych łączy się w drugiej fazie z deprecjonowaniem danej instytucji uznanej przez środowiska genderowe za typową dla heteronormatywności. Krótko mówiąc – na lewicy po chwilowej euforii z racji „równouprawnienia” zwyczają myślenie, że promowanie wagi małżeństwa, np. w konstytucji, jest ukrytą formą deprecjonowania innych typów związków.

Jak się okazuje, w kolejnej części wywiadu z Halberstamem podejrzanym ograniczeniem procesu emancypacji może być też pamięć zbiorowa. A dokładniej mówiąc – w opinii wykładowcy – winna być ona kształtowana pod wpływem



Jack Halberstam urodził się jako dziewczynka i dostał imię Judith. FOT. JOE MABEL/WIKIPEDIA

postępowego definiowania, co jest dobre, a co złe. W tym sensie pamięć o zbrodniach komunizmu jest podejrzana, bo ukrytym celem konserwatystów może być zniechęcanie do idei socjalizmu. Jednak już pamięć o grzechach konfederatów w USA powinna być bodźcem do usuwania pomników bohaterów Południa.

I tu dochodzimy do ukrytej w wywodach Halberstama arbitralności – ofiara komunizmu nie jest godna wspomnienia, a komunista nie może być narażony na dyskredytację, bo może służyć „reakcji”. Jednak ofiara rasizmu ma prawo obalać pomniki konfederatów, bo jej krzywda nie podlega żadnej relatywizacji.

I wreszcie trzeci – najtrudniejszy dla lewicy problem – wyjaśnienie wygranej Trumpa. Tutaj Halberstam idzie na skróty – wybór blondwłosego polityka jest po

stosunkowo tradycyjnych społeczeństwach jak w Polsce za osobliwe dziwactwo niemające wpływu na życie publiczne. Trzeba dopiero więcej czasu, by zauważyć, jak w wyniku perswazji mediów, NGO i – the last but not least – werdyktów sądów nowe myślenie zmienia prawo lub polityczną praktykę. A najczęściej jedno i drugie.

Pomysł, by w USA w budynkach publicznych była obowiązkowo dodatkowa toaleta dla „trzeciej płci”, czyli „osób o neutralnej tożsamości płciowej”, jeszcze 40 lat temu wywołałby żarty. Dzisiaj jest już realnym zjawiskiem. Podobnie wygląda wprowadzanie do debaty publicznej pojęcia „białych starych mężczyzn” lub „białych heteroseksualnych” jako synonimu zła. Egzotyka? No to sięgnijmy po „Gazetę Wyborczą” z 5 października 2017 r. Duży tytuł głosił: „Nagrody Nobla dostała gromadka starszych białych mężczyzn. Znowu”.

W Wielkiej Brytanii Komisja ds. Dobroczynności i Biuro ds. Społeczeństwa Obywatelskiego przedstawiły raport, w którym stwierdzają, że w organizacjach charytatywnych działa „zbyt dużo ludzi starych i białych”. Organ nadzorczy organizacji charytatywnych ostrzega, że należy zrobić więcej, by w radach tych organizacji zasiadało więcej kobiet i osób z mniejszości etnicznych, gdyż osoby w zarządach organizacji charytatywnych

Pomysł, by w USA w budynkach publicznych była obowiązkowo dodatkowa toaleta dla „trzeciej płci”, jeszcze 40 lat temu wywołałby żarty. Dzisiaj jest już realnym zjawiskiem

prostu dowodem na głupotę i prymitywne zauroczenie tradycyjnymi atrybutami sukcesu. Oba czynniki doskonale się uzupełniają jako ilustracja lewicowej tezy o „białych, zazwyczaj starych heteroseksualnych mężczyznach” jako problemie w promowaniu postępu i symbolu zła.

KRÓTKI KURS PRZYSZŁOŚCI

Idee Halberstama zasługują na uwagę, gdyż wyjątkowo wyraziście kondensuje on elementy ideologii środowisk gender i wyznawców teorii queer. Jest to po prostu zarys strategii zmiany świadomości zbiorowej we współczesnych społeczeństwach zachodnich.

Bardzo często tezy takich naukowców jak Halberstam uznawane są we wciąż

„nie odzwierciedlają społeczności, którym służą”. I jeszcze jeden przykład.

We Francji w sponsorowanym przez rząd filmie mającym zachęcać świadków gwałtu do interwencji w roli gwałciiciela obsadzono białego mężczyznę, a w roli odważnych wybawców ofiary czarnego mężczyznę i białą kobietę. Wszystko to tłumaczy wagę, jaką rząd Węgier czy ostatnio Brazylia pod rządami nowego prezydenta Jaira Bolsonaro przykładają do wykorzystywania zdobytej w wolnych wyborach władzy do powstrzymywania ekspansji ideologii gender na administrację państwową czy uczelnie. I dlatego warto uważnie słuchać, co ideolodzy progresizmu mają do powiedzenia. Oni traktują swe idee serio.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Ostre słowa i oskarżenia: o przyzwolenie na genderową propagandę w szkołach, niewywiązywanie się z obietnic przedwyborczych dotyczących rzeczywistej ochrony życia od chwili poczęcia do naturalnej śmierci, uleganie presji lewicowych mediów i stowarzyszeń, o niewystarczające działania wspierające i wzmacniające sytuację rodziny. PiS coraz częściej znajduje się na celowniku działaczy, aktywistów i publicystów środowisk katolickich.

A na scenie politycznej nieśmiało kielkują nowe ruchy, które zamierzają sięgnąć właśnie po tę część elektoratu PiS – wyborców odwołujących się w swojej aktywności do zasad religii katolickiej. W grudniu powstała partia Ruch Prawdziwa Europa, założona przez prof. Mirosława Piotrowskiego, zaufanego człowieka o. Rydzyka, zaś w ubiegłym tygodniu działacze Ruchu Narodowego, Partii Wolność Janusza Korwin-Mikkego oraz Grzegorz Braun, były kandydat na prezydenta, założyciel katolickiej organizacji Pobudka, ogłosili utworzenie koalicji do wyborów do Parlamentu Europejskiego. Jej aktywiści nie ukrywają, że zamierzają „obejść” PiS z prawej strony i powalczyć o odebranie mu części, zwłaszcza katolickiego, elektoratu.

– Partia Kaczyńskiego jeszcze nie straciła tej grupy wyborców i nieco czasu musi upłynąć, zanim tak się stanie, ale coraz wyraźniej daje się zauważyć postępujący w niej proces stopniowego rozczarowania PiS i poszukiwanie nowych projektów politycznych – przekonuje „Do Rzeczy” poseł Robert Winnicki, lider Ruchu Narodowego.

Ordynacja wyborcza do PE jest tak skonstruowana, że niszowe ugrupowania w tym starciu mogą zdobyć najwyżej 2–3 mandaty europosłów, ale jeśli dość egzotyczny sojusz narodowców, liberałów i Brauna przetrwa do jesiennych wyborów do polskiego Sejmu, może sprawić PiS kłopoty w zdobyciu liczby głosów wystarczających do utworzenia rządu. Zwłaszcza że część aktywistów pro-life nie ukrywa, że czuje się partią Kaczyńskiego coraz bardziej rozczarowana.

ZAPOMNIELI O OCHRONIE ŻYCIA?

„Prawo i Sprawiedliwość może stracić władzę nie dlatego, że uchwalił zakaz aborcji eugenicznej, ale dlatego, że tego nie zrobi [...]” – pisze Bogumił Łoziński w pierwszym w tym roku numerze „Gościa Niedzielnego” i zauważa



Wojciech Wybranowski

Działacze organizacji konserwatywnych i katolickich coraz częściej krytykują PiS za nieprzyjmowanie projektów chroniących życie i rodzinę. A po prawej stronie sceny politycznej czają się ci, którzy chcą ten elektorat zagospodarować

Urywanie chadeckiej kotwicy

■ też, że gdy PiS był w opozycji, wśród sztandarowych propozycji miał właśnie zapewnienie prawnej ochrony życia od chwili poczęcia do naturalnej śmierci, tymczasem po objęciu władzy jakby o tym postulatcie zapomniał. „Nie wprowadzając zakazu aborcji eugenicznej, PiS nie zyska nowego elektoratu, natomiast straci elektorat katolicki” – przestrzega Łoziński w swoim artykule.

– Rozumiem ludzi, którzy mówią, że nie zagłosują na PiS, bo to jest kwestia sumienia. Idąc do wyborów, szukają partii, której program im odpowiada, ale na końcu i tak zadają sobie pytanie: „A co z moralnością?”. Ochrona życia dzieci nienarodzonych jest fundamentem i podstawą moralności konserwatywnej, katolickiej – mówi nam Kaja Godek, pełnomocnik Komitetu Inicjatywy Ustawodawczej „Zatrzymaj aborcję”. Przekonuje też, że z takimi głosami spotyka się coraz częściej. – W sytuacji, gdy PiS nie uchwała ustawy „Zatrzymaj aborcję”, nie można ich nie rozumieć. Ci ludzie nie pójdą głosować na Platformę zamiast PiS, pójdą głosować na alternatywy, które wyrastają po prawej stronie. Rynek polityczny, jak każdy inny, nie znosi próżni – uważa.

Rzeczywiście, że zrealizowaniem przedwyborczej obietnicy dotyczącej pełnej ochrony życia PiS ma problem. W lipcu 2016 r. do Sejmu trafił projekt ustawy „Stop aborcji” przygotowany przez Ordo Iuris, zakładający niemal całkowity zakaz usuwania ciąży. Pod presją lewicowych mediów i licznych demonstracji zorganizowanych przez opozycję i organizacje feministyczne tzw. czarnych protestów PiS doprowadził do odrzucenia ustawy, jednak prezes partii Jarosław Kaczyński zapewniał: – Prawo i Sprawiedliwość będzie w dalszym ciągu za ochroną życia i będzie podejmowało w tym kierunku odpowiednie działania, ale będą to działania o charakterze prze-myślanym, który rzeczywiście będzie prowadził do uzyskania takiego skutku.

Działacze organizacji pro-life i katolickich wytykają jednak, że żadnej ustawy ograniczającej możliwość dokonywania zabiegów aborcyjnych na dzieciach z wadami genetycznymi PiS nie złożył. Natomiast od wielu miesięcy w podkomisji powołanej w ramach Komisji Polityki Społecznej i Rodziny spoczywa „zamrożony” obywatelski projekt ustawy „Zatrzymać aborcję”, pod którym podpisało się ponad 800 tys. Polaków. Środowiska katolickie dają coraz ostrzejszy



wyraz swojemu niezadowoleniu. „PiS porzuca dzieci”, „Zwłoka zabija” – oskarżał „Nasz Dziennik”, bliski środowiskom Radia Maryja.

– Widać tu, że lekceważony jest głos Episkopatu, katolickiego elektoratu, ale przede wszystkim mamy oznaki sprzeniewierzenia się głosowi sumienia, którym katolicy posłowie powinni się kierować także w działalności publicznej – mówił w listopadzie ks. bp Ignacy Dec, przewodniczący Rady KEP ds. Apostolstwa Świeckich w rozmowie z „NDz”.

15 stycznia ma się odbyć zebranie Komisji Polityki Społecznej i Rodziny układające plan prac na najbliższy rok, ale autorzy projektu ustawy nie otrzymali żadnej informacji, by w harmonogramie znalazły się prace nad zakazem aborcji eugenicznej. Niewykluczone, że PiS wstrzymał je ze względu na nadchodzącą kampanię wyborczą. – Zagadnienia takie jak aborcja nie powinny być rozstrzygane w okresie kampanii wyborczej. Podejmowanie tego tematu teraz nie służyłoby ani sprawie, ani klimatowi społecznemu, ani rządzącemu obozowi – komentował niedawno w TVN24 wicepremier Jarosław Gowin.

Nie odbyło się też posiedzenie Trybunału Konstytucyjnego w sprawie wniosku, który złożyło w nim ponad rok temu

79 posłów, głównie z PiS – na wniosek posła Bartłomieja Wróblewskiego domagali się jednoznacznego orzeczenia, czy obowiązujące dziś przesłanki do legalnej aborcji – wady i nieuleczalna choroba płodu – są zgodne z konstytucją.

– Ludzie widzą inicjatywę, która zebrała blisko milion podpisów, a została kompletnie przez PiS zignorowana, widzą także mactwa, które miały miejsce w czasie, gdy ustawa przechodziła przez parlament. Mówiono nam, że zostanie szybko rozpatrzone, później słyszeliśmy, że zostanie rozpatrzone w podkomisji. Tyle że ta komisja w ogóle nie działa, przez sześć miesięcy nie ma żadnych efektów jej pracy – wytyka Godek.

REJTERADA PRZED LEWICĄ

Kiedy w 2015 r. koalicja PO-PSL przepychała przez Sejm ratyfikację Konwencji Rady Europy o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej, środowiska prawicowe i katolickie na czele z PiS były oburzone. Zapisane w niej rozwiązania uderzały w rodzinę, m.in. pozwalając często bez wystarczającej kontroli sądu i z błahych powodów ingerować urzędnikom w życie rodziny, odbierając dzieci. Konwencja promowała też genderowy światopogląd, bliski skrajnej lewicy.

Czarne protesty zmusiły PiS do odwołania z próby zaostreżenia prawa dotyczącego aborcji

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER



– Jako fundacja od wielu lat borykamy się z kiepskimi przepisami obowiązujące obecnie ustawy antyprzemocowej i problemami, które ona generuje. Ustawa jako źródło przemocy wskazuje rodzinę i pozwala państwu w tej rodzinie ingerować bez wyroku sądowego – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” Tomasz Elbanowski, założyciel Fundacji Rzecznik Praw Rodziców. Opierając się na statystykach rządowych, wylicza, że w wyniku działań przepisów wynikających z Konwencji „każdego dnia bez wyroku sądu jest w Polsce odbieranych rodzinom troje dzieci”. – Już co setne dziecko w naszym kraju żyje w państwowych formach opieki. Większość z nich ma oboje rodziców. Większość z tych rodzin można i należy po prostu pomóc, zamiast je rozbić. Tymczasem każdego roku procedura Niebieskiej Karty obejmuje ponad 100 tys. kolejnych rodzin – twierdzi Elbanowski.

Jak twierdzą prorodzinni aktywiści, sytuację tę zmienić miała nowa, nieco bardziej konserwatywna ustawa antyprzemocowa przygotowana w resorcie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Jednym z najważniejszych jej zapisów była likwidacja automatycznego uruchamiania Niebieskiej Karty w przypadku każdego, również pojedynczego przypadku przemocy w rodzinie. Ustawa nazywała powołanie zespołu eksperckiego, który

w przypadkach rodzinnych konfliktów miał oceniać, czy jest zasadność uruchomienia takiej procedury, i przygotowywał plan wsparcia dla rodziny, w której doszło do przemocowych zjawisk. Wreszcie mocno ograniczał uznanie działań urzędników. Jednak zanim projekt ustawy trafił na forum Sejmu, środowiska opozycyjne i lewicowe, prawdopodobnie zaniepokojone możliwością wycofania się rządu z wcześniejszej genderowej konwencji, zaatakowały w mediach ten projekt.

– Zobaczyliśmy prawdziwą twarz władzy, która chce budować państwo przyjazne dla damskich bokserów i przemocy w rodzinie – twierdził Grzegorz Schetyna, lider PO. A lewicowa działaczka feministyczna Wanda Nowicka przekonywała w artykule opublikowanym na łamach „GW”: „Kobieta ma dźwigać swój krzyż. Tak prawica porządkuje nam życie rodzinne”. Lewicowa narracja, pozostająca bez odpowiedzi autorów ustawy i działaczy PiS, zdominowała też media społecznościowe i portale internetowe. Efekt? Rząd Mateusza Morawieckiego pospieszenie wycofał się z wprowadzenia ustawy antyprzemocowej. „Przeciwdziałanie przemocy domowej jest priorytetem rządu Prawa i Sprawiedliwości, a polskie prawo musi być klarowne i bez cienia wątpliwości w pełni chronić ofiary. Podjąłem decyzję, że projekt ustawy wróci do wnioskodawców w celu wyeliminowania wszystkich wątpliwych zapisów” – napisał premier Morawiecki na Twitterze.

W kulisach obozu rządowego zaczęło się „polowanie na czarownice” – poszukiwanie osoby, którą będzie można obwiniać za przygotowanie projektu. W środę wieczorem szef rządu Zjednoczonej Prawicy odwołał ze stanowiska wiceministra rodziny, pracy i polityki społecznej Elżbietę Bojanowską, która wzięła na siebie odpowiedzialność za prace nad projektem.

– Rząd dopiero po trzech latach próbował podejść do tego tematu i bardzo niedobrze się stało, że szybko się wycofał z nowego projektu – komentuje Elbanowski. – Z jednej strony rząd deklaratywnie jest prorodzinny i podejmuje pewne prorodzinne działania, natomiast w systemie prawnym rodzina stanowi najniższą kastę – wytyka społecznik.

CORAZ BARDZIEJ TĘCZOWO?

Wielu działaczy środowisk katolickich i konserwatywnych krytykuje też w roz-

mowie z „Do Rzeczy” homopropagandę w polskich szkołach, której – ich zdaniem – rząd PiS nie próbuje powstrzymać. Wskazują przy tym m.in. na słynne Tęczowe Piątki, które wspierająca środowiska homoseksualne organizacja Kampania Przeciw Homofobii zorganizowała pod koniec ubiegłego roku w blisko 200 polskich szkołach. Ministerstwo Edukacji Narodowej o sprawie dowiedziało się dopiero po publikacji „Do Rzeczy”, a zareagowało po tym, jak cała akcja została ostro skrytykowana w mediach (również mediach społecznościowych) przez sympatyków PiS. Sam komunikat MEN także był mocno nieostry.

– Brak słów. Pytam się: Gdzie my jesteśmy? 100. rocznica odzyskania niepodległości ma być „tęczowa”, a nie „biało-czerwona”? – krytykował o. Tadeusz Rydzki na antenie Radia Maryja. I dodawał, że inicjatywy takie jak Tęczowy Piątek to element rewolucji neomarksistowskiej. – Czy Polska też się będzie temu poddawała? Gdzie jest Ministerstwo Edukacji Narodowej? Gdzie jest Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego? Tylko gospodarka? Czy też duch narodu? – mówił redemptorysta.

Krytyka środowisk katolickich, poczucie zawodu i rozczarowania działaniami PiS są w ostatnich miesiącach coraz głośniejsze artykułowane. Można się spodziewać, że przed kampanią wyborczą i w jej trakcie aktywiści katolicy będą podnosić te kwestie na forum publicznym. Czy może to zaowocować utratą poparcia przez PiS części głosów konserwatywnego elektoratu?

Zdaniem dr. Jacka Kłoczowskiego, politologa z Ośrodka Myśli Politycznej, jeszcze teraz raczej tak się nie stanie, a rozczarowanie PiS ze strony grupy wyborców nie zaowocuje większym poparciem dla formacji, które próbują sytuować się po prawej stronie partii Jarosława Kaczyńskiego.

– Ostry podział polityczny wśród Polaków powoduje, że przy urnie wyborczej znów będzie przeważać kalkulacja „mniejszego zła”, a to oznacza, że część z krytykujących dziś PiS dotychczasowych wyborców tej partii ostatecznie odda głos na tę partię, by do władzy nie wróciła PO – mówi nam Kłoczowski. Ekspert jednak zaznacza, że dziś wyrokowanie, jak ułożą się sympatie polityczne wyborców przed jesiennymi wyborami do parlamentu krajowego, jest jeszcze przedwczesne.

Gdyby ogłosić konkurs na archetypicznego lewaka, kandydatów byłoby wielu: od Roberta Biedronia przez Sławomira Sierakowskiego do miejskich aktywistów czy Magdaleny Środy. Jednak oni wszyscy odpadają w przedbiegach przy wschodzącej gwiazdzie lewactwa: zastępczyni rzecznika praw obywatelskich Sylwii Spurek, feministce i genderystce, która nie chce wyjść za mąż, bo w małżeństwach jest więcej przemocy. Może kogoś oburzy ten osobisty wtęt na samym początku, ale zapewniam, że jest on w tym przypadku całkowicie uzasadniony.

Panią Spurek oburzają różne rzeczy, ale zawsze związane z agendą radykalnej lewicy – nie na darmo jest w końcu zastępcą RPO ds. równego traktowania, bryluje na wszelkich możliwych feministycznych portalach i imprezach oraz kaleczy polszczyznę politpoprawnymi formami typu „doktorka”, „politolożka” czy „polityczka”. Nic dziwnego, że oburzyła ją również propozycja zmian w ustawie o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie, nad którą pracowało Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Do pani Spurek jeszcze wrócimy.

ELIMINOWANIE WĄTPLIWOŚCI

Sprawa z propozycją zmiany ustawy jest dziwna. Zespołem przygotowującym zmiany w ustawie kierowała wiceminister Elżbieta Bojanowska. Kiedy o planowanych zmianach zrobiło się głośno, szef rządu zareagował błyskawicznie, pisząc na Twitterze: „Przeciwdziałanie przemocy domowej jest priorytetem rządu Prawa i Sprawiedliwości, a polskie prawo musi być klarowne i bez cienia wątpliwości w pełni chronić ofiary. Podjąłem decyzję, że projekt ustawy wróci do wnioskodawców w celu wyeliminowania wszystkich wątpliwych zapisów”. Za wpisem poszły dalsze decyzje. Na konferencji prasowej wiceminister Bojanowska złożyła coś w rodzaju bardzo daleko idącej samokrytyki, wręcz żenującej i przypominającej czasy komuny. Ostatecznie premier zdecydował o jej odwołaniu. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że zawinił kowal, a powiesili Cygana. Przecież nie sama Bojanowska wymyśliła, że ustawa ma być zmieniona, a nominację na szefa zespołu zajmującego się ustawą dostała od minister Rafalskiej. Zagadkowe jest także, w jaki sposób proponowane zmiany wypłynęły na światło dzienne mocno przedwcześnie, gdy nie było jeszcze powodu ich ujawniać, były bowiem na bardzo wczesnym etapie. Można się zastana-



Łukasz Warzecha

Dlaczego rozwiązania zaproponowane przez resort pracy i polityki społecznej zostały natychmiast wyrzucone do kosza? Mogły być przecież podstawą dyskusji o kondycji polskiej rodziny



Sylwia Spurek,
zastępczyni rzecznika
praw obywatelskich

FOT. KRZYSZTOF ZUCZKOWSKI/FORUM

Prawy prosty, lewy sierpowy

wiać, czy nie jest to kolejny przypadek gry wewnątrz obozu władzy – w tym wypadku albo przeciwko premierowi Morawieckiemu, albo minister Rafalskiej.

Jako taktyczne posunięcie polityczne można decyzję Mateusza Morawieckiego zrozumieć i usprawiedliwić. Inna sprawa, że nikt nie podjął nawet próby wyjaśnienia, dlaczego takie rozwiązania zaproponowano, nie mówiąc już o ich obronie. Tymczasem one są merytorycznie do obrony, przy najmniej jako punkt wyjścia do dyskusji.

SPÓR O DEFINICJĘ

Lewicę wzburzyły przede wszystkim dwa z proponowanych rozwiązań. Pierwsze to taka zmiana definicji przemocy domowej, żeby nie obejmowała ona jedno-razowych przypadków. Druga to konieczna zgoda osoby pokrzywdzonej na założenie Niebieskiej Karty.

Pierwsza propozycja, zdaniem lewicowców, w tym pani Spurek, miałyby oznaczać, że „żonę można pobić jeden raz”. Pomiędzy pytanie, dlaczego uparcie jest mowa tylko o kobietach jako ofiarach przemocy domowej, bo ważniejsze jest, że mamy tu oczywiste kłamstwo. Zmiana ustawy w żaden sposób nie depenalizowałaby użycia przemocy, bo na tę są przecież odpowiednie artykuły w Kodeksie karnym i nic by się tu nie zmieniło. Nikt ze zwolenników zmiany w ustawie o przeciwdziałaniu przemocy nie usprawiedliwia też bicia kogokolwiek – to wyjątkowo wstrętne sugestie. Niestety, używana standardowo w tych kręgach. Na Twitterze Sylwia Spurek napisała, komentując moją wypowiedź na ten temat w „Łoży prasowej”: „Czy dobrze zrozumiałam, że red. Łukasz Warzecha w TVN24 kilkanaście minut temu powiedział, że w rodzinie można kogoś szarpać, popchnąć? Z niepokojem myślę, jak mogą wyglądać relacje w rodzinie u osób, które tak uważają”. Jak słusznie zauważył jeden z internautów – zastępczyni RPO w mediach społecznościowych posuwa się do metod stosowanych przez internetowych trolli.

Druga kwestia to zgoda pokrzywdzonego na założenie Niebieskiej Karty. Obie propozycje wychodzą z tego samego słusznego założenia, że jakkolwiek interwencja państwa w delikatne relacje rodzinne jest zastępczym wejściem słonia w skład porcelany. Być może słoń kogoś w końcu uratuje, ale możliwe, że jedynym skutkiem jego działalności będzie wytluczenie wszystkich kruchych naczyń. W przypadku oskarżenia o przemoc domową w bardzo intymne

relacje międzyludzkie wchodzi obcy: funkcjonariusze, urzędnicy – i stają wobec często sprzecznych, niezwykle emocjonalnych relacji nieznanymi osobami, których wiarygodności nie są w stanie szybko ocenić. Tymczasem uruchomienie mechanizmów ustawy antyprzemocowej to zaangażowanie potężnej maszyny państwowej, czego końcowym efektem bywa kompletne zniszczenie rodziny, którą można było naprawić. Ludzie bywają fałszywie oskarżani o molestowanie lub dręczenie swoich dzieci, dzieci z kolei bywają odbierane rodzicom, choć podstawy do tego są bardzo wątpliwe. Zmiany miały na celu tylko tyle, żeby cała ta nierzadko kompletnie bezduszna maszynieria nie była uruchamiana z automatu i nie od pierwszego zdarzenia. I to się wydaje postulatem rozsądnym.

Jasne, że po drugiej stronie są również dramatyczne historie i poważne argumenty. Dlatego rozwiązania, które przygotowano w resorcie minister Rafalskiej, mogły być punktem wyjścia do dyskusji. Niestety, zostały natychmiast wyrzucone do kosza pod wpływem lewicowego jazgotu, nawet jeśli przyznamy, że taka była chwilowa polityczna potrzeba.

WSZYSTKIE DZIECI SĄ NASZE

Gdy jednak zastępczyni rzecznika praw obywatelskich pała świętym oburzeniem tylko dlatego, że ktoś ośmielił się tych rozwiązań nie potępić, wynika to z głębokiej różnicy w widzeniu roli państwa i rodziny między lewicą a stroną konserwatywną. Tak głębokiej, że można wątpić, czy jest tu możliwa jakakolwiek debata. Lewica nie tylko nie widzi potrzeby jakiegokolwiek ograniczania roli państwa – przeciwnie, życzy sobie jego jak najgłębszej interwencji w rodzinę. Radykalnie lewicowa publicystka Eliza Michalik pisze na Twitterze z zachwytem, że Niemcy zamierzają objąć definicją przemocy domowej także przemoc psychiczną. A to już prosta droga do świata z „Roku 1984”, bo przecież kwestia psychicznego dręczenia jest całkowicie relatywna i, w przeciwieństwie do przemocy fizycznej, niemożliwa do zobiektywizowania. Tak szeroka definicja przemocy domowej musi prowadzić do wprowadzenia do rodzin elementu skrajnej nieufności, podejrzliwości i do zastąpienia normalnych relacji jakimiś prawnymi zabezpieczeniami. Dla lewicy to jednak nie problem. Lewicowa wizja świata to ta, w której „wszystkie dzieci są nasze” – państwo ma być wielkim wychowawcą i strażnikiem wtrącającym

się w każdą bzdurę. Oczywiście pod warunkiem, że będzie to państwo rządzone przez słuszných, mądrych ludzi w rodzaju pani Spurek, pana Biedronia czy Adriana Zandberga.

Tutaj wracamy do osobistych obsesji zastępczyni RPO. Zaznaczam, że nie jest to grzebanie w prywatnych sprawach pani Spurek, ponieważ sama zdecydowała się o tym opowiadać w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej”, przeprowadzonym przez Magdalenę Rigamonti.

„Wiem, że to pompatyczne i idealistyczne, ale jestem bardzo krytyczna wobec zastanej sytuacji i mam ideały dotyczące praw człowieka. Do tego jestem bezwyznaniową feministką i weganką, dla której kwestie praw zwierząt i ochrony środowiska są bardzo ważne. Przy tym nie mam męża, nie mam dzieci. Na pewno dla wielu ludzi jestem podejrzaną kobietą. Powinam mieć rodzinę, realizować się w domu” – tak opisuje siebie Sylwia Spurek, nie zauważając, że przedstawia wręcz karykaturalnie przerysowany, komiksowy obraz zaprzysięgłego lewaka. Tak silne skrzywienie ideologiczne już każe postawić pytanie, czy pani Spurek na pewno nadaje się do pełnionej funkcji. Dalej jest jeszcze lepiej. Pani Spurek wyznaje, że żyje w konkubinacie, a na pytanie, dlaczego nie weźmie ze swoim partnerem ślubu, odpowiada:

„Amerykańskie badania z lat 70. pokazują, że zmiana stanu przez kobietę z wolnego na mężatkę zwiększa jej ryzyko bycia zabita. A mężczyzna jest bezpieczniejszy w małżeństwie niż poza nim. Kobieta zwykle jest zabijana przez osobę najbliższą, a mężczyzna przez osobę obcą. Z biciem wygląda podobnie”.

Z przytoczonych słów wynika fundamentalne uprzedzenie zastępczyni Adama Bodnara do instytucji małżeństwa. Pani Spurek wydaje się wierzyć, że sformalizowanie przez nią stanu faktycznego sprawi, iż jej dotychczasowy partner będzie bardziej skłonny ją pobić. Pozostawiam to bez komentarza.

To wszystko ponownie każe się zastanowić, czy osoba do tego stopnia ideologicznie zdeformowana, kwestionująca w gruncie rzeczy pożyteczność rodziny – wymienionej wszak w polskiej konstytucji, tej, której tak zaciekle bronią podobno ludzie ze środowiska Sylwii Spurek – powinna zawodowo bronić praw obywateli. Wszystkich obywateli, a więc także tych, którzy mają poglądy skrajnie odmienne od poglądów pani Spurek.



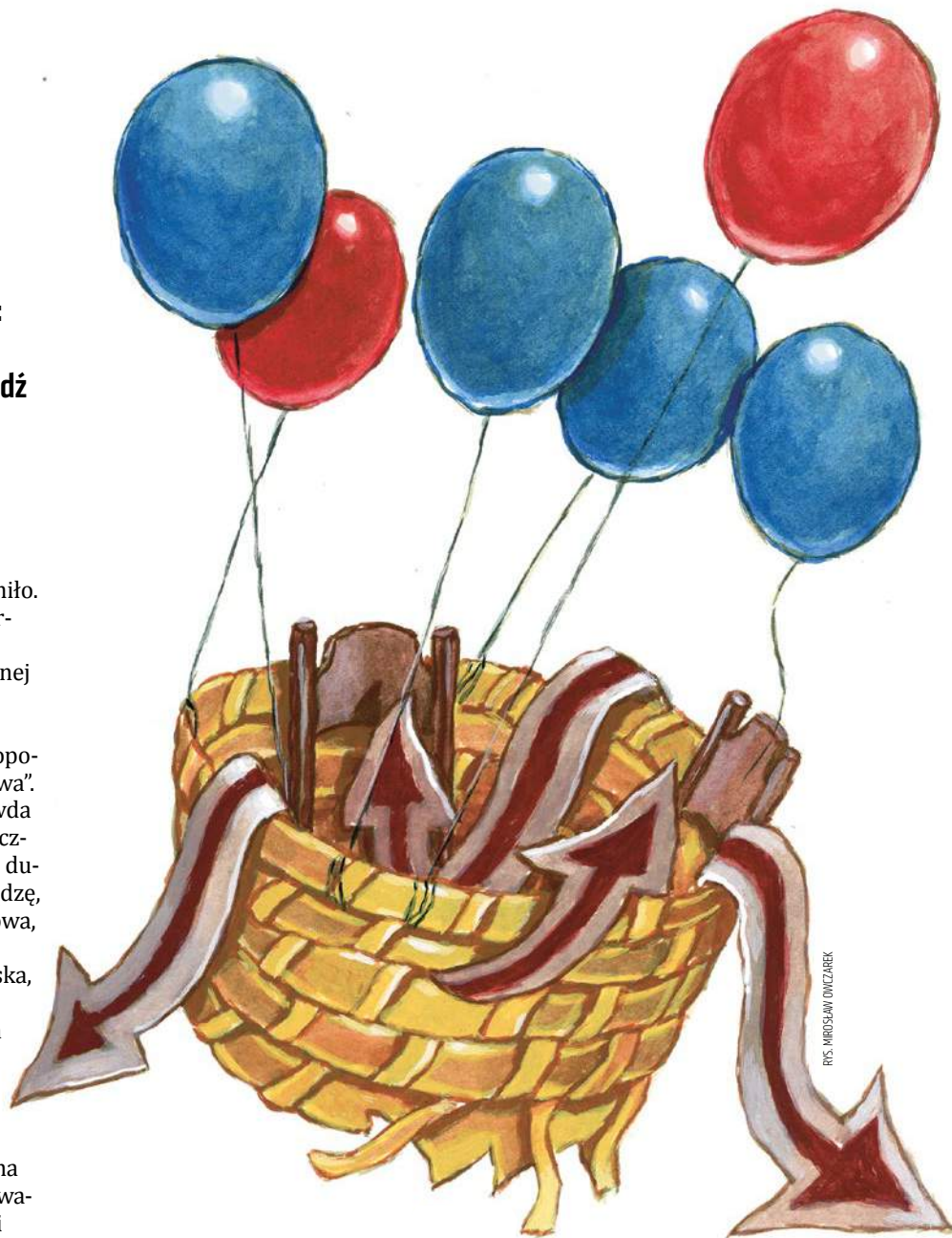
Rafał A. Ziemkiewicz

**PiS w końcu musi zapytać siebie:
Po co rządzi? I wtedy stwierdzi
w zdumieniu, że jedyna odpowiedź
brzmi: po to, żeby rządzić**

Dziwne nastroje panują w partii rządzącej i na jej szeroko rozumianym zapleczu. Niby nic się nie zmieniło, przynajmniej w sondażach, ale coś się jednak zmieniło. Anglosasi mają na taki nastrój wyczerpania, zniechęcenia i korozji nadziei, pojawiający się bez wyraźnej, widocznej przegranej, ale w jej przewidywaniu, dobre określenie: „gloom”. W naszym języku takiego słowa nie mamy, proponuję więc neologizm Witkacego „głątwa”. „Wariatowi z Krupówek” szło co prawda o kaca, ale nie o jego wymiar fizjologiczny, tylko duchowy, o owo „udręczenie duszy”, przychodzące po euforii, więc sądzę, że twórcza modyfikacja znaczenia słowa, które swego czasu się w polszczyźnie nie przyjęło, jak najbardziej do zjawiska, które usiłuję tu uchwycić, pasuje.

Głątwa obozu władzy jest skutkiem oficjalnie wypieranej, zaprzeczanej, ale jednak nieodpartej obserwacji, że przez trzy lata rządów jedynym, co się PiS naprawdę udało, jest opozycja. Popularność PiS trzyma się na nieudolności PO. Na niemożności wyrwania się przez opozycję spod hegemonii partii, która nigdy nawet symbolicznie nie próbowała rozliczyć się ze swych ośmioletnich rządów, i na niemożności wykreowania przez ową partię lidera innego niż bijący rekordy niepopularności Schetyna.

Sondażowe słupki pręzą się od trzech lat i nawet rosną nie dlatego, że PiS rządzi tak dobrze, tylko dlatego, że nie widać dla jego rządów alternatywy innej niż „żeby znowu było tak jak było”. Gromadki lewicowych paniczek, walczących z Panem Bogiem w imię tęczyowych rytuałów importowanych z zachodnich kampusów, można by bowiem w ogóle nie brać pod uwagę, gdyby nie fakt, zresztą bardzo dla PiS korzystny, że im bardziej kolonizują oni opozycyjne media i im bardziej nadają im ton, tym bardziej czynią ich przekaz nietrakcyjnym dla milczącej większości Polaków. I wcale nie dlatego, żeby była ta milcząca większość katolicka i patriotycz-



Głątwa PiS

na (bo jest co najwyżej tradycjonalistyczna, na poziomie święconki i zapalania zniczy zmarłym). Przede wszystkim dlatego, że ów kopiowany z Zachodu przekaz, którym żyją liberalne getta, zwane salonami, to dla owej większości nie są poważne sprawy, tylko jakieś głupoty, śmieszne jak pan Czesio i jego „Mam grać?” w popularnym kiedyś kabarecie.

A ponieważ innej opozycji na horyzoncie nie widać – bo mało kto wie-

rzy w potencjał postulowanej przeze mnie od kilku lat „piwonii” – skłania to w oczywisty sposób do popadania w nastrój „nie ma z kim przegrać”. Takie nastroje przejawiają się zaś postawami w stylu „wzięliśmy sobie wasz płaszcz, bo nam się należy, i co nam zrobicie” – których uosobieniem stał się w ostatnich tygodniach prezes NBP Adam Glapiński. Na szczęście dla PiS, w przeciwieństwie do PO, która do końca upojona była

propagandą zależnych od niej mediów, partia rządząca obecnie jest pod zbyt mocnym ostrzałem wrogów, i to nie tylko krajowych, by takie nastroje mogły ją zdominować. Czego najlepszym dowodem reakcje samych pisowców na tegoż właśnie, upojonego poczuciem swej nieodwoływalności Glapińskiego.

@

Główna bierze się nie tyle z samego faktu, że niewiele przez te trzy lata udało się zdziałać, co ze świadomości, że małe są szanse, by udało się zrobić więcej w przyszłości. Czas, gdy PiS był nadzieją, „większym dobrem”, mija – przyszedł czas, gdy jest on już tylko „mniejszym złem”. To dość, żeby rządzić, ale nie dość, by zmieniać. A ci, którzy w 2015 r. zadecydowali o podwójnym sukcesie partii Kaczyńskiego, oczekiwali właśnie zmiany, więcej nawet – Zmiany, a nie administrowania odziedziczoną po Tusku bylejakością.

Uruchomienie wielkiego społecznego transferu bogactwa, jakim był program „500+”, wciąż określa wizerunek PiS jako partii bardziej niż ktokolwiek przed nią troszczącej się o „zwykłych ludzi” – ale przecież nie jest to samo w sobie żadnym pchnięciem państwa na nowe tory, tym bardziej że kolejne programy „plus” albo zadziałały niewspółmiernie słabo w porównaniu do kosztów, które generują, albo w ogóle nie wypaliły. Chwalenie się stopą wzrostu PKB nazbyt przypomina propagandę poprzedników, która przecież skuteczna się nie okazała. „Uszczelnienie” podatków, poprawa ich ściągalskości i „rekordowa nadwyżka w budżecie” to też jedynie, w najlepszym razie, uporządkowanie bałaganu i likwidacja patologii, ale nie reformy. W dodatku ten sukces generuje problemy, bo po otrąbieniu w propagandzie miliardy „nadwyżki” ustawia się kolejka niezadowolonych branż i środowisk, które ćwierćwiecze III RP nauczyło, że „swoje uciapi” tylko ten, kto przycisnie władzę pierwszy i w odpowiednim momencie – to znaczy przed wyborami, gdy szczególnie zależy jej na wizerunku.

To oczywiście miłe zaskoczenie, że PiS nie popsuł gospodarki, czego się powszechnie spodziewali nawet ci, którzy nań zagłosowali, godząc się zapłacić tę cenę za odsunięcie od przyszłowiejch żłobów nazbyt już rozzuchwalonej i pewnej siebie ekipy PO-PSL. Przecież jednak żadnej przebudowy nawet nie zaprojektowano, przedsiębiorcy są dręczeni i dojeni przez państwo nie mniej, a może nawet

bardziej – takich wymyślnych prowokacji skarbówki, jak historia z warsztatu samochodowego w Bartoszycach, z poprzedniej kadencji sobie nie przypominam. Biurokracji nie ubył, przepisy jak były sprzeczne i niezyciowe, tak są, kontroli i inspekcji nadal jest zatrzęsienie, przy czym gnębią one Bogu ducha winnych, a prawdziwej tragedii, jak pokazał przykład pożaru w Koszalinie, zapobiec nikt nie potrafi – dopiero po niej zaczyna się jak zawsze peeresowska pokazówka i odkrywanie uchybień „w 90 proc. kontrolowanych podmiotów”.

Długo by mówić – o służbie zdrowia, o próżnym szukaniu sprawiedliwości w sądach, o gehennie siódmoklasistów, zmuszonych bezmyślnie do przerabiania materiału dwóch lat w rok etc. „Pospolitość skrzeczy”, jak to ujął wieszcz.

Kto mądry, spodziewał się tego już trzy lata temu. Nie przeprowadzano przecież, nawet nie pomyślano, żadnej reformy patogenicznego centrum, a tym bardziej reformy administracji państwa – choć najniższe w dziejach RP bezrobocie i autentyczny brak rąk do pracy dały idealną okazję do uruchomienia programu odejść z administracji i budżetówki i realnej redukcji topiącego Polskę swym ciężarem biurotworu. Skończyło się na picownym „odchudzeniu” gargantuicznego rządu, w dodatku z „efektem jo-jo” (po przemianowaniu kilku wiceministrów na podsekretarzy stanu i mianowaniu kilku nowych stan na dziś: 22 ministrów, 82 wiceministrów). Nie pomyślano o zmianie toksycznej struktury „spółek Skarbu Państwa”. Wszystko w sanacyjnym przekonaniu, że jeśli się w patologicznych strukturach umieści ludzi z PiS, a w najważniejszych – takich z „pierwszej brygady”, których wysokiego morale gwarancją są zasługi oddane ongi Komendantowi (jak wspomniany już Adam Glapiński) – to żadne pokusy ich nie skuszą, no, a nawet gdyby kogoś skusiły, to przecież jest CBA i inne narzędzia kontroli. No to macie teraz – a to i tak dopiero początek.

@

Powie ktoś – nikt nie obiecywał, że w trzy lata uda się załatwić wszystko i zapewnić wszystkim dobrobyt, ale przecież nie samym chlebem żyje człowiek... No, czego jak czego, ale tego właśnie bym nie mówił.

Przez trzy lata PiS skupiał się na dopieszczaniu swego żelaznego elektoratu – i ten właśnie elektorat wydaje się dziś

znacznie bardziej wkurzony na swoją partię niż szeroko rozumiane centrum, które nigdy nie czuło do PiS specjalnego entuzjazmu, ale nie doczekało się dla niego atrakcyjnej alternatywy.

Być może rozpięto oczekiwania ponad możliwości realizacji? Sprawa „zamachu” w Smoleńsku – to dobry przykład wyjścia tej władzy z „czasu rzeczywistego”. Kiedy się wyrysowało w swych mediach tyle obrazków z wybuchającym tupolewem i wyprodukowało tyle „ostatecznych i niepodważalnych” dowodów, to powinno się je pokazać światu i zerwać z Rosją stosunki. Jednak nie można ich zerwać, bo nie ma nic do pokazania – grupę bywalców „miesięcznic” można utrzymać w przekonaniu, że „wszystko zostało udowodnione”, ale dla świata te „dowody” to jedynie przesłanki, i to w wielu miejscach wzajemnie sprzeczne. Tragedia, która zapoczątkowała wybuch emocji, skutkujących uratowaniem PiS przed marginalizacją i jego powrotem do władzy, pod rządami PiS zahibernowana została w schizofrenicznej nieoznaczoności.

Podobnie PiS gra sobie w kulki z katolikami, domagającymi się kontrrewolucji obyczajowej. Chodzi nawet może nie o samą decyzję, by nic nie zmieniać w prawie aborcyjnym, ale o upokarzanie najbardziej ideowej części konserwatywnych wyborców tym rżnięciem głupa, trzymaniem od roku projektu w zawieszeniu, gdy ważne dla rządu przedłożenia maszynka do głosowania, w jaką zamieniła jednopartyjna większość Sejm, potrafi przerobić w rekordowe dziewięć godzin.

PiS w końcu musi zapytać siebie: Po co rządzi? I wtedy stwierdzi w zdumieniu, że jedyna odpowiedź brzmi: po to, żeby rządzić. Żebyśmy to my, nie oni, obsadzali te spółki, stołki, doili, co jest do dojenia. Bo jak nie my, to kto? Złodzieje kamienic i VAT-u, kombinatorzy od Gawłowskiego i Plichty?

Taka sytuacja jak człowieka, który chciał być wielkim – dajmy na to – artystą, takim, który zapracuje na podziw świata i historii, a nagle budzi się ze świadomością, że został zwykłym chałturnikiem. Że zmarnował swój czas i wyżej chałtury już nie podskoczy, dobrze będzie, jak mu się uda tak chałturyć do śmierci. Były jakieś cele, jakieś wizje, hasła, ale wszystko to się nie wiadomo jak i kiedy poszło czochochrać, i została... No, jak to nazwać? Główna, ot co.

Muzeum, które uwiera



FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS



Marcin Makowski

Choć Muzeum Getta Warszawskiego jeszcze nie powstało, w Izraelu i Polsce już wzbudza ogromne kontrowersje. Czy w takiej atmosferze da się budować pamięć o losach polskich Żydów?

O tym, że rząd planuje utworzenie kolejnego w Warszawie muzeum poświęconego historii polskich Żydów, wicepremier Piotr Gliński informował jeszcze w połowie listopada 2017 r. Chociaż początkowo rozważano, jak szeroki ma być jego zakres tematyczny, to logistyka i warunki lokalowe dosyć szybko rozstrzygnęły ten dylemat. Po bezowocnych próbach sprzedaży budynków Samorządu Województwa Mazowieckiego przy ul. Siennej i Śliskiej przed muzealnikami stanęła szansa zagospodarowania kompleksu dawnego Szpitala Dziecięcego im. Bersohnów i Baumanów, który udało się wydzierzać od miasta na 30 lat. W czasie okupacji pełnił on funkcję centrum nazistowskich „badań” nad chorobą głodową, do sierpnia 1942 r. funkcjonując na terenie likwidowanego w tym czasie małego getta. Jako jeden z nielicznych gmachów w tym regionie miasta przetrwał burzliwe czasy, podczas powstania służąc jako lazaret, a po wojnie m.in. jako siedziba Centralnego Komitetu Żydów w Polsce. Decyzja, aby ulokować akurat w nim Muzeum Getta Warszawskiego, była zatem oczywista i – jak przekonywał wicepremier – zapadła w porozumieniu z akademikami oraz dyrektorem Żydowskiego Instytutu Historycznego prof. Pawłem Śpiwakiem.

Być może dlatego wydawało się, że pomimo napiętych relacji na linii Ministerstwo Kultury – część środowiska badaczy Zagłady projekt nie wzbudzi większych kontrowersji. Ba, spotkał się on nawet z otwartą aprobatą. – Inicjatywa przeznaczenia go na Muzeum Getta Warszawskiego jest ze wszech miar godna poparcia. Środowiska żydowskie od dawna widzą taką potrzebę – powiedział pod koniec 2017 r. „Gazecie Wyborczej” Piotr Wiślicki, prezes stowarzyszenia Żydowski Instytut Historyczny. – Kilka miesięcy temu rozmawialiśmy o tym

opuszczonym szpitalu z prof. Barbarą Engelking – dodawał Zygmunt Stepiński, wicedyrektor Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, który uznał, że budowa muzeum getta „to fantastyczny pomysł”, choć „wszystko zależy od tego, kto i jak będzie go realizował”. Jednocześnie zaznaczył, że jego zdaniem „taka placówka nie będzie konkurencją dla muzeum Polin, którego narracja jest dużo szersza i dotyczy historii Żydów w całej Polsce”.

Przyszła jednak styczeń 2018 r. oraz potężne tsunami historyczno-polityczne pod nazwą „nowelizacja ustawy o IPN”. I początkowi entuzjaści zamienili się w sceptyków. A „świetny projekt” w oczach niektórych badaczy izraelskich i polskich przeistoczył się w „brutalną propagandę rządową”, która z pełną świadomością będzie „znieszczać prawdę o Holokauście”. Jak do tego doszło?

„FAŁSZOWANIE PRAWDY HISTORYCZNEJ”

Sprawy zaczęły się komplikować w okolicach marca 2018 r., gdy po pierwszej fali sporu polsko-amerykańsko-żydowskiego na tle prerogatyw IPN Zjednoczona Prawica postanowiła przypomnieć o projekcie muzeum, który – jak stwierdził na konferencji Piotr Gliński – „będzie mówić o wzajemnej miłości żyjących obok siebie przez 800 lat dwóch narodów”, ponieważ „obie strony nie mają niczego do ukrycia”. Ustanowiono wtedy jego dyrektora, przed którym postawiono zadanie stopniowego kompletowania ekspozycji, aż do daty oficjalnej inauguracji instytucji w 2023 r. Został nim Albert Stankowski, członek ŻIH oraz były kierownik działu zbiorów niematerialnych i doradca do spraw kontaktów ze społecznością żydowską w POLIN. Według niektórych komentatorów – skonfliktowany z władzami placówki. W grudniu doszło do wymiany ciosów na łamach mediów, gdy po kilku miesiącach ciszy ogłoszono zwycięzcę naboru na głównego historyka placówki, czyli prof. Daniela Blatmana z Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, byłego szefa Centrum Badań nad Historią i Kulturą Żydów Polskich, powszechnie szanowanego za artykuły i monografie, zwłaszcza w dziedzinie tzw. marszów śmierci z obozów koncentracyjnych pod koniec wojny. Podczas briefingu prasowego 14 grudnia zapowiedział on, że pokaże „getto w kontekście okupowanego miasta” oraz wypracuje „język do komunikowania się ze społeczeństwem, odpowiedni dla

tego miejsca”, bez wszczynania „kłótni o to, kto bardziej, a kto mniej ucierpiał”.

Dla niektórych badaczy Zagłady, krytycznych wobec polityki historycznej PiS, te słowa zadziały jak płachta na byka. Jeszcze zanim Blatman zdołał zaprezentować jakiegokolwiek efekty swojej pracy, 14 grudnia dr Havi Dreifuss z Yad Vashem i Uniwersytetu w Tel Awiwie zarzuciła głównemu historykowi muzeum występowanie w roli listka figowego legimityzującego działania polskich władz, które „fałszują prawdę historyczną”. Trzeba przyznać, że prof. Blatman nie kazał długo czekać na odpowiedź swoim krytykom, publikując 18 grudnia na łamach izraelskiego dziennika i portalu Haaretz ostrą polemikę. Stwierdził w niej, że muzeum Yad Vashem jest ostatnią instytucją, która może go pouczać w sprawie narracji historycznej, ponieważ sama „naucza o Zagładzie tak, jak totalitarne kraje uczą historii”. Czyli w formie „jednowymiarowego, uproszczonego przesłania”. Oskarżany o kolaborację z populistyczną prawicą Blatman uderzył w swoją opoentkę i jej pracodawcę z perspektywy krytyki „etnocentrycznej i syjonistycznej postawy” Yad Vashem, które jego zdaniem służy Benjaminowi Netanjahu do „wybielania antysemityzmu”, wystawiając „świadczenia moralności sojusznikom takim jak węgierski dyktator Viktor Orbán”. Ciekawe, jak na domniemanego współpracownika „prawicowego reżimu”, prawda? Tym bardziej że równocześnie zwrócił on uwagę na fakt hipokryzji Havi Dreifuss, krytykującej Polskę, „która co roku wydaje dziesiątki milionów złotych, żeby uchronić historyczne żydowskie zabytki, żydowskie cmentarze i nieprzeliczone upamiętnienia Zagłady”.

„ZDRADA” I OSTATNI SPRAWIEDLIWI

W tym retorycznym pojedynku, co było do przewidzenia, bierni nie pozostali również rodzimi badacze Holokaustu, którzy nie ukrywają swojego opozycyjnego zaangażowania. W Wigilię, również na łamach Haaretz, przedstawieni jako „czterej najbardziej prominentni historycy w Polsce”, wypowiedzieli się prof. Barbara Engelking, prof. Jan Grabowski, prof. Jacek Leociak i dr Agnieszka Haska. Stwierdzili oni, że „żywą w kraju, który gwałtownie skręca w kierunku autorytaryzmu, nie mogą milczeć” w obliczu ataku na Yad Vashem i „dzikich oskarżeń prof. Blatmana wobec dr Dreifuss,

■ która jako wielce szanowana uczona poświęciła swoje zawodowe życie na studiowanie eksterminacji Żydów w Polsce podczas Shoah". Cały ich list pełen jest podobnych emocjonalnych zwrotów, tyrad i politycznych wycieczek w kierunku „nacjonalistycznego rządu, który w brutalny sposób zniekształca historię drugiej wojny światowej, w szczególności Holocaustu”.

W dużej mierze kluczem do zrozumienia narracji prezentowanej przez prof. Grabowskiego i resztę sygnatariuszy listu jest fragment, w którym odkrywają swoje prawdziwe, środowiskowe intencje, oskarżając prof. Daniela Blatmana o zdradę etosu. – W jaki sposób znany i szanowany historyk może udawać, że nie wie, iż jego polscy odpowiednicy (wliczając w to nas), seryjnie odrzucali wszelkie oferty współpracy z nowym muzeum? – czytamy. Historycy twierdzą, że cała

zją zarzuty. Po pierwsze uważa ona, że powstanie Muzeum Getta jest zbyteczne i stanowi wrogi akt wobec działalności muzeum POLIN (wbrew wcześniejszym deklaracjom samych władz instytucji), z którego ministerstwo „może chcieć odebrać cenne zbiory”.

Po drugie, historyczka z Yad Vashem już dzisiaj jest pewna, że w placówce, która jeszcze nie powstała, z całą pewnością „nacjonaści” będą chcieli wyeksponować rolę polskich Sprawiedliwych, „których czyny, choć heroiczne, stały w sprzeczności z normami zachowań w Polsce w tamtych latach”.

Zarzut trzeci, najbardziej rażący, polega na oskarżeniu prof. Blatmana o to, że chce przedstawić warszawskich Żydów jako obywateli Rzeczypospolitej. „Pomimo ich formalnego obywatelstwa polscy Żydzi podczas Holocaustu (i przed nim) nie byli postrzegani jako część polskiego narodu. Nie przez Rząd

dów byli również masowo mordowani na ziemiach okupowanej Polski”. Gdzie leży problem? W rzekomo zbyt inkluzywniej narracji o Zagładzie, która w ten sposób według Dreifuss traci na swojej wyjątkowości. Opowieści o Holokauście nie można jej zdaniem mieszać w kontekst innych zbrodni, bo jako zbrodnia bezprecedensowa w swojej skali zasługuje na osobne miejsce w ekspozycji, w której inne grupy etniczne mają stanowić margines. Kropka.

Epilogiem całego sporu na początku stycznia stały się natomiast dwa głosy obrony inicjatywy utworzenia Muzeum Getta. Z jednej strony jego dyrektora Alberta Stankowskiego, którzy przekonywał, że „finansowanie przez rząd nie oznacza rządowej kontroli”, z drugiej ambasadora w Izraelu, Marka Magierowskiego. Zwrócił on uwagę na to, że sporu o muzeum by nie było, gdyby nie decyzja rządu o jego powstaniu, a toczenie debaty na cztery lata przed otwarciem jego podwojów jest co najmniej dziwne. Podobnie jak odrzucenie przez dr Dreifuss zaproszenia do współpracy przy tworzeniu wystawy, co ambasador uznał za akt uprzedzenia, a nie oceny akademickiej przydatności podobnej placówki na mapie Polski. Zwrócił on również uwagę na to, że polscy Żydzi byli polskimi obywatelami, walczącymi w obrobie własnego kraju z Niemcami i Rosjanami, równocześnie w wielu przekazach historycznych w Izraelu są oni traktowani jako Polacy. Samo muzeum Yad Vashem nie wyszczególnia np. 400 Żydów zamordowanych w masakrze katyńskiej, wszystkich zamordowanych kwalifikując jako obywateli RP. Na koniec Magierowski pisze, że nie przypomina sobie „żadnego innego państwa w Europie, które tak skrupulatnie pielęgnuje pamięć i troszczy się o materialne dziedzictwo Holocaustu”.

Wydaje się, że spór o kształt i powstanie Muzeum Getta Warszawskiego, jak żaden inny w ostatnich latach i miesiącach, pokazuje wszystkie cienie i blaski relacji polsko-żydowskich. Czy można uszczęśliwiać na siłę środowiska, które pryncypialnie, zanim zaczną się właściwe prace, z góry odrzucają „kolaborację” ze środowiskiem, które „fałszuje historię”? Wydaje się, że przynajmniej jedna ze stron konfliktu poza „jej” muzeami, „jej” polityką i narracją o przeszłości, „jej” wizją tożsamości żydowskiej i sposobu opowiadania o Holokauście innych wizji nie uznaje. Na taki stan rzeczy godzić się nie można.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Spór o kształt i powstanie Muzeum Getta Warszawskiego pokazuje wszystkie cienie i blaski relacji polsko-żydowskich

sytuacja jest dla nich tak oczywista, że nie muszą tłumaczyć własnych intencji. W ich zachowaniu chodzi jedynie o to, „aby zrobić to, co jest właściwe”. Izraelski profesor postąpił zaś haniebnie, a stanowisko zawdzięcza nie „swojej wiedzy na temat powstania w getcie, ale faktowi, że żaden polski historyk z kwalifikacjami i zapleczem nie chciał zostać figurantem w projekcie wybielającym przeszłość”. Dyrektor placówki jawi się zatem w oczach m.in. prof. Barbary Engelking, która wcześniej nie miała problemu w partycypowaniu w granice na ponad pół miliona złotych z Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, jako osoba „podważająca wysiłki oporu polskich historyków”, którzy do tej pory „z zasady odmawiali angażowania się w ten nacjonalistyczny projekt”.

„ŻYDZI POLSCY TO NIE POLACY”?

Jednym z ostatnich głosów w debacie, ale wydaje się, że najbardziej znamienym, okazała się replika dr Dreifuss z 30 grudnia, w której powtarzając zarzuty wobec prof. Blatmana, formułuje wobec niego i polskiego rządu cztery – najdelikatniej mówiąc – trącające hipokry-

na Uchodźstwie, jego zbrojną Delegaturę w okupowanym kraju, podziemie i szerokie rzesze polskiego społeczeństwa” – czytamy w Haaretz. Havi Dreifuss uważa również, że domniemana niechęć Polaków wobec Żydów sprawiła, iż z jednej strony walczymi oni z okupującymi kraj „nazistami”, ale z drugiej nie widzieli problemu w pomaganiu im przy mordowaniu sąsiadów wyznania mojżeszowego. Rodaków, którzy Żydom pomagali, „traktując jak zdrajców”. – Było dla nas [historyków – przyp. red.] jasne, że powołanie muzeum stanowiło próbę otrzymania żydowskiego i międzynarodowego stempla aprobaty dla mylącej opowieści o przeszłości – stwierdziła izraelska badaczka, na koniec swojego wywodu przedstawiając czwartą „przewinę” głównego historyka Muzeum Getta Warszawskiego. Otóż – paradoksalnie – jako przedstawiciel „pseudoliberalnej” szkoły opowiadania o Holokauście zdaniem Dreifuss prof. Blatman chce do swoich celów wykorzystać również polskie władze. Zależy mu bowiem na „przedstawieniu wspólnych losów Żydów, Polaków, Cyganów i sowieckich więźniów wojennych”, którzy „obok Ży-

OFERTA SPECJALNA. TYLKO TERAZ W PAKIECIE Z E-WYDANIEM

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

Prenumerata na rok 2019 w cenach roku 2018
ZAMÓW JUŻ TERAZ

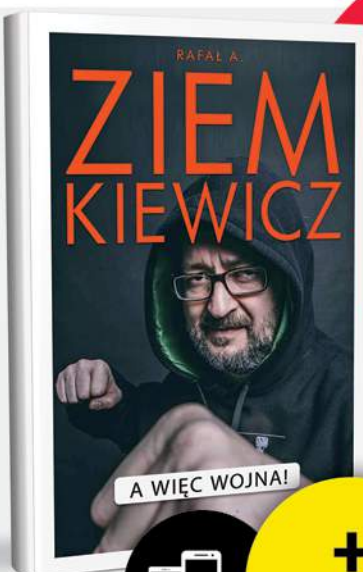
ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”

W PREZENCIE KSIĄŻKA:
Rafał A. Ziemkiewicz „A więc wojna!”

+ zestaw 3 audiobooków:

P. Zychowicz „Skazy na pancerzach”
Rafał A. Ziemkiewicz „Złowrogi cień marszałka”
P. Rzepka i K. Komander „Misja: Niepodległość”

+ E-WYDANIE



**+
e-wydanie**

Cena: 239 zł
Oszczędność: 482 zł



Cena: 148 zł
Oszczędność: 190 zł

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”

W APLIKACJI MOBILNEJ

w prezencie opaska sportowa
MANTA BLUETOOTH SWT9305

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmppg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 1485523cca

Międlaryzm



FOT. LESZEK KOTARBA / EAST NEWS



Tomasz P. Terlikowski

Historia Jacka Międlara to smutny przykład błyskawicznego upadku kogoś, kto miał szansę być duszpasterzem środowisk realnie przez Kościół wykluczonych

Obyłem już księdzu i zakonniku, a obecnie trzeciogigowym narodowym celebrycie, pewnie nie byłoby powodów pisać, gdyby nie to, że na podobną do niego „chorobę”, choć zapewne w słabszej formie, cierpi pewna, wcale nie mała istota, grupa księży. „Polityczny aktywizm”, nadpobudliwość partyjna czy przekonanie, że główną rolą księży jest głoszenie pewnej ważnej dla narodu czy społeczeństwa ideologii, wizji politycznej – to jej główne objawy. Wizje mogą być różne, ale tym, co łączy „międlarystów” różnej maści, jest właśnie przekonanie, że Ewangelia jest w istocie wizją polityczną, a kapłan to „aktywista

społeczny”, którego głównym celem jest zmiana rzeczywistości społecznej czy uzdrowienie instytucji.

Tak, wiem, że za chwilę usłyszę zbiorowe wycie „autorytetów”, które będą mnie przekonywać, że problemem Jacka Międlara nie są społeczne zaangażowanie, partyjny aktywizm, ale niewłaściwe poglądy. Prawda jest jednak taka, że między nim a choćby ks. Wojciechem Lemańskim różnica (poza tym, że ten ostatni wytrwał w kapłaństwie i się nie ożenił, tak jak radykalny narodowiec) są tylko poglądy. Nic więcej. I jeden, i drugi uznaje, że najważniejsza w pracy kapłana jest polityka, że mają wspierać jedną z opcji politycznych, która – tak się składa – jest zaniebywana przez Kościół instytucjonalny, i że polecenia biskupa czy przełożonego, jeśli są sprzeczne z tym, co oni sami uważają za interes społeczny czy narodowy, mogą być ignorowane. Drogi ideowe, motywy działania, a nawet wiek różnią obu politycznych celebrytów, ale łączy ich postawa wobec Ewangelii i polityki.

„MOJE WALKI” BYŁEGO KSIĘDZA

Zostawmy jednak ks. Lemańskiego, bo nim zająć się może abp Grzegorz Ryś,

którego opiece i uwadze został obecnie powierzony warszawsko-praski kapłan, i wróćmy do Jacka Międlara. Od jakiegoś czasu zajmuje się on paleniem zdjęć – Tadeusza Mazowieckiego, Karola Marksa czy Włodzimierza Iljicza Lenina – organizowaniem przemarszów i pisaniem bloga (a wcześniej książki), w której wyjaśnia, jakie są przyczyny – by posłużyć się tytułem, rozumiem, że świadomie nawiązującym do „Mein Kampf” – „mojej walki”. Walkę toczy przy tym nie tylko z lewakami czy z Żydami (tych nie lubi szczególnie), lecz także z tymi wszystkimi, których uważa za judeochrześcjan (w tej kategorii znajdują się i ja), syjonistów (tu załapał się nie tylko portal Fronda, lecz także rząd Mateusza Morawieckiego), fałszywych patriotów, „wilków w owczej skórce”, którzy działają jak szatan. A jak działałby on po prawej stronie w Polsce? W tej sprawie także Międlar nie pozostawia wątpliwości: „Schowałby rogi pod czapkę z orzełkiem na głowę, a ogon pod kieckę z napisem »Bóg cię kocha«, a na twarz założyłby maskę rozmodlonego chłopca, by do siebie przyciągnąć i równocześnie karmić nieprawdą”. A przy

okazji (niestety kompromitując słuszną sprawę) zwalcza językiem i argumentacją, których nie powstydziliby się Wojtek Smarzowski, homolobby w Kościele.

Nie, nie jest tak, że wszystkie jego argumenty są niesłuszne (szczególnie jeśli chodzi o walkę z homolobby czy brudem w Kościele). Nie jest tak, że w żadnej kwestii nie ma racji, a wszystkie jego opowieści należy wyrzucić do kosza. To byłoby zbyt proste. Problemem jest jednak to, że Jacek Międlar wyraźnie – mimo wielu lat formacji zakonnej i kapłańskiej – nie rozumie, czym jest Kościół, nie ma pojęcia, na czym polega jego prawdziwa reforma, a nawet nie do końca rozumie, że chrześcijaństwo nie jest narodową ideologią, ale... spotkaniem z Osobą pewnego Żyda z Nazaretu, czyli Jezusa Chrystusa. Skutki takiej perspektywy są dramatyczne, bo jedyne propozycje, jakie padają z ust Międlara, rozwiązania realnych problemów są życiem przejęte z życia politycznego albo – co jeszcze gorsze – zbieżne z pomysłami innego byłego księdza, który założył niegdyś pismo „Fakty i Mity”, a później był politykiem Ruchu Palikota.

ZDERZENIE Z KOŚCIOŁEM REALNYM

To nie zaskoczenie. Jeszcze w trakcie życia zakonnego ks. Jacek Międlar przekonywał, że nie da się zapędzić tylko do sprawowania mszy świętej i spowiadania, bo potrzebuje szerszego pola manewru. Kłopot polega tylko na tym, że z perspektywy wierzącego po katolicku księdza nie ma ani nie może być ważniejszej sprawy niż właśnie odprawianie mszy i spowiedź. Do tego ksiądz został powołany, a wszystko inne jest – czasem miłym i sympatycznym – dodatkiem do kapłańskiego posługiwania. Zafascynowany ruchami narodowymi, zachwycony niewątpliwym wpływem, który miał na młodych, często antyklerykalnych narodowców, ksiądz nie chciał już tego dostrzegać, skupiony całkowicie na działaniu, prezentowaniu poglądów politycznych (pomijam tu to, że momentami kompletnie kuriozalnych). W efekcie wystąpił z zakonu, a potem związał się z kobietą i ma obecnie dziecko. Nie ukrywa tego zresztą, bo ma to być dowód na jego prawdziwą walkę z homolobby (a także z celibatem).

Droga ku takiej postawie była błyskawiczna. Jeszcze w krakowskim seminarium księży misjonarzy (a wstąpił do

niego Jacek Międlar tuż po skończeniu prestiżowego liceum sióstr prezentek w Rzeszowie) nic nie wskazywało na to, by kleryk sprawiał jakiegokolwiek problemy formacyjne. Przełożeni wiedzieli, że w młodości był zaangażowany w ruch kibicowski (tak jak wielu kleryków i niemało księży), znali jego narodowe poglądy (ale nie jest on przecież jedynym księdzem, który z tych środowisk się wywodzi i żaden nie sprawiał nigdy kłopotów). Międlar działał w kole misyjnym, był inicjatorem i redaktorem pisma „Wiadomości Misyjne”, a nawet promował, i to bardzo mocno, dialog międzyreligijny, także w rozumieniu papieża Franciszka. Nic nie wskazywało na to, że pół roku po święceniach może się zrodzić zupełnie nowy ksiądz – duszpasterz narodowców, który z czasem zmieni się z księdza w politycznego działacza.

Jak do tego doszło? Odpowiedź jest złożona. Z jednej strony wiele wskazuje na to, że ks. Międlar zderzył się z nielubianą rzeczywistością polskiego Kościoła. On sam opisuje, ze szczegółami (a ciekawe, że nikt nie wytoczył mu procesu), skalę „lawendowej mafii” w archidiecezji wrocławskiej, do której trafił. Część opisanych przez niego historii brzmi strasznie – ja także je słyszałem oraz miałem ich potwierdzenie i nie wątpię, że dla młodego, pełnego pasji zakonnik oraz kapłana zetknięcie się z ciemną stroną instytucji kościelnej mogłoby być niezmiernie trudne. Kłopotliwe mogło być również zderzenie z rzeczywistością Kościoła w Polsce, w którym opinia „Gazety Wyborczej” (nawet jeśli nieprawdziwa, nierzetelna czy posługująca się wyrwanymi z kontekstu cytatami)

księdza, było spotkanie z chłopakiem, który był członkiem Obozu Narodowo-Radykalnego i który zaprosił kapłana na spotkanie z brygadą tej organizacji. Radykalni narodowcy zachwycają księdza, on sam zaczyna się angażować w ich działania, walczyć z islamizacją, Koranem, a z czasem także z rzekomymi wpływami żydowskimi. Pasja, z jaką przemawia, inteligencja sprawiają, że Międlar przyciąga młodych chłopaków do Kościoła. Wielu z nich także obecnie deklaruje, że nawróciło się pod jego wpływem. Niestety, dla młodziutkiego kapłana zaczyna się także proces powolnego „nawracania się” z kapłaństwa na działalność polityczną. Ewangelia zostaje zastąpiona (a przynajmniej zreinterpretowana) przez Romana Dmowskiego, chrześcijaństwo staje się antyislamskością, a kazania przekształcają się w wiecowe przemówienia. Tego, nie bez wpływu „Gazety Wyborczej”, nie chce tolerować metropolita wrocławski (a to do tej diecezji skierowano ks. Międlara). Zaczyna się próba utemperowania księdza. Jego przełożeni wcale nie są szczególnie chętni do podejmowania radykalnych kroków, próbują wysłać księdza na studia do Stanów Zjednoczonych (trudno uznać to za szczególnie dotkliwą karę), ale z czasem zaczynają nakładać na niego kary. Aż wreszcie on sam opuszcza zgromadzenie i zapowiada, że wróci do niego tylko, jeśli przełożeni podporządkują się jego woli. Tak się nie dzieje. I obecnie Jacek Międlar prowadzi już życie świeckiego narodowego propagandysty.

Smutna to historia, ale trudno nie zadać pytania, czy jej przyczyną nie są

Prawda jest taka, że między Jackiem Międlarem a ks. Wojciechem Lemańskim różnicą są tylko poglądy

jest tak istotna, że na jej podstawie hierarchowie rozpoczynają dochodzenia czy wręcz wymuszają decyzję przełożonych... Tego także nie potrafił zaakceptować młodziutki ksiądz, zapominając, że decyzje przełożonych, nawet jeśli nie są słuszne, obowiązują zakonnik i są dla niego drogą do Boga.

OD FRANCISZKA DO ROMANA

Trzecim elementem, który wytyczył taką, a nie inną drogę młodziutkiego

braki w formacji kapłańskiej, a także – co jeszcze trudniejsze do zmiany – dominujący w pewnych środowiskach obraz kapłana, który jest nie tyle duszpasterzem, ile liderem także w wymiarze politycznym, a także pewnej słabości formacji, która sprawia, że księża często zamiast realnie duszpasterzować, raczej podporządkowują się swojemu środowisku politycznemu. I to do tego stopnia, że brak im odwagi, by je zmieniać, a zmieniają tylko siebie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Agnieszka Niewińska

20-latek z Wieliczki Jan Krzysztof Duda został wicemistrzem w szachach błyskawicznych. To największe indywidualne osiągnięcie w polskiej historii tej dyscypliny. A Duda nie powiedział jeszcze ostatniego słowa

Zaledwie 20-letni szachista i arcy-mistrz klubu MKS MOS Wieliczka Jan Krzysztof Duda w Sankt Petersburgu podczas mistrzostw świata w szachach błyskawicznych (zwanym blitzem – zawodnik podczas partii ma do dyspozycji zaledwie 3 minuty i 2 sekundy na każdy ruch) przegrał jedynie z Norwegiem Magnusem Carlsenem. I to zaledwie o pół punktu. Wywołał tym niemałą sensację, bo Carlsen to w tej chwili szachista numer jeden na świecie, a Duda przed mistrzostwami rozegranymi tuż przed końcem roku zajmował 47. miejsce w światowym rankingu FIDE (Międzynarodowej Federacji Szachowej) w blitzu. Arcymistrz z Wieliczki po swoim spektakularnym sukcesie powiedział dziennikarzom, że nawet sam siebie nieco zaskoczył wynikami. – Zawsze lubiłem grać blitza, może nawet bardziej od szachów klasycznych i szybkich, ale z drugiej strony do tej pory oprócz wicemistrzostwa Europy nie miałem w tej odmianie szachów znaczących sukcesów – powiedział.

Po zdobyciu tytułu wicemistrza w Sankt Petersburgu Duda zaliczył spektakularny skok w rankingu FIDE – o 40 pozycji. W ranking szachów klasycznych zajmuje 19. pozycję i jest najwyższej sklasyfikowanym polskim szachistą.

TRENING Z KOMPUTEREM

Grę w szachy rozpoczął w wieku pięciu lat. – Mama szukała we mnie talentu i zapisała mnie na wiele różnych zajęć. Ćwiczyłem grę na pianinie, tenis stołowy, pływałem, ale to szachy najbardziej mi się spodobały. I tak zostało do dzisiaj – opowiadał mediom.

Pierwszym trenerem Jana Krzysztofa Dudy był Andrzej Irlik. Dokładnie pamięta dzień, w którym przyszedł on na pierwsze zajęcia. – To był 22 września 2003 r. Jaś był jeszcze wtedy przedszko-



Cudowne dziecko szachów

lakiem – wspomina trener. – Początkowo był na zajęciach tylko przez godzinę, ale szybko się uczył i zostawał nawet na trzy godziny. W tamtym okresie dopiero uczył się ruchów, więc trudno było stwierdzić, czy ma talent. Szybko okazało się jednak, że zalicza się do cudownych dzieci szachów. Od zdobycia tytułu Mistrza Polski Przedszkolaków w Suwałkach w 2005 r. rozpoczął swoją wielką szachową karierę – w 2008 r. mistrzostwo świata juniorów do lat 10 w Wietnamie, w 2009 r. srebro na MŚJ do 12 lat w Turcji, w 2010 r. brąz na MŚJ do 12 lat w Grecji, w 2016 r. srebro w MŚJ do 20 lat w Rosji. W międzycz-

sie zdobywając 14 tytułów mistrzostw Polski juniorów w szachach klasycznych, szybkich i błyskawicznych – wylicza Irlik. I dodaje, że wśród szachistów młodego pokolenia mamy jeszcze dwóch takich zawodników, również arcymistrzów – obecnie 35-letniego Kamila Mitonia z Niepołomic, który teraz jest trenerem Jasia, i 25-letniego Dariusza Świercza reprezentującego od miesiąca Stany Zjednoczone.

Przedwojennym genialnym dzieckiem szachów był pochodzący z Polski Samuel Reshevsky, urodzony w 1911 r. niedaleko Łodzi, który jeszcze przed wojną, jako ośmiolatek, dawał pokazy gry jednocześniej,

Wicemistrzostwo świata w blitzu było ukoronowaniem ubiegłorocznych osiągnięć Jana Krzysztofa Dudy

FOT. ANNA KACZMARZ/DZIENNIK POLSKI/EAST NEWS



a w latach 20. wyemigrował z rodziną do USA i jako jeden z czołowych szachistów świata reprezentował Stany Zjednoczone.

Jan Krzysztof Duda w rankingu FIDE zadebiutował w 2016 r. Tytuł arcymistrza (nadawany przez FIDE dożywotnio za wyniki) uzyskał, mając 15 lat. Dzisiaj poza karierą szachową zdobywa wykształcenie na krakowskiej AWF. Codziennie trenuje – biega i pływa, bo – jak wyjaśnia – szachy to także pojedynki kondycyjne. Trzeba być w dobrej formie fizycznej, by podołać wielogodzinnym rozgrywkom. W szachy gra codziennie. Na trening szachowy przeznaczają ok. 20 godzin tygodniowo. Trenuje głównie, rozgrywając partie z komputerem.

Arcymistrz z wielickiego klubu ma jasny cel. Najpierw chce wejść do światowej dziesiątki najlepszych graczy. Jeszcze przed 30. rokiem życia zdobyć mistrzostwo świata. Najważniejszy dla szachistów jest tytuł w szachach klasycznych. – Nieustannie jako trener klubowy mu kibicuję i wierzę, że ma realne szanse pozostać na długo w światowej czołówce. Wierzę też, że jego pasja, pracowitość, naturalny talent i wola walki w chwilach, kiedy inni już się poddają, doprowadzą go do meczu o mistrzostwo świata. Utwierdza mnie w tym przekonanie

niem największe indywidualne osiągnięcie w historii polskich szachów – ten srebrny medal mistrzostw świata w szachach błyskawicznych zdobyty w fenomenalnym stylu w Petersburgu – mówi Irlik.

Osiągnięcia Dudy w 2018 r. pokazały, że jest na dobrej drodze do realizacji swoich marzeń. Wicemistrzostwo świata w blitzu było ukoronowaniem ubiegłorocznych osiągnięć. Zdobył w nim także tytuł Mistrza Polski, wszedł do pierwszej dwudziestki graczy w światowym rankingu. Jest pierwszym Polakiem, który przekroczył w tym zestawieniu barierę 2800 punktów. Zadebiutował też jako lider drużyny na 43. Olimpiadzie Szachowej w Batumi, która odbyła się na przełomie września i października ubiegłego roku. Wzięło w niej udział 185 reprezentacji narodowych, polska drużyna męska zajęła czwarte miejsce.

– To najlepsza lokata na tym najważniejszym szachowym turnieju w powojennej historii Polski. W ostatecznej klasyfikacji wyprzedzili nas Chińczycy, Amerykanie i Rosjanie, ale Rosjan akurat udało nam się pokonać w bezpośredniej konfrontacji, co jest ogromnym osiągnięciem – mówi Michał Kanarkiewicz, trener strategicznego myślenia i ambasador szachów. Jego zdaniem Polska ma realne szanse, by stać się szachową potęgą. – W polskiej drużynie są bardzo młodzi zawodnicy. Jan Krzysztof Duda ma zaledwie 20 lat i jest jedynym tak młodym zawodnikiem w światowej dwudziestce najlepszych graczy. Kamil Dragun ma 23 lata, Kacper Piorun – 27, a najstarszy w drużynie Radosław Wojtaszek – 31 lat. Tymczasem szczyt umiejętności szachowych osiąga się zazwyczaj w wieku 35–40 lat. Nasi szachiści mają jeszcze czas na to, by walczyć o mistrzowskie tytuły. Warto też przypomnieć, że w 2016 r. na olimpiadzie w Baku kobieca reprezentacja Polski zdobyła srebrny medal – mówi Kanarkiewicz.

RODZINNE ROZGRYWKI

Okazuje się, że dzieci i młodzież coraz chętniej sięgają po szachy. – W PRL były one bardzo popularne, ale z początkiem XXI w. nieco o nich zapomniano. Jednak w ostatnich kilku latach obserwujemy, że zyskują one na popularności. Zawdzięczamy to w dużej mierze edukacji szachowej w szkołach – mówi Michał Kanarkiewicz.

Andrzej Irlik, który jest nie tylko nauczycielem i trenerem, lecz także międzynarodowym sędzią szachowym, zwraca uwagę, że od kilku lat widać większe zainteresowanie turniejami. – MKS MOS

Wieliczka współorganizuje Otwarte Mistrzostwa Małopolski Dzieci w Szachach do lat 7 w Przebieczanach koło Wieliczki. Ze względów organizacyjnych musieliśmy wprowadzić limit miejsc. Dzieci chętnie uczestniczą w tych rozgrywkach, dla ich rodziców to z kolei okazja do spotkań i wymiany doświadczeń – mówi trener. I dodaje, że Jan Krzysztof Duda jako dziecko dwukrotnie wygrywał ten turniej. – Jeśli tylko jest w kraju, to przyjeżdża do Przebieczan. Wręcza nagrody laureatom i fotografuje się z młodymi szachistami. Jaś jest dziś ambasadorem naszej małej Wieliczki. Mówi się, że Jasiu Duda w świecie szachowym jest nie mniej znany niż wielicka sól.

Michał Kanarkiewicz zwraca uwagę, że choć najwięcej dzieci zaczyna przygodę z szachownicą na początku szkoły podstawowej, to odpowiedni jest już nawet wiek przedszkolny. – Można wtedy dać dziecku szachy, pozwolić mu na zabawę figurkami. Dopiero kiedy je polubi, przychodzi czas na naukę gry. Doradzam, by podzielić ją na etapy i nie wprowadzać wszystkich zasad naraz. Na początku można grać tylko pionkami i stopniowo wprowadzać kolejne figury. Jestem gorącym zwolennikiem rozgrywek rodzinnych, choć lekcje i kółka szachowe pomagają rozwijać umiejętności.

Rodzinnym towarzyszykom rozgrywek nie brakuje w domu arcymistrza Jana Krzysztofa Dudy. Ma zresztą z kim się pojedynkować – jego ciocia Czesława Pilarska (z domu Grochot) to utytułowana szachistka. W 1991 r. zdobyła mistrzostwo Polski. W tym samym roku zremisowała partię z mistrzem świata Rosjaninem Garym Kasparowem.

Wczesne uczenie dziecka gry w szachy nie jest tylko dla tych, którzy myślą o wychowaniu arcymistrza. – To gra, która pozwala rozwijać wiele umiejętności – podkreśla Kanarkiewicz. – To, że podnosi kompetencje matematyczne – według badań prof. Roberta Borucha z Uniwersytetu Pensylwanii aż o 12 proc. – dla wielu jest dość oczywiste. Jednak szachy uczą też planowania, strategicznego myślenia, a to przydaje się w dorosłym życiu, w biznesie. Szachy to gra, w której nie występuje czynnik losowy. Dzieci widzą, że jeśli uczą się gry, to osiągają lepsze wyniki. Szachy to także nauka przegrywania i fair play. Przeciwnikowi trzeba podać rękę przed rozegraniem partii i po jej rozegraniu, niezależnie od wyniku.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Śmierć nastolatka w escape roomie wstrząsnęła nie tylko Polską. Do kontroli podobnych miejsc rozrywki ruszyły też służby w innych krajach, m.in. w Czechach. Tymczasem na jaw wychodzi coraz więcej wstrząsających okoliczności dotyczących koszalińskiej tragedii, która rozegrała się w piątek (4 stycznia) przy ul. Piłsudskiego. To tam działało miejsce jednej z nowoczesnych rozrywek: tzw. escape room „ToNiePokój”. Moda na nie zawitała do Polski kilka lat temu. Zaczęto tworzyć w budynkach pokoje, z których można wydostać się dzięki rozwiązaniu wielu logicznych zagadek, czasem to małe labirynty. Do takich miejsc rozrywki chodzą nie tylko prywatne osoby, przyjeżdżają tam też klasowe wycieczki szkolne, rodzice urządzą dzieciom przyjęcia urodzinowe. Tak było właśnie w Koszalinie. Jedna z 15-letnich dziewczynek zaprosiła cztery koleżanki, by świętować swoje urodziny.

„MROK” I BUTLA GAZOWA

Z kilku dostępnych pokoiów nastolatki wybrały ten nazwany „Mrok”. Na stronie internetowej obiektu tak wprowadzano do zabawy w nim: „Stryj, którego niekoniecznie darzycie sympatią, nagle pozostawia Wam w spadku swój stary i nikomu niepotrzebny dom.... Jakże kryje on tajemnice? Dlaczego wujaszek tak skrzętnie ukrywał w nim różne przedmioty? I dlaczego to miejsce zawsze wydawało się Wam takie mroczne? Może teraz po jego śmierci uda Wam się poznać całą prawdę...”

Zadanie polegało na odnalezieniu przedmiotów i wydostaniu się z pokoju. Do momentu rozwiązania zagadek klamka pozostawała dla uczestników gry ukryta. Drzwi mógł w każdym momencie otworzyć od drugiej strony pracownik escape roomu. Wiadomo, że nie było żadnego przycisku bezpieczeństwa, którym gracze mogą – z różnych powodów – przerwać zabawę. W oknie pomieszczenia tkwiła kratka, było też zasłonięte płytą kartonowo-gipsową.

Amelia, Julia, Karolina, Małgorzata i Wiktoria były w trakcie zabawy, gdy w pomieszczeniu sąsiadującym z ich pokojem wybuchł pożar. Wstępna ocena służb wskazuje na rozszczelnienie butli gazowej, którą ogrzewana była poczekalnia. Taki powód podawany jest bardzo często przy pożarach lub wybuchach butli gazowych. Rzadko jednak zwraca

Niebezpieczne zabawy



Łukasz Zboralski

Branża rozrywkowa szybko się rozwija. Przybyło miejsc, w których rozrywka wiąże się też z ryzykiem. Czy bierzemy je pod uwagę?

się uwagę, że butle gazowe klientom w Polsce dostarczane są z zafoliowanymi zaworami, ale pod nową folią tkwią w nich zużyte gumowe uszczelki. Nawet najwięksi operatorzy dostarczający w takich butlach gaz nie wymieniają uszczelkę ani nawet nie dokładają ich do wymiany klientom. Nie wiadomo, ile osób ma świadomość tego, że przykręcając butlę do domowej instalacji, powinni zmienić uszczelkę. Wiadomo, że w koszalińskim escape roomie butle na nowe wymieniał pracownik miejsca rozrywki.

OSTATNI TELEFON DO TATY

Gdy wybuchł pożar, nastolatki próbowały się wydostać. Media ujawniły, że jedna z nich dzwoniła do swojego taty. Miała prosić go o ratunek. Straż pożarna dotarła zaledwie po pięciu minutach od zgłoszenia, które odebrała. Niestety, było za późno. Pięć dziewczynek zmarło przez

zaczadzenie. 25-letni pracownik prawdopodobnie próbował dotrzeć do dziewczynki, ale odcięty go od nich płomień.

Niejasna jest sprawa nadzoru, który powinien pełnić pracownik escape roomu. W pomieszczeniach były zainstalowane kamery, na których powinien mieć podgląd sytuacji. Miał też krótkofalówkę, przez którą mógł podpowiadać rozwiązanie zagadek. Czy dobrze nadzorował klientów?

Jak sprawdziło „Do Rzeczy”, na stronie obiektu w komentarzach dotyczących tego pokoju 1 stycznia były klient zostawił komentarz oceniający m.in. jakość obsługi: „Problem techniczny dotyczy krótkofalówek, które zbierają fale z innych krótkofalówek, co wprowadzało zamęt i dezorientację. Kontakt był urywany i poszarpany” – napisał Piotr R.

W ubiegłym tygodniu w Koszalinie odbyły się pogrzeby nastolatka. Sąd – na



FOT. PAWEŁ RELIŃSKI/POLSKA PRESS/EST NEWS

wniosek prokuratury – zgodził się na trzymiesięczny areszt dla Miłosza S. To on miał przygotowywać wyposażenie escape roomu, w którym – zdaniem śledczych – zabrakło dróg ewakuacyjnych. Mężczyzna odmówił składania zeznań. Nie przyznaje się do winy.

W całym kraju trwają kontrole escape roomów. Strażacy wyliczają zaniedbania w takich miejscach: brak potwierdzenia trudnopalności materiałów, braki przeglądów instalacji elektrycznych i gazowych. Do tej pory zamknięto jeden escape room w województwie opolskim – nie spełniał wymogów dotyczących bezpiecznej ewakuacji uczestników zabawy.

WKREĆONE W GOKARTY

Jednak nie tylko escape roomy to rozrywka, która wyrwała się spod kontroli. Jest więcej miejsc, w których zamiast rozrywki można spotkać śmierć.

W listopadzie 2017 r. 20-latką z Wodzisławia Śląskiego bawiła się na torze kartingowym w Zwardoniu. W trakcie jazdy jej szalik wkręcił się w oś pojazdu. Dziewczyna z poważnymi obrażeniami trafiła do szpitala. Jej życie udało się uratować, ale od wypadku pozostała sparaliżowana. Śledczy prowadzący postępowanie w tej sprawie zarzucili obsłudze, że nie sprawdziła, czy użytkowniczka jest zabezpieczona przed wkręceniem się w koła pojazdu części garderoby. A to nie wszystko. Prokuratura ujawniła, że same pojazdy używane na tym torze były niesprawne – nie tylko niesprawne technicznie, lecz także nawet nieprawidłowo skonstruowane.

Rok wcześniej latem do podobnego wypadku doszło na torze kartingowym w Augustowie. Ze znajomymi wybrała się tam 17-lletnia Patrycja. Wsiadła do pojazdu bez kasku, choć wcześniej miała o niego prosić właściciela toru. W trakcie

jazdy jej włosy wkręciły się w oś pojazdu. Dziewczyna została oskalpowana. W trakcie zbierania materiałów śledczy ustalili m.in., że tor był samowolą budowlaną. W grudniu ubiegłego roku zapadł wyrok w tej sprawie. Okazało się, że jazda bez kasku była zgodna z regulaminem, ale włosy użytkowniczkę powinny być w takiej sytuacji spięte. Sąd uznał jednak, że właściciel jest winny nie tylko samowoli budowlanej, lecz także nieumyślnego spowodowania ciężkiego uszczerbku na zdrowiu Patrycji. Ostatecznie skazano go na dwa lata i dwa miesiące więzienia (wyrok jest nieprawomocny).

Do głośnego wypadku doszło też w 2013 r. na torze gokartowym w Sosnowcu. 18-lletnia Sandra jeździła tam ze znajomymi. W pewnym momencie wypadła z toru. Jej gokart przebił blaszaną ścianę i spadł do pomieszczenia znajdującego się piętro niżej. Ucierpiał jej pień mózgu, dziewczyna przez ponad tydzień była w stanie śpiączki. Ma problemy ze sprawnością lewej części ciała.

TRAGEDIE NA TRAMPOLINACH

Tak jak escape roomy w ostatnich latach w Polsce jak grzyby po deszczu powstawały parki trampolin. Mniejsze trampoliny stają latem prawie w każdym ogródku przydomowym, w którym mieszka rodzina z dzieckiem.

Skakanie po batucie, który pozwala się wysoko odbijać, to tylko teoretycznie bezpieczna zabawa. Wciąż niewiele osób zdaje sobie sprawę, jak sprawnym fizycznie trzeba być, by nie narobić sobie problemów, oraz jakie zagrożenie związane jest z taką rozrywką.

Dwa lata temu głośno było o wypadku w parku trampolin, któremu uległ znany społeczny działacz z Katowic – Krystian Jabłoński. Poszedł pobawić się z rodziną. Kiedy wykonywał salto, upadł głową na trampolinę. To uszkodziło mu rdzeń kręgowy w odcinku szyjnym kręgosłupa. Został sparaliżowany. Po skomplikowanej operacji przez dłuższy czas jego oddech musiał wspierać respirator.

Być może nowe technologie sprawią, że świat rozrywki stanie się mniej groźny. Wkraczający powoli świat wirtualnej rzeczywistości pozwala poczuć dreszcz emocji np. z latania nad przepaściami czy wspinania się na wieżacholki trudnych szczytów, bez potrzeby narażania życia. Całe niebezpieczeństwo jest już tylko pikselami w okularach.

Życie, śmierć i pełnia księżyca



FOT. MATERIAL PRASOWE



Piotr Gociek

Trzeci sezon serialu HBO „Detektyw” to aktorski popis Mahershali Alego i powrót do formuły opowieści, która zapewniła sukces pierwszej serii

Siódmego listopada 1980 r., w dniu, w którym zmarł Steve McQueen, ok. czwartej po południu dwoje dzieci: Julia i Will Purcellowie, wyszło z domu w niewielkim mieście stanu Arkansas. Kilka godzin później zaginionego rodzeństwa szukali wszyscy miejscowi policjanci, dowodzeni przez dwóch detektywów, zwanych się Hays i West. Noc była chłodna, a księżyc w pełni. Tak zaczyna się ta historia.

Pierwszy z detektywów, czarnoskóry Wayne Hase (Mahershala Ali), to były żołnierz, odznaczony za męstwo podczas wojny w Wietnamie. Uparty. Samotnik. Jego partner reklamuje go jako „kogoś w rodzaju tropiciela”. Wierzy w swój instynkt i w swą intuicję. Biały, Roland West (Stephen Dorff), jest mniej skłonny do wysuwania daleko idących konkluzji, ale gdy trzeba przyłożyć podejrzanemu, pierwszy zakłada rękawiczki. Lepiej radzi sobie z niekompetentnymi, acz apodyktycznymi przełożonymi. Nietrudno zgadnąć, który ma większe szanse na karierę.

ŚLADY ZŁA

W trzecim sezonie „Detektywa” („True Detective”) jego twórca, utalentowany scenarzysta i pisarz Nic Pizzolatto (powieść „Galveston”, zbiór opowiadań „W drodze nad Morze Żółte”), wraca do metody, która sprawdziła się w pierwszej części serii, a potem niespodziewanie prowadzi widza w nowym kierunku. Pierwszy odcinek

zdaje się z początku powtórka z rozrywki: para policjantów przesłuchuje doświadczonego gliniarza i prosi, by opowiedział o szczegółach sprawy, którą prowadził przed laty. Déjà vu jest natychmiastowe: przecież w pierwszym sezonie „Detektywa” przesłuchiwanymi bohaterami byli detektywi grani przez Matthew McConaugheya i Woody’ego Harrelsona. Przeszłość przenikała się z teraźniejszością, a my z wolna zagłębialiśmy się zarówno w zagadkę kryminalną, jak i w skomplikowaną relację między partnerami.

Trzeci sezon jest palimpsestem sklejonym z czterech warstw. Podstawowa to wydarzenia z jesieni roku 1980 i prowadzone przez Hase’a oraz Westa śledztwo. Druga to wypadki z roku 1990, kiedy niespodziewanie akta sprawy otwarto ponownie, kwestionując część ustaleń sprzed dekady. Trzecia to już teraźniejszość. Siwiuteńki i z trudem poruszający się Hase bierze udział w nagraniu na potrzeby telewizyjnego

programu „True Criminals”. Ponownie opowiada swoją wersję wydarzeń, by ze zdumieniem odkryć, że przeprowadzając wywiad reporterka dysponuje istotnymi informacjami, które nie były znane policji ani w roku 1980, ani 1990. Czwarta wreszcie warstwa to wspomnienia Hase’a z czasu wojny. Ta zaznaczona jest najdelikatniej.

Dwa słowa o rodzicach zaginionych dzieci. Od pierwszej chwili widzimy, że nie jest to szczęśliwa rodzina. Zanim się pobrał, nie mieli czasu lepiej się poznać, ślub był konsekwencją ciąży. Tom Purcell (Scott McNairy) utrzymuje rodzinę, pracując w lokalnej fabryce, Lucy Purcell (Mamie Gummer) zajmuje się głównie przyprawianiem mu rogów, oboje nie stronią od kieliszka – ot, zwykła biała biedota z Arkansas. Zniknięcie dzieci odmieni ich życie na zawsze (właściwsze byłoby słowo „zniszczy”), przy czym w połowie sezonu okaże się również, że losy Toma związane będą mocniej, niż mogłoby się zdawać z życiem jednego z detektywów.

Zło nigdy nie pozostawia śladu jedynie na mordercy i ofierze. Od chwili dokonania zbrodni fale nieszczęścia rozchodzą się dokoła. W miarę oglądania kolejnych odcinków „Detektywa” odkrywamy, jak wielu ludzi zostało nim dotkniętych. Paradoksalnie to, co dobre w życiu głównych bohaterów, także związane jest z tragicznymi wypadkami z 7 listopada 1980 r. Detektyw Wayne Hase poznaje swą przyszlą żonę, przesłuchując nauczycielki w szkole, do której uczęszczały zaginione dzieci. Detektyw Roland West znajduje obiekt swych westchnień, gdy obaj pobierają odciski palców od miejscowych parafian. Tyle tylko, że prawda jest dużo bardziej skomplikowana: nauczycielka angielskiego, żona Hase’a, ma ambicje literackie, a jej debiutem na niwie non-fiction okaże się książka poświęcona dochodzeniu prowadzonemu w 1980 r. przez męża. Dziesięć lat później zbliżająca się premiera książki oraz ponownie otwarte śledztwo wprowadzą w życie tej pary (wychowującej już dwoje dzieci) nieoczekiwane wielkie napięcia.

DETEKTYW Z AMNEZJĄ

Gdy streszczam te perypetie, siłą rzeczy wracam myślami do pierwszego sezonu

„Detektywa” – tam także życie prywatne prowadzących śledztwo policjantów było powikłane i rodziło dodatkowe napięcia (w przypadku jednego z nich widać było nawet bezpośredni związek ze sprawą). W trzecim sezonie mamy jednak do czynienia z czymś więcej niż ze zwykłą powtórką z rozrywki. Detektyw Hase, który u kresu życia próbuje poukładać sobie w głowie wszystko, co wie o śledztwach sprzed lat, to starszek dotknięty demencją. Skąd możemy mieć pewność, że się nie myli, gdy prezentuje swoją wersję wydarzeń? Czy nie zapomniał istotnych szczegółów, skoro nie pamięta nawet, o co się pokłócił ze swoim najlepszym przyjacielem ćwierć wieku wcześniej, skoro błąka się nocą po własnym mieszkaniu, szukając żony, której nie ma tam już od dawna, skoro musi nagrywać własne przemyślenia, by następnego dnia w ogóle wiedzieć, że podjął wysiłek ich uporządkowania?

Trudno powiedzieć na pewno, bo HBO udostępniło recenzentom jedynie pięć z ośmiu odcinków serialu, ale wietrzę tu jeszcze jedną sprytną pułapkę na widza i możliwość efektywnego wykorzystania motywu „detektywa z amnezją”. Po pierwsze – czy są rzeczy, których nie pamięta, bo nie chciał ich zapamiętać, gdyż były zbyt bolesne lub niewygodne? Po drugie – czy sam nie stanie się przedmiotem manipulacji? Skoro inni – i nie mówię tu o rodzinie – wiedzą o jego przypadłości, a jednocześnie niewyjaśnione kwestie sprzed lat znów stają się przedmiotem debaty, czy najprostszą metodą na ponowne pogrzebanie prawdy nie byłoby wmówienie tracącemu pamięć policjantowi kilku rzeczy, których nie mógłby zweryfikować ze względu na swą chorobę?

Myślę, że takie niespodzianki mogą czekać nas w finałowych odcinkach nowego „Detektywa”, zwłaszcza że z rozsianych przez twórców serialu okruszków informacji wynika wyraźnie, iż za plecami prowadzących dochodzenie kumpi działały jakieś wpływowe siły, którym zależało na takim, a nie innym zakończeniu śledztwa. Podobnie jak spodziewać się można, że pewne fakty z przeszłości rodziców porwanych dzieci mogą okazać się niezwykle znaczące – przynajmniej tak obstawiam po tym, co zobaczyłem w pierwszych pięciu odcinkach.

Detektyw Hase okazuje się więc postacią tragiczną po trzykroć. Raz – nęka go poczucie winy, bo wie, że nie doprowadził śledztwa do prawdziwego finału. Dwa – jego życie rodzinne okazuje się w pewnym sensie ofiarą sprawy sprzed lat, choć paradoksalnie ta sama sprawa w ogóle dała mu możliwość prowadzenia tego życia. Trzy – demencja pomału odbiera mu szansę nie tylko na rozwiązanie zagadki i w ogóle możliwość normalnego życia. Czy doczeka odkupienia? Czy jakimś zarządzeniem losu – bądź dzięki czyjejś pomocy – zdoła zrozumieć to, czego nie rozumiał przez 35 lat?

ALI PRZYĆMIEWA WSZYSTKICH

Nawet gdyby wszystko to było mniej skomplikowane, mniej ciekawe i gorzej wymyślone, jedno jest pewne – nie ruszyłbym się sprzed ekranu i tak, bo oglądanie Mahershali Alego w głównej roli jest fascynujące. Aktor nagrodzony Oscarem za rolę w „Moonlight” i Złotym Globem za występ w filmie „Green Room” jest tu bezbłędny, absolutnie przekonujący i hipnotyzujący. Każdą sekundę obecności w kadrze kradnie dla siebie. W pierwszym sezonie „Detektywa” mieliśmy pojedynkę gwiazd – zarówno Matthew McConaughey, jak i Woody Harrelson byli wyśmieni. W drugim nie było komu kibicować, bo postaci były niespecjalnie sympatyczne, scenariusz mętny i niewysokiej próby, aktorzy wyraźnie słabsi (Vince Vaughn i Colin Farrell). W trzecim nie ulega wątpliwości, że Mahershala Ali przyćmiewa wszystkich, w tym swego głównego partnera, bo Stephen Dorff jako detektyw West wypada dobrze – aż dobrze i tylko dobrze.

Serialowa żona Hase’a zatytułowała swą książkę o wypadkach roku 1980 „Życie, śmierć i księżyc w pełni. Morderstwo, wprowadzenie i społeczeństwo, którą zniszczyły”. W „Detektywie” do listy pokrzywdzonych możemy dopisać i detektywa Hase’a. Na ile ponosi karę za własną pychę, zaniedbania czy brak uporczywości, na ile jest ofiarą innych graczy, których rola na razie pozostaje jeszcze nieujawniona – będę niecierpliwie czekał na ostatni odcinek, by się tego dowiedzieć. Warto „Detektywa” nie tylko oglądać, lecz także czynić to niezwykle uważnie, bo puzzle ułożone są z wielką zręcznością, a Mahershala Ali stworzył kolejną wybitną kreację – nie wiem, czy nie najwybitniejszą w swej dotychczasowej karierze.

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Najważniejszym dniem życia Henryka Mikołaja Góreckiego był 9 czerwca roku 1979? ($9 + 6 + 1 + 9 + 7 + 9 = 41$; $4 - 1 = 3$ – fascynacja numerologią).

MARIA WILCZEK-KRUPA: Nie wiem, czy Górecki wykonał kiedykolwiek podobne działanie związane akurat z tą datą, ale na pewno byłby zachwycony wynikiem, bo przecież uwielbiał trójki. Fascynowały go liczby pierwsze, podobnie jak Oliviera Messiaena, który był jego wielkim muzycznym idolem. Sam dzień prawykonania „Beatus vir” w kościele Franciszkanów w Krakowie, w obecności Jana Pawła II, był jednym z najszcześniejszych dni w jego życiu. Mówił o tym wielokrotnie. To wydarzenie dało mu siłę i naładowało baterie na kolejne 10 trudnych lat.

Muzyką zajął się dopiero po uzyskaniu świadectwa maturalnego, bo dzięki niej je uzyskał?

Wziął się do niej faktycznie późno, ale tylko w sensie dydaktycznym. Po maturze dopiero rozpoczął naukę w szkole muzycznej – w Rybniku, u braci Antoniego i Karola Szafranków. Żadna inna placówka tego typu nie chciała go przyjąć, bo wydawał się za stary na bycie uczniem. Natomiast komponował już wcześniej, uczył się także gry na skrzypcach u miejscowego muzykanta pracującego na pocztce w Rydułtowach, Pawła Hajdugi.

Z tą matematyką to ciekawa historia – Górecki się na maturę przygotował dość słabo, prawie ją oblał, a przepuszczono go tylko dlatego, że zamierzał zostać muzykiem. Komisja uznała, że matematyka niekoniecznie mu się do czegoś przyda, więc można mu postawić tróję. Tymczasem był zafascynowany liczeniem przez całe życie, miał zresztą ścisły umysł, nawet uczył przez chwilę matematyki w szkole podstawowej w Radoszowach.

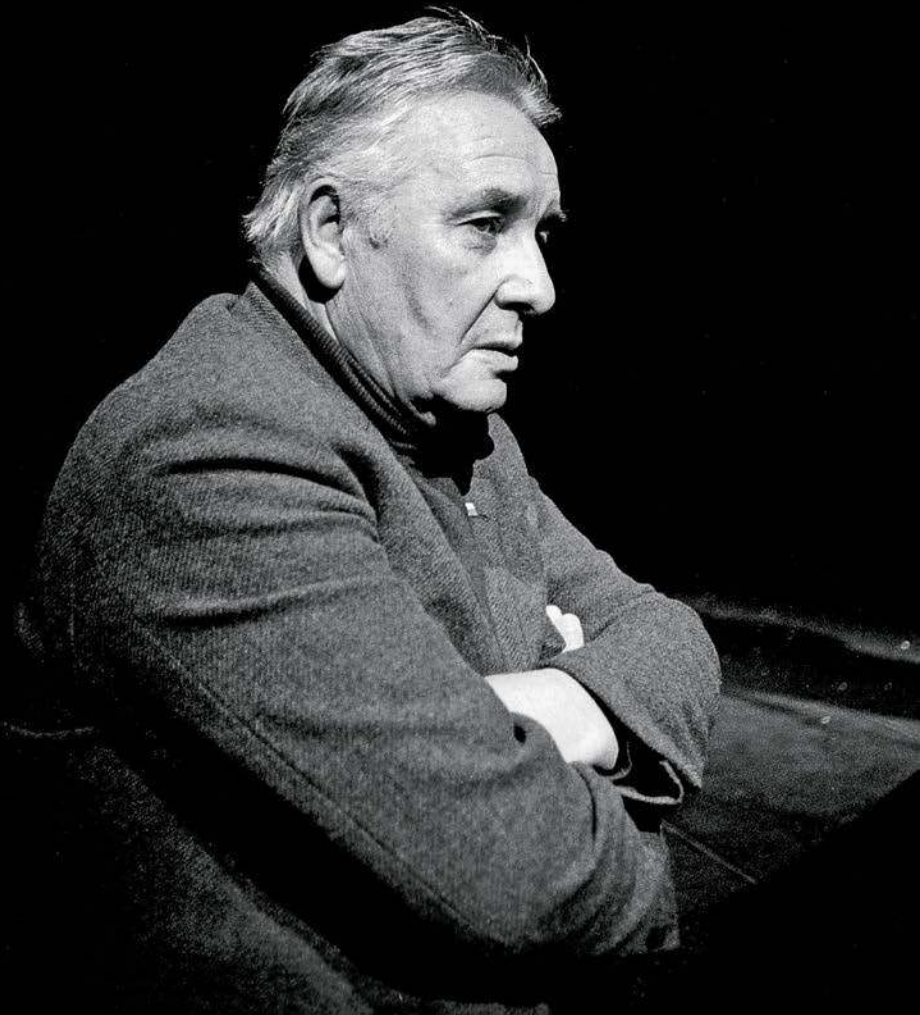
Co było powodem kalectwa kompozytora?

Kiedy miał cztery latka, bawił się na podwórku sąsiadów. Była tam kupka gliny, chłopczyk się pośliznął, nóżki się rozjechały i zrobiły niekontrolowany szpagat. Biodro wyłamało się z panewki, Górecki zemdlął z bólu. Miejscowa znachorka (Henryk mówił: „baba ustawiaczka”) kazała przywiązać dziecku nogi do tułowia, w ten sposób spędził kilka miesięcy, leżąc, i wszystko źle się zrosło, przyplątała się do tego gruzlica kości. Nie wstałby już nigdy z łóżka, gdyby nie niemiecki lekarz dr Seifert – już podczas wojny – nie podjął się wielu skomplikowanych operacji i nie postawił pacjenta na nogi. Górecki spędził



Z Marią Wilczek-Krupą,
dziennikarką, autorką biografii Henryka Góreckiego
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Błogosławiona wojna Góreckiego



FOT. CZESŁAW CZAJLIŃSKI/FOTONIA

wiele miesięcy w szpitalu w Bytomiu. Ostatecznie biodro zostało uratowane, ale noga pozostała już na zawsze o 10 cm krótsza.

W jakim stopniu na jego biografie wpłynęła „błogosławiona wojna”?

Związek z Jadwigą Rurańską odegrał w życiu Góreckiego kluczową rolę. Marzył o ciepłym domu, kochającej się rodzinie i szczęściu. Osiągnął to, ale nie tylko dzięki sobie i swojemu uporowi. Nazywał swoją żonę Świętą Jadwigą, a małżeństwo „błogosławioną wojną, która oby nigdy się nie skończyła”, bo miał dystans do siebie. Wiedział, że jest trudnym człowiekiem. Gwałtownym, niepoohamowanym. Urządzał żonie nieprawdopodobne awantury, ale potrafił też pięknie przeproszać. Cierpliwie znosiła jego wybuchy, potrafiła go tonować jak nikt. Podziwiał ją, że z nim wytrzymała. Bardzo jej ufał jako muzykowi (pani Jadwiga jest pianistką).

Spektakularny sukces „III Symfonii pieśni żałobnych” op. 36 zapoczątkował David Bowie?

Tego bym nie powiedziała. Bowie wykorzystał utwór jako muzyczny przerywnik pomiędzy dwiema częściami swego koncertu. Nikt nie wyszedł z sali, wszyscy stali zafascynowani muzyką. Jednak kariera tej kompozycji zaczęła się od spotkania Góreckiego z Davidem Drew z wydawnictwa Boosey & Hawkes. Drew zainteresował „III Symfonią” szefa swojego wydawnictwa, jednocześnie odkrył tę kompozycję szef London Sinfonietty. Wkrótce wyszła słynna płyta z Dawn Upshaw, potem „III Symfonię” zaczęto grać w rozgłośniach radiowych, dostała się na szczyt list przebojów, przedarła się za ocean... Syndrom kuli śnieżnej. Nie dało się tego sukcesu zatrzymać.

Nie powstałaby, gdyby nie wizyta twórcy w zakopiańskiej katowni gestapo. Muzyka początkowo nie trafiła w swój czas?

Odwiedził katownię dlatego, że znalazł w jednej ze swoich książek o obozach koncentracyjnych inskrypcję, którą uwiecznioną w „Palace” Helenka Błażusiakówna napisała na ścianie. To był niezwykle sposób pożegnania się z matką, prośba, by nie rozpacziała... I wzruszająca modlitwa. Postanowił wykorzystać tekst w swym utworze, ale wcześniej chciał zobaczyć, poczuć to miejsce, w którym więziono Helenkę.



MARIA WILCZEK-KRUPA
-KRUPA
„GÓRECKI.
GENIUSZ I UPÓR”
ZNAK 2018

„III Symfonia” miała polskie prawykonywanie w 1977 r. i była jednym wielkim skandalem. Po pierwsze, Górecki nie przyszedł na koncert, pokłócił się z muzykami, był oburzony sposobem wykonywania tego utworu przez dyrygenta Andrzeja Markowskiego i śpiewaczkę Stefanię Woytowicz. Po drugie, obok głosów szczerzego zachwytu pojawiła się bardzo ostra krytyka, pochodząca zwłaszcza ze środowiska kompozytorskiego. Słowa „kicz”, „szarlataneria”, „muzyczny nikiforyzm” padały nader często. Przez kilkanaście lat utwór właściwie leżał na półce, aż do 1992 r., kiedy nagranie London Sinfonietty z Dawn Upshaw i Davidem Zinmanem wyniosło go na szczyty list przebojów. Płyta sprzedawała się w ponadmilionowym nakładzie – to precedens w historii muzyki klasycznej! W 2007 r. Górecki, jako jedyny Polak, znalazł się na brytyjskiej liście 100 geniuszy współczesnych. Na 32. miejscu.

Fragmenty „III Symfonii” słycać w klasyce filmowej (Peter Weir, Liliana Cavani, „Rodzina Soprano” etc.). Dlaczego Górecki nie pisał dla kina i teatru?

Do teatru pisał w młodości. Dla Jerzego Jarockiego. Miał też swoją przygodę z kinem, ale skończyła się marnie i zraziła Góreckiego do filmu na zawsze. Krzysztof Zanussi pod koniec lat 60. poprosił go o napisanie muzyki, do której potem będzie można nakręcić film. Zadanie było karkołomne i efekt łatwy do przewidzenia. Muzyka Góreckiego była wspaniała, ale niestety opowiadała zupełnie inny film niż ten, który sobie Zanussi obmyślił. Ostatecznie ścieżkę dźwiękową do „Struktury kryształu” napisał Kilar, a Górecki obraził się na kino i później odmówił nawet Melowi Gibsonowi, który proponował mu napisanie muzyki do „Pasji”. „III Symfonia” za to gra w ponad 20 produkcjach, więc nie możemy narzekać na brak Góreckiego w kinie.

Rektorem katowickiej PWSM został przypadkowo. Jak to przyniosło reperkusje?

Stanowisko to objął na usilną prośbę Michaliny Growiec (sekretarza uczelnianego komitetu partyjnego) i swojego przyjaciela Leona Markiewicza. Szybko pożałował. Bezpieka dosłownie deptała mu po piętach. Był pod stałym ostrzałem. Próbowano wymóc na nim zwolnienie z pracy jednego z asysten-

tów – organisty Juliana Gembalskiego, dziś profesora AM w Katowicach – za to, że grał w kościele i udzielał się w duszpasterstwie akademickim. Nie dał się złamać. Szczegóły tej dramatycznej walki można przeczytać w aktach IPN, bo Gembalskiemu założono sprawę o niewyszukanym kryptonimie: Organista. Wkrótce Górecki zaczął rozumieć, że otaczają go osoby zupełnie mu obce, takie jak Witold Szalonek, którego intuicyjnie nie cierpiał, a który okazał się życzliwym rozmówcą dla oficerów SB. Niektórzy przyjaciele też go zawiedli, zaczęto na niego donosić, był sam. Kiedy Karol Wojtyła zamówił u niego utwór, a w trakcie powstawania „Beatus vir” został wybrany na papieża, sytuacja stała się nie do zniesienia. Górecki był podsłuchiwany, miał zainstalowany „ogon”, dziennikarzom zabroniono z nim rozmawiać, wybito mu szyby w oknach... Rezygnacja z funkcji rektora była jego zdaniem jedynym wyjściem. Złamanie się i postępowanie podług życzeń i nakazów władz partyjnych nie wchodziło w grę. To był człowiek niezłomny.

Podkreślał polskość Górnośląska!

Tak. Kochał Śląsk jako ziemię, która go wykarmiła i z której wyrósł. W ogóle miał szczególne podejście do ziemi. Jako takiej. Bardzo ją szanował, lubił chwycić do ręki, poobrać w palcach. Śląsk dla niego był na wskroś polski. Ojciec Góreckiego był powstańcem śląskim. Henryk podkreślał, że przecież nie walczył o to, żeby ta ziemia była niemiecka, tylko o to, żeby była nasza, czyli polska.

Polityka zawsze gościła w jego życiu?

Bardzo przeżywał to, co się działo w kraju. Pod tym względem polityka miała swoje miejsce w jego życiu codziennym. Potwornie przeżył prowokację bydgoską (napisał wtedy „Miserere”, będąc pod wpływem tych tragicznych wydarzeń), stan wojenny, pacyfikację kołpalni Wujek. Jednak nie chciał być ikoną jakiegokolwiek partii, nie interesowała go kariera polityczna.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Maria Wilczek-Krupa
– dziennikarka prasowa
i radiowa. Absolwentka teorii
muzyki na krakowskiej Akademii
Muzycznej. Przed książką
„Górecki. Geniusz i upór”
opublikowała biografię „Kilar.
Geniusz o dwóch twarzach”.



Popiersie Fryderyka Chopina w Tokio
FOT. HISTORIC IMAGES/ALAMY STOCK PHOTO/BEGW



Łukasz Czarniecki

W grudniu 2018 r. TVP sprzedała prawa do emisji serialu „Korona królów” japońskiej telewizji. Tym samym polska historyczna telenowela o Kazimierzu Wielkim rusza na podbój Dalekiego Wschodu

Transakcja ta wydawać się może egzotyczna, trochę „nie z tego świata”, jednak to tylko pozory. Wątki polskie obecne są w japońskiej kulturze już od drugiej połowy XIX w. Pierwsze zetknięcie się Polaków i Japończyków miało miejsce w XVI w. i patrząc na nie z perspektywy ponad czterech stuleci, trudno nie dostrzec w nim jakiegoś metafizycznego wydźwięku, wyznaczającego kierunek dalszego rozwoju kontaktów między obydwojema nacjami. W roku 1585 Bernard Maciejowski (późniejszy prymas), przebywając na papieskim dworze, spotkał w Rzymie czterech samurajów katolików, którzy odbywali właśnie pielgrzymkę do Wiecznego Miasta. Jak się wydaje, musiał zaprzyjaźnić się z egzotycznymi pątnikami, gdyż na pożegnanie otrzymał od nich japońskie tłumaczenie „Psalmów Dawida”, które

Chopin u stóp Fuji

do dziś znajdują się w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej.

SZLAGIER PRZEŁOMU WIEKÓW

Do rozślawienia Polaków w Kraju Wschodzącego Słońca przyczynił się mjr Fukushima Yasumasa. Wojskowiec, przebywając w roku 1892 z wizytą w Niemczech, oświadczył gospodarzom, że do rodzinnego kraju powróci... konno. Ekscentryczny oficer wyruszył wierzchem w trwającą ponad rok podróż z Berlina do Władywostoku. W rosyjskim porcie musiał co prawda zejść z siodła i przesiąść się na statek, bo wierzchołwiec odmówił kontynuowania podróży w pływ, ale wyczyn majora i tak odbił się w jego ojczyźnie szerokim echem. Na podstawie raportu spisane go przez wojskowego poeta Ochiai Naobumi napisał poemat „Podróż na koniu”, którego część stanowił streszczający tragiczną historię naszego kraju utwór „Wspomnienie Polski”. Z całego dzieła to ten właśnie fragment zrobił największą karierę – wyodrębniono go z całości, dopisano do niego melodię i zanim autor się obejrzał, „Wspomnienie” śpiewali jako pieśń wojskową japońscy żołnierze. Z armii piosenka rozprzestrzeniła się na cały kraj, szybko stając się popularnym szlagierem. Dość rzec, że pierwszy japoński attaché wojskowy w Polsce i uczestnik bitwy pod Radzyminem – mjr Yamawaki Masataka (późniejszy generał) – twierdził po latach, że zgodził się objąć swoje stanowisko, gdyż chciał na własne oczy zobaczyć krainę, o której opowiadała jego ulubiona pieśń.

KSIAŻĘ JÓZEF PIJE SAKE

Czasy po II wojnie światowej są dla Japonii okresem gwałtownego rozwoju kultury popularnej. To wtedy właśnie narodziła się wśród młodzieży moda na zaczytywanie się mangami (komiksami) i oglądanie filmów anime. Z czasem młodzi odbiorcy opowieści obrazkowych dorośli, ale nie porzucili przyzwyczajzeń. Współcześnie japoński rynek komikso- wy jest gigantycznym popkulturowym molochem, w ramach którego znaleźć można mangi na dosłownie każdy te-

mat: od wojowników ninja, przez tklive romanse, do opowieści o codziennym życiu uczniów technikum rolniczego.

Do najbardziej cenionych japońskich autorek historii obrazkowych należy Ikeda Riyoka, spod której pędzelka wyszła m.in. opowiadająca o Marii Antoninie kultowa manga „Róża Wersalu”, która doczekała się sfilmowania przez francuskiego reżysera Jacques’a Demy, wersji anime oraz adaptacji scenicznej. Historia przedrewolucyjnego dworu królewskiego jest jednak tylko jednym z dzieł stworzonych przez Ikedę. W jej bogatej twórczości odnaleźć możemy też wątek czysto polski – narysowała ona bowiem w roku 1990 trzytomowy komiks zatytułowany „Aż do nieba. Tajemnicza historia Polski”, którego głównym bohaterem uczyniła... księcia Józefa Poniatowskiego. Utwór ten sześć lat po powstaniu został zresztą przetłumaczony na język polski, stając się jedną z pierwszych mang wydanych nad Wisłą.

Opowieść o wybitnym polskim dowódcy żyjącym w burzliwych czasach upadku I Rzeczypospolitej i wojen napoleońskich została przez Ikedę odwzorowana koncertowo. Co prawda, wprowadziła do niej kilka wątków czy postaci czysto fikcyjnych, jednak całość trzyma się historycznych realiów niezwykle wiernie, co budzi wielki szacunek wobec posiadanego przez autorkę ogromu wiedzy dotyczącej tak egzotycznego dla Japończyków zagadnienia. Manga ta, jak większość dzieł pani Ikedy, odniosła sukces, a młode Japonki jeszcze przez dłuższy czas wzdychały do księcia Pepi.

WAMPIRY W WARSZAWIE

Kolejny utwór, o którym warto wspomnieć, nie jest już tak ambitny jak „Aż do nieba”, odniósł jednak o wiele większy sukces komercyjny. Mowa o mandze „Hellsing” Hirano Kōty, wychodzącej w Japonii w latach 1997–2008. Komiks ten opowiadający o tajnej brytyjskiej organizacji walczącej z wampirami jest historią z gatunku „Znacie? No to posłuchajcie”. Został wypełniony pomysłami, które w popkulturze były wykorzy-

stywane już dawno (wampiry naziści, tajemnice Watykanu, hrabia Drakula itp., itd.), a co bardziej ortodoksyjni katolicy mogą go nawet uznać za obraźliwy (wśród przeciwników głównych bohaterów jest naślany przez papieżstwo ksiądz skrytobójca), jednak ta cudaczna, niezwykle krwawa papka sprzedała się w olbrzymiej liczbie egzemplarzy zarówno w Japonii, jak i na Zachodzie, i doczekała się aż dwóch opartych na niej seriali anime.

Wątek polski w cyklu „Hellsing” pojawia się w wydany w roku 2001 tomiku „Hellsing: The Dawn”, którego akcja rozgrywa się w Warszawie podczas II wojny światowej. Wysłani przez tytułową organizację agenci starają się zniszczyć usytuowaną w okupowanej stolicy Polski niemiecką placówkę badawczą, pracującą nad stworzeniem esesmanów wampirów.

W latach 2006–2012 fani przygód brytyjskich pogromców krwiopijców mieli okazję oglądać 10-odcinkową ekranizację ich ulubionej mangi. Do jej powstania rękę przyłożyła strona polska – fenomenalna ścieżka dźwiękowa tej produkcji została nagrana przez Filharmonię Warszawską.

FELIKS I PRZYJACIELE

Inny „polski” komiks został początkowo stworzony jako dostępna w Internecie historyjka obrazkowa, jednak zdobyta przez niego duża popularność sprawiła, że wydano go ostatecznie w wersji papierowej. Mowa tu o wymyślonym przez Himaruya Hidekazu cyklu „Axis Powers Hetalia” z 2008 r.

W przypadku tego utworu trudno jest mówić o jakiegokolwiek fabule. Jest to raczej zbiór gagów i absurdałów, zakręconych niczym korkociąg przygod wesołej gromadki młodzieńców i dziewcząt, stanowiących personifikacje różnych krajów oraz ucieleśniających stereotypy na temat ich mieszkańców.

Osią przypadków głównych bohaterów są odgrywane przez nich wydarzenia z II wojny światowej – w przypadku komedii pomysł nieco dziwny, ale okazał się on strzałem w dziesiątkę i podbił serca Japończyków. Z drugiej strony trudno się nie uśmiechnąć, oglądając perypetie gapowatego ludzika uosabiającego Włochy.

Wśród licznych bohaterów cyklu znalazło się miejsce również dla swojego brzmiącego dla polskiego ucha (nie mam pojęcia, jak udaje się to wymówić Japończykom) Feliksa Łukasiewicza, będącego ucieleśnieniem polskości.



Manga „Aż do nieba” powróciła już do nas w polskim wydaniu. „Hellsing” tylko w wersji anglojęzycznej
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Ten, wiecznie ubrany w strój ułana z czasów II Rzeczypospolitej, wesoły długowłosy blondynek przedstawiany jest jako młodziwiec dzielny i honorowy, aczkolwiek nieco lekkomyślny i trochę dziecinny (w ramach modernizacji podległych mu sił zbrojnych wyposaża je w... kucyki, a chcąc uciec przed rosyjską inwazją, montuje na dachu swego domu śmigło, by odlecieć). Z powodu burzliwej historii kraju, który uosabia, porównywany bywa przez innych bohaterów do Feniksa wiecznie odradzającego się z popiołów. Przy okazji warto zauważyć, że pomysłodawca cyklu, mimo dziwacznych niekiedy pomysłów (ach te kucyki!), porządnie odrobił zadanie domowe z historii Polski. Czytelnicy śledzący losy Feliksa mogli zapoznać się m.in. z postacią Władysława Jagiełły i dziejami unii polsko-litewskiej.

Naszemu reprezentantowi udało się zdobyć sympatię czytelników komiksu zarówno w Japonii, jak i na całym świecie. Świadczy o tym duża liczba dostępnych w Internecie stworzonych przez fanów przedstawiających go grafik czy traktujących o nim opowiadań.

SUPER-CHOPIN

O miłości Japończyków do Chopina powiedziano już bardzo wiele. Towarzyszy on im od dzieciństwa, jego utwory wpisane są w kanon edukacji muzycznej uczniów Kraju Kwitnącej Wiśni. Czasem jednak japońskie uwielbienie dla polskiego kompozytora przybiera formy zaskakujące. Przykładem może być tu wydana w roku 2007 konsolowa gra „Eternal Sonata”.

Fabula gry skupia się na... przedśmiertnych majakach Chopina, który gorączkując w ostatnich trzech godzinach życia, przenosi się do zamarzonej krainy. Tutaj, chcąc pomóc chorej dziewczynce o imieniu Polka, kompozytor rusza w niebezpieczną podróż, w czasie której przy dźwiękach skomponowanych przez siebie utworów będzie musiał pokonać niezliczonych przeciwników, posługując się w czasie walki wynalazkami takimi jak flet -strzelba czy miecz-puzon.

OD „PANA TADEUSZA” DO „WIEDZMINA”

W Tokio można także kupić tłumaczenie „Pana Tadeusza”, nie cieszy się ono jednak zbyt wielką popularnością – wydaje się, że poemat ten jest zbyt obcy literaturze japońskiej, która nie dysponując narzędziami w postaci rymów, nie jest w stanie dobrze oddać jego piękna w swoim języku.

Ostatnio Polska zyskała nowego ambasadora w Kraju Kwitnącej Wiśni – jest nim wiedźmin Geralt. Trzecia część jego komputerowych przygód doczekała się japońskiego dubbingu i została wydana u stóp góry Fuji. Polska gra przypadła Japończykom do gustu, choć gracze marudzili nieco na liczbę nawiązań do książek napisanych przez Andrzeja Sapkowskiego – w języku japońskim wydano bowiem do tej pory tylko jeden tom sagi.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAL PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

W co wierzymy, szefie?



★★★★★
REŻ. ADAM MCKAY
„VICE”
USA/WIELKA
BRYTANIA/
HISZPANIA/ZEŁA
2018

wyst. Christian Bale,
 Amy Adams,
 Steve Carell

W amerykańskim kinie nawet polityczny paszkwil przybiera formę opowieści o człowieku sukcesu.

Dick Cheney wystartował słabo. Wyleciał ze studiów za pijaństwo i wszczynanie awantur. Potem wziął się w garść i został mistrzem intryg oraz szarą eminencją republikańskiej administracji. Prawdziwy pomnik wybudowali mu jednak wrogowie. Z komediodramatu McKaya wynika, że ów niepozorny działacz jest wcieleniem Galactusa planetożercy, odpowiedzialnym za całe zło, które wydarzyło się w świecie na początku XXI w. Zmniejszył podatki bogatym, zatrzymał walkę z globalnym ociepleniem, sprokrował kilka wojen i – co najgorsze – pchnął USA na prawo.

„Vice” jest filmem chaotycznym i tylko momentami zabawnym.

Brawurowa gra aktorów nie może zamaskować faktu, że już w wstępie fabuła wpada w Rów Mariański. Jakim cudem umysłowo ocieślały intrygery zaszedł tak daleko? Czym kierowali się jankesi, sześciokrotnie wybierając do Kongresu sztywniaka i potakiewicza? Wiedziałem na tych łamach psy na montażyście włoskich „Onych”. Cóż tu mówić o człowieku, który wyciął z filmu McKaya scenę podpisywania przez tytułowego bohatera cyrografu z diabłem? Tylko tak można wytłumaczyć nagłą przemianę bezbarwnego biurokraty w Makiawela z zadatkami na Makbeta.

Moje podejrzenia zamieniły się w pewność, gdy Christian Bale w euforii po otrzymaniu Złotego Globu podziękował szatanowi za inspirację. W tej sytuacji nie warto zastanawiać się nad motywa-

mi Cheney. On po prostu sprzedał duszę, by osiąść władzę i majątek (nieprzypadkowo na przegubie błyska mu złoty zegarek). Inne go znaczenia nabierają też sceny, w których bohater nieludzko spokojnym głosem oznajmia, że znowu ma zawał serca.

Z afery, która zakończyła karierę Nixona, Cheney wyciągnął tylko jeden wniosek: nie wolno zostawiać za sobą śladów ani dać się nagrać. Nasi promieniści też już o tym wiedzą, poza tym – w odróżnieniu od swych amerykańskich kolegów – nie zadają naiwnych pytań typu: „W co wierzymy, szefie?”. Diabeł sprytnie zaplanował karierę kongresmana z Wyoming. Dopiero na starość zrobił go wiceprezydentem. Stary lis od razu dostrzegł, że George W. Bush to polityczny abnegat, otoczony miernotami. Z dekoracyjnego urzędu uczynił więc alternatywny ośrodek dowodzenia. Prezydent, a z nim cały naród, kupił bajkę o wojnie z terroryzmem, która posłużyła jako pretekst do łamania umów międzynarodowych i wolności obywatelskich. McKay zdaje się wierzyć, że Ameryka jest więcej warta niż jej polityczna elita. Niech będzie, lecz to samo można powiedzieć o wszystkich rządach i narodach. ©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „GLASS”

Zwieńczenie jednej z najdziwniejszych trylogii kinowych, jakie wymyślono. Zaczęło się w roku 2000 od filmu „Niezniszczalny”, potem reżyser przeżywał wzloty i upadki (częściej upadki), aż w zeszłym roku błysnął thrillerem „Split”, nietypową opowieścią o maniackalnym mordercy. Film „Glass” w niespodziewa-

ny sposób łączy wątki opowieści bardzo od siebie różnych, tworząc zgrabną mieszankę grozy, fantazji i ekstrawagancji. ©

Piotr Gociek

• „Glass”, USA 2019,
 reż. M. Night Shyamalan,
 wyst. Bruce Willis, Anya Taylor-Joy,
 Sarah Paulson, James McAvoy

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Dom, który zbudował Jack”, reż. Lars von Trier, Dania/Francja 2018
- „Chłopiec z burzy”, reż. Shawn Seet, Australia 2019
- „Sny wędrownych ptaków”, reż. Ciro Guerra, Dania/Kolumbia 2018
- „Astérix i Obélix. Tajemnica magicznego wywaru”, reż. Louis Clichy, Francja 2018

Ballada o dobrym łotrze

Od galernika do szefa policji. Kariera, nawet jak na czasy napoleońskie, zdumiewająca. Pamiętniki Vidocq'a dały początek modzie na detektywistyczne powieści. Seriale o jego przygodach były przebojem francuskiej telewizji. Tylko kino nie potrafiło znaleźć klucza do tej barwnej postaci. „Władcę Paryża” też trudno nazwać arcydziełem, lecz tym razem przynajmniej oszczędzono nam naparzanek z komputerowym demonem. Vidocq, zanim przeszedł na stronę prawa i sprawiedliwości, był recydywistą. Karierę zaczął od okradania własnych rodziców, z wojska zdezerterował. Twórcy filmu zamiast konwencji łotrzykowskiej wybrali jednak

romantyczną. Bohater pomaga policji zwalczać przestępców, bo sam „nie jest jednym z nich”. Legendą półświatka został najwyraźniej przez pomyłkę. Do kobiet ma pecha, inaczej już dawno by się ustatkował. Z takiej materii da się skroić kostiumowe patrzydło, lecz o wskrzeszeniu mitu nie ma nawet co marzyć. Zwłaszcza że Vincent Cassel gra, jakby na przekór reżyserskiej koncepcji, zblazowanego spryciarza. Inni przechodzą jakieś przemiany, on z miną człowieka, który wszystko widział i wszystko wie, czeka na końcowe napisy. Więcej ikry mają w sobie postaci drugoplanowe: szczywany minister Fouché i baronowa z przeszłością kurtyzany. ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★
REŻ. JEAN-FRANÇOIS RICHT
„WŁADCA PARYŻA”
FRANCJA 2018

wyst. Vincent Cassel, Freya Mavor, Patrick Chesnais



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KOCHANIE, ZNÓW SIĘ ZMNIEJSZYŁEM!

Scott, znany też jako Ant-Man, odsiaduje w areszcie domowym karę za pomoc udzieloną Kapitanowi Ameryka, tymczasem Hank Pym, twórca kombinezonu umożliwiającego zmniejszenie się do rozmiarów mrówki, szykuje ekspedycję ratunkową do wymiaru kwantowego, w którym przed laty zaginęła jego żona. Propozycja dla zdecydowanie młodszych widzów, rozrywkowa w mocno infantylny sposób. Fani Michelle Pfeiffer (pojawia się w drobnej roli) będą mogli sobie przypomnieć, że lat jej przybywa, ale urok nie przemija, uśmiech zaś pozostaje wciąż ujmujący. Po stronie czarnych charakterów odnotujmy pojawienie się Waltona Gogginsa w roli Burcha, wyjątkowo niesłownego, ale bardzo chciwego przestępcy. ©©



wyst. Paul Rudd, Evangeline Lilly, Michael Peña, Michael Douglas

★★★★★
REŻ. PEYTON REED
„ANT-MAN I OSA”
(„ANT-MAN AND THE WASP”)
USA 2018, GALAPAGOS

POTWÓR, O KTÓRYM ZAPOMNIAŁ CZAS

Każda dekada musi mieć swoje „Szczęki”, więc powrót do kin krwiożerczego rekina nie może dziwić. Rekin jest naprawdę wielki (ponad 20 m), bo to ocalały jakimś cudem prehistoryczny *Carcharodon megalodon*. Niestraszne mu łodzie zwykłe oraz podwodne, a i kule się go nie imają. Na polowanie wybiera się Jason Statham – twardziel, który już kiedyś napotkał bestię, ale nikt mu wtedy nie uwierzył. Ekranizacja powieści Steve’a Altena „Meg. Potwór z głębin”, w Polsce wydanej w roku 2000 (cały cykl liczy już siedem tomów), to film lekki, niemądry i okrutnie przewidywalny, ale spośród oferty tegorocznych blockbustów lata i tak był chyba najciekawszy. Przynajmniej są w tym filmie ujęcia, które naprawdę budzą grozę, bo większość scen z prehistorycznym stworem trudno będzie zapomnieć. ©©



wyst. Jason Statham, Li Bingbing, Rainn Wilson

★★★★★
REŻ. JON TURTEL-TAUB
„THE MEG”
USA 2018, DYSTR. GALAPAGOS

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „ATOM RPG”

Globalna wojna jądrowa, przed którą w strachu wychowywały się kolejne pokolenia żyjące w okresie zimnej wojny, jednak przyszła. W roku 1986 Ziemia zamieniła się w postapokaliptyczne pobojuwisko – bez państw, moralności i kultury. I w takim świecie, niespełna 20 lat później, na terytorium

dawnego Związku Sowieckiego, przyjdzie nam poprowadzić drużynę, której celem jest nie tylko przetrwanie, lecz także próba odbudowy cywilizacji. „Atom RPG” to gra przypominająca grafiką, klimatem, interfejsem i turowymi walkami dwie pierwsze części „Fallouta”. Na plus można zapisać



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

swojski „wschodni” klimat rozgrywki. Rzecz warta uwagi. ©©

Marcin Makowski

- Gatunek: **RPG**
- Platforma: **PC**
- Producent, dystrybutor: **ATOM Team**
- Klasyfikacja PEGI: **18+**

MOJA PÓŁKA

Nie tylko poeci chcą być Ikarami

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

Zawsze zdumiewało mnie, a i drażniło, traktowanie w literaturze lokalności jako cechy generalnie literaturę tę pomniejszającą. Trudno o większe nieporozumienie. Właśnie lokalność, właśnie regionalizm, osadzenie słowa – w tym przypadku poetyckiego – w konkretnym, dobrze znanym miejscu sprawia, że budzi ono zaufanie czytelnika, a jeśli autor znajdzie jeszcze sposób na uniwersalizowanie przedstawianych spraw, to satysfakcja odbiorcy literatury jest pewna. Tę właśnie odczuwałem w trakcie lektury tomu poetyckiego poznańskiego autora Pawła Kuszczynskiego pt. „Pora słowa”.

Tę poznańskość czy – nieco szerzej – wielkopolskość autora nieprzypadkowo wybijam już na samym początku recenzji z 14. zbioru poetyckiego tego autora, znanej postaci tamtejszego środowiska literackiego, m.in. po raz drugi prześlającego poznańskiemu oddziałowi Związku Literatów Polskich. Jednak też, co może ważniejsze, laureata nagród poetyckich, krytycznoliterackich, jak również wyróżnień o nieco innym charakterze: Nagrody im. Augusta Cieszkowskiego czy medalu „Labor Omnia Vincit” przyznanemu przez Towarzystwo im. Hipolita Cegielskiego.

I właśnie Hipolita Cegielskiego, sławnego przemysłowca i działacza społecznego, przywołuje poeta w jednym z ważniejszych wierszy „Pory słowa”, poprzedzonym wymownym mottem: „Polsko, pokaż się, Polsko”. W utworze tym, napisanym w 200. rocznicę urodzin Cegielskiego, czytamy: „Hipolicie, musimy znów zacząć od nowa –/ niech nastąpi kres poszatowanej historii./ Trzeba odsunąć gdańską szafę/ I odnaleźć porzucone perły./ Pora otworzyć sklep żelazny,/ w którym półki ugną produkty/ reanimowanych fabryk./ Młodzi powrócą do sie-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

bie,/ polskość odrodzi się w znoju i słowie,/ zająsanie odczucie Ojczyzny,/ zostaniesz płomieniem niesionym/ przez entuzjazmu ogień”.

Z kolei w wierszu poświęconym powstańcom wielkopolskim, tym, którzy sto lat temu wszczęli jakże rzadką w naszych dziejach, bo zakończoną sukcesem, insurekcję, Paweł Kuszczynski pisał: „Nikt ich nie wzywał,/ nikt ich nie wołał,/ sami poszli unoszeni/ pragnieniem wolności”. I dalej: „Powstańcy walczyli, by nie ginąć,/ a jedynie zwyciężyć,/ niemieckich zaborców./ Cenili dar jeden. Życie./ Dowiedli, że nie tylko poeci/ chcą być Ikarami./ I niebo polskie wzięli w posiadanie”.

Część z tych wierszy można ściśle lokalizować – nie tylko w Poznaniu, ile np. w chopinowskich Dusznikach czy w kościele Świętych Piotra i Pawła w Wilnie, mają swoich określonych w dedykacjach adresatów, choćby poetów Kazimierzę Iłakowiczówną, Nikosa Chadzinikolau, księdza prof. Jana Kantego Pytla i Tadeusza Kotarbińskiego, i już w tytułach utworów

wskazanych bohaterów – Camusa czy Beethovena. Trop muzyczny jest tu, jak sądzę, szczególnie ważny, gdyż miłość do muzyki wypełnia wiele z poetyckich strof twórcy „W dworku Chopina”.

„Autor – na co zwraca uwagę redagująca zbiorek Mirosław Prywer – często myślami powraca do czasów chłopięcych: „»Dzieciństwo do ostatniej godziny/ nie przestanie kołysać mej duszy«. Obraz matki, którą utracił przedwcześnie, a której brak odczuwa boleśnie zapisany w wierszu »List do Matki« »nie usłyszałem pierwszego słowa/ od Ciebie... Najciszej pogodziłem się/ z brakiem Twojego przytulenia... Twój obraz zaludnia ciszę/ i samotność«. Prezentowany tomik zamyka wiersz »Pora słowa«. Autor pisze »W szczelinie między wrzaskiem/ a milczeniem/ coraz mniej miejsca/ na słowo«. A przecież słowa wypowiedane, słuchane, zapisywane, odczytywane – są nieustannym przekazywaniem informacji. My je tworzymy, ale i one określają nas”.

Z tego właśnie względu najwyżej z wierszy Pawła Kuszczynskiego cenię mocne „Światło Ignacego Paderewskiego”, z mottem: „Polsko, wróć do swoich wartości!”, poprzedzającym taką m.in. poetycką konstatację:

**Nikt nie woła napisać Mickiewicz,
dziś wykrzyzczyć trzeba:
Nikt nie odpowiada!
Gubi się wiara,
Złotego rogu już nie ma,
nieużyteczny Dekalog
Jak drzwi z wyrwanymi zawiasami,
zniknął szacunek dla słowa.
Ignacy Jan uczył Polaków
słuchać ciszy w zamyśleniu,
siadać do wspólnego stołu
w czasie radości
I zrywać owoce pełni,
by Bóg – Honor – Ojczyzna
stały się jednością,
jak dusza i ciało. ©©**

PORA SŁOWA



★★★★★
**PAWEŁ
KUSZCZYŃSKI**
„PORA SŁOWA”
BONAMI 2018



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Diabeł jest wymówką

Książka Francisco Haghenbecka jest błazeńsko zabawna, a przez to wielce smutna, kiedy poza popkulturową politurą dojrzymy, co chciał powiedzieć. A warstwa pierwsza doprawdy jest szalona. „Bestie jak dinozaury. Kiedyś żyły. My ludzie oddawaliśmy im cześć. Potem o nich zapomnieliśmy i stały się wrogami chrześcijan” – tłumaczy jeden z bohaterów pochodzenie niebezpiecznych, potężnych demonów z rozmaitych przedchrześcijańskich wierzeń. Łowami na owe stwory zajmują się współcześni wiedźmini zwani diablero. Czasem zinstytucjonalizowani, jak podczas amerykańskiej interwencji w Afganistanie, kiedy to w dzikie góry na polowanie wyruszył oddział dowodzony przez Polaka o nazwisku Potocky. W jego oddziale służył zaś Elvis Infante, jeden z głównych bohaterów książki „Diablero”.

To dopiero początek szaleństwa: w świecie powieści namacalne i realnie obecne są nie tylko pradawne zło, lecz także anioły i diabły, chwymane przez ludzi i szkolone do krwawych walk przypominających pojedynki krwiożerczych psów. Za kulisami kryje się tajemnicza organizacja o nazwie Konklawe, a jedną z bardziej poszukiwanych substancji jest

anielski pył produkowany z mielonych kości aniołów. Meksykański pisarz szarżuje ostro. Miesza czarny kryminał z horrorem, komedię z powieścią wojenną, balansuje na granicy dobrego smaku i bluźnierstwa. Daje prztyczka w nos tym, którzy (jak wyśmiewani w książce antropolodzy i filozofowie) negują istnienie zła upostaciowanego. Zgadza się z tymi, którzy uważają, że największą sztuką diabła było przekonanie ludzi, że nie istnieje.

Wnioski, które wyciąga ze swej opowieści, są ponure. Wszystkie stworzenia boże, anioły, diabły, ludzie, egzystują obok siebie w świecie „Diablero”, jednak dla tych ostatnich zło namacalne jest jedynie wymówką. Oryginalny tytuł książki jest ironiczny: „El diablo me obligó”, czyli „Diabeł mnie zmusił”. Wedle Haghenbecka bronią się tak głównie ci, którzy nie chcą przyznać się do tego, jak wielka jest głębia ich własnego upadku. Bóg dał nam bowiem wolną wolę, a my uparcie wybieramy złe.

O kim świadczy to gorzej: o nas czy o upadłych aniołach?

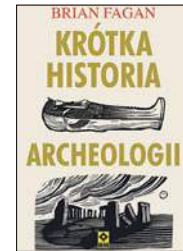
Książka spodoba się miłośnikom „Dobrego omenu” Pratchetta i Gaimana czy gorzkich satyr Douglasa Adamsa. Wersję serialową, nakręconą niedawno dla Netflixa, można bez żalu ominąć. Niewiele ma wspólnego z oryginałem. ©©



★★★★★
F.G. HAGHENBECK
„DIABLERO”
REBIS 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Lekko napisane wprowadzenie do tematu, idealne dla młodszego czytelnika. Brytyjski popularyzator nauki oprowadza nas po najważniejszych odkryciach, opowiadając także o najnowszych trendach zmieniających oblicze archeologii.



BRIAN FAGAN
„KRÓTKA HISTORIA ARCHEOLOGII”
WYDAWNICTWO RM

Odpowiedź brzmi: wszyscy. Ci, którzy dostarczają rozrywkę na twój smartfon, ci, którzy chcą, byś nie opuszczał mediów społecznościowych, instalują ekrany w metrze, pociągu i autobusie. I tak dalej. Biznes wart krocie – i rośnie.



ETHAN TUSSEY
„PROKRASTYNACJA. KTO ZARABIA NA TWOJEJ PRZERWIE?”
WYDAWNICTWO NAUKOWE PWN

Od farb młodego malarza Adolfa Hitlera do cyjanku zażytego przez Hermanna Göringa. Są i polskie akcenty: wieża radiostacji w Gliwicach czy tajny protokół niemiecko-sowiecki, na mocy którego dokonał się IV rozbiór Polski.



ROGER MOORHOUSE
„TRZECIA RZESZA W 100 PRZEDMIOTACH”
ZNAK

Wznowienie (w pełnej wersji i nowym tłumaczeniu) jednej z najlepszych powieści grozy ostatnich dekad. Autor „Hyperiona” i „Terroru” napisał już w 1991 r. książkę, która mogłaby być osobnym sezonem serialu „Stranger Things”. ©©



DAN SIMMONS
„LETNIA NOC”
ZYSK I S-KA

recenzuje Piotr Gociek

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Joanna Wrycza-Bekier „Magia słów. Jak pisać teksty, które porwą tłumy”**
– czyli coś w sam raz na rok dwóch kampanii wyborczych.
2. **Paweł Tkaczyk „Zakamarki marki”**
– podtytuł wyjaśnia: rzeczy, o których mogłeś nie wiedzieć i które mogłeś zapomnieć lub pominąć podczas budowania swojej marki.
3. **Lidia Buksak „Szkoła mówców. Myśl i prezentuj inaczej niż wszyscy”**
– podpowiada trener wystąpień publicznych, logopeda medialny.
4. **Andrzej Jeznach „Szef, który myśli, bo warto i się oplaca”**
– o sztuce delegowania uprawnień i decentralizacji, ze szczyptą klasyki filozofii.
5. **Michał Pasterski „Insight. Droga do mentalnej dojrzałości”**
– nauczysz się wsłuchiwać w głos intuicji, obiecuje autor. I dodatkowo specjalną aplikację.

(Najchętniej kupowane książki na OnePress.pl w grudniu 2018 r.)



Trans po samogonie

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Gdybym musiał jednym słowem określić styl projektu Kirszenbaum, pewnie powiedziałbym, że to postfolk, w dwóch słowach – elektro-niczny postfolk, w trzech – nie do zasznuflowania. Zamiast swojej interpretacji posłużyć się słowami, którymi muzycy z Kirszenbaum opisują sami siebie: „Kirszenbaum jest jak Wyspiański na mefedronie. Krakowski duet ożywia post-folkowe zgłiszcza, wyznacza

im świeże kierunki i wrzuca prosto na loopery, ze słowiańskim przytupem zderzając Toma Waitsa i Junip. Zola krzyczy na klezmerów, Henry Miller tańczy z Muminkami, a efektem jest melancholijna intertekstualna karuzela. Kierkegaard pisał o nich: »To chyba jazz«. Nic bardziej mylnego”.

Nie ma innego wyjścia – żeby zrozumieć, czym jest ta „intekstualna karuzela”, trzeba na nią wsiąść. Najlepiej

nie zamykać przy tym oczu, a więc zacząć poznawanie Kirszenbaum od ich kanału na YouTube, gdzie słowom i muzyce towarzyszy kolaż wideo – wybrane przez krakowski duet przebitki, m.in. z klasyki kina. I tak w „Samogonon” wąż zjadający własny ogon spotyka się z japońską Godzillą z 1954 r.

Kirszenbaum tworzą Kacper Szpyrka i Jakub Wiśniewski. Pierwszy jest z wykształcenia filozofem, zajmuje się

przygotowywaniem przekładów poezji i tekstów filozoficznych z angielskiego i hiszpańskiego. Drugi to anglista, twórca prozy w języku polskim i angielskim. To połączenie poezji, prozy, filozofii, pracy ze słowem zaowocowało w muzyce umiejętnością niemal wprowadzenia słuchacza/widza w dziwny, ale przyjemny trans.

Co nie byłoby możliwe bez odpowiedniej oprawy muzycznej. Tutaj pięknie miesza się folkowa inspiracja z elektronicznym brzmieniem, gitarą i skrzypcami. A do tego nagrywane na żywo loopy.

Kacper i Jakub ruszyli z projektem Kirszenbaum w 2017 r. Wcześniej współpracowali w zespole Pora Wiatru, z którym wystąpili w finale programu „Must Be the Music”. Jako Kirszenbaum nagrali niedawno pierwszą płytę w studiu nagrań Agencji Muzycznej Polskiego Radia im. Jerzego Wasowskiego. Premiera niebawem. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ
BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

Dawno temu w Georgii

Neil Young, jeden z najbardziej twórczych amerykańskich artystów lat 70., wydaje w maju box z nagraniami z lat 1972–1982. Jako przedsmak dostaliśmy niepublikowany koncert z 1976 r.

Występ odbył się 24 listopada w Fox Theatre w Atlancie. Tytuł płyty nawiązuje do historii opowiedzianej przez Younga na wstępie. Podczas próby ujrzał ducha aktorki Judy Garland, który rzekł: „Jak biznesy, Neil?”. Z dzisiejszej perspektywy można by odpowiedzieć: „Nigdy lepiej!”.

Young, akompaniując sobie na gitarze akustycznej, banjo,

fortepianie, a nawet syntezatorze, elektryzuje ponad czterotysięczną publiczność. Na przemian wykonuje największe hity (m.in. „Heart of Gold”, „Sugar Mountain”), piosenki, które pojawiają się na jego przyszłych albumach („White Line” ukaże się 14 lat później na płycie „Ragged Glory”), a „No One Seems to Know” słyszymy po raz pierwszy.

Zapis tego solowego występu Younga od lat krążył na bootlegach. Na oficjalnym wydaniu znalazły się 22 piosenki, z których większość zapisała się w historii amerykańskiego rocka. Szkoda, że 40 lat temu Polskie Radio nie zauważało tego giganta. ©©



★★★★★
NEIL YOUNG
„SONGS FOR JUDY”
SHAKEY PICTURES



★★★★★
LAIBACH
„THE SOUND OF MUSIC”
MUTE

Słoweńcy wciąż grają z totalitaryzmami. Socrealistyczna okładka z wizyty grupy w Korei Północnej. Na płycie musical „Dźwięki muzyki”, który Laibach wykonał w Pjongczangu. W finale urzędnik z Korei Południowej oskarża grupę o faszyzm.



★★★★★
MIKAEL TARIVERDIEV
„SEVENTEEN MOMENTS OF SPRING”
EARTH

Soundtrack z serialu wydano na Zachodzie 45 lat po premierze. Reklama informuje, że Putin wstąpił do KGB pod wrażeniem przygód Stirlitza. Lirycznie – patetyczna muzyka, przeboj, „Gdzieś daleko” i łezka kręci się w oku. ©©

ALEKSANDRA GINTROWSKA | JULIA GINTROWSKA | PAULINA GROCHOWSKA | RENATA PRZEMYSK
ŁUKASZ DRAPAŁA | MAREK PIEKARCZYK | JAKUB WOCIAŁ | ZBIGNIEW ZAMACHOWSKI
ORAZ ORKIESTRA NFM FILHARMONII WROCŁAWSKIEJ POD BATUTĄ JANA STOKŁOŚY

*Niezapomniany
koncert*
Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...
Do wierszy Zbigniewa Herberta

NARODOWE FORUM MUZYKI WE WROCŁAWIU

7 LUTEGO 2019

GODZ. 20.00



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

BILETY DO NABYCIA

w kasach Narodowego Forum Muzyki we Wrocławiu. Kasa czynna od poniedziałku do piątku w godzinach 11.00–18.00.

REZERWACJA ONLINE

WWW.NFM.WROCLAW.PL | BILETY.NFM.WROCLAW.PL | REZERWACJE@NFM.WROCLAW.PL

WWW.GINTROWSKI.PL |  [/GINTROWSKI.PRZEMYSLAW](https://www.facebook.com/GINTROWSKI.PRZEMYSLAW) | [#GINTROWSKI](https://twitter.com/GINTROWSKI)

WSPÓŁORGANIZATORZY



Wrocław the meeting place

PATRONI MEDIALNI



eprasa.pl 1485523cca

VATICANUM SATANICUM?

[recenzja z dwóch najnowszych książek Pawła Lisickiego: „Chrystus jest zawsze nowoczesny” i „Epoka Antychrysta”]



rys. E. Delacroix

Kardynał Joseph Ratzinger (potem papież Benedykt XVI): „*Jesteśmy świadkami rozkładu zarówno moralnego, jak i religijnego w Kościele — Kościół przeżywa głęboki kryzys*” (2005)

Charles-Pierre Baudelaire (poeta francuski, autor „Kwiatów zła”): „*Najperfidniejszą sztuczką diabła jest wmówienie ludziom, że diabeł nie istnieje*” (1857)



Waldemar
Łysiak

Ponieważ Paweł Lisicki jest doskonałym znawcą Kościoła i wybornym biblistą (Czesław Miłosz zwał go „najwybitniejszym po II Wojnie Światowej polskim eseistą metafizycznym”) — każda kolejna jego książka budzi duże zainteresowanie i wywołuje emocje komentatorskie na publicznych forach. Miniony rok (2018) był szczególnie pod tym względem, gdyż Lisicki wydał w nim aż dwa woluminy: obszerną rozmowę („wywiad-rzekę”) z niemieckim kardynałem Gerhardem L. Müllerem, tudzież beletryzowaną metaforę apokaliptyczną zakładającą satanizację Watykanu. Pierwsza książka (dialog) przyniosła rozczarowujący niedosyt, któremu winien jest rozmówca Lisickiego; druga wywołała u jednych strach, u innych gniew skutkujący oburzeniem.

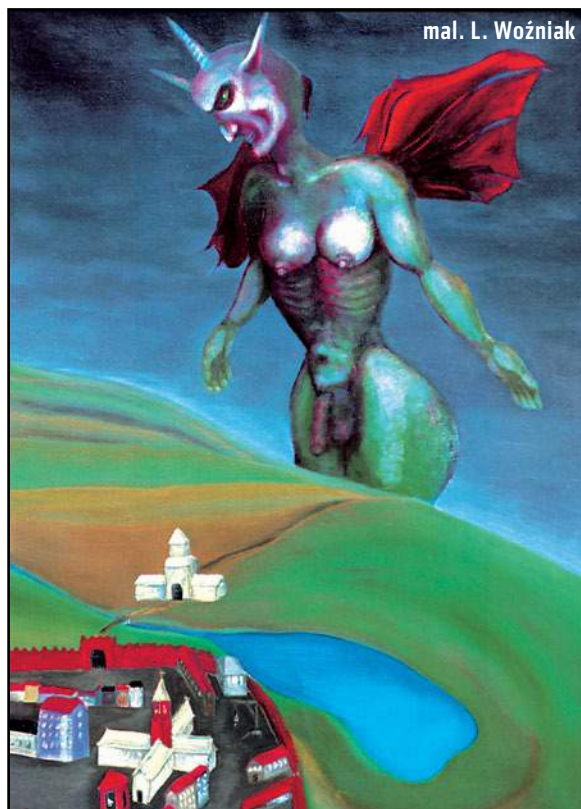
Kardynał Müller, wytrawny teolog, został przez papieża Franciszka usunięty — za konserwatyzm (czy raczej za zbyt słaby liberalizm) — z funkcji prefekta Kongregacji Nauki Wiary, tedy Lisicki sądził, że uzyska od niego mocne wypowiedzi na temat dramatycznego kryzysu współczesnego Kościoła i dechrystianizowania się cywilizacji zachodniej. Uzyskał — Müller w rozmowie z szefem „Do Rzeczy” potępia wiele aspektów gangreny toczącej dziś świat i korodującej sferę katolicką (od „protestantyzowania katolicyzmu”, czyli de facto sekularyzowania, po dewiacje gosyzystowskie, liturgiczne i erotyczne, jak homoseksualizm i pedofilia) — lecz całymi partiami książki jest to ze strony Niemca gładkie gładzenie schematów prokatolickich (kalka za kalką), chciało by się rzec: bla-bla-bla wędrownego kaznodziei, któremu nie brak dobrych chęci i anielskiego serca, lecz brak wojennej odwagi i polotu. W rezultacie to nie jego odpowiedzi na zadawane pytania elektryzują czytelnika, tylko owe pytania, które Lisicki zadaje formułując twarde tezy/diagnozy à propos czarnej rzeczywistości, exemplum: „— Czy istnieje jeszcze coś takiego jak chrześcijańska Europa? Czy też Kościół ostatecznie przegrał walkę o duszę zachodniego człowieka? (...) Wszystko wygląda tak, jakby w ciele Kościoła zagnieździła się jakaś złośliwa

choroba, jakby co roku kolejne miejsca były infekowane, i jakby nikt nie potrafił znaleźć na to recepty”.

Rozczarowujące w wypowiedziach Müllera udzielającego wywiadu jest zwłaszcza unikanie przezeń wskazywania konkretnych wewnątrzkościelnych winowajców kryzysu. Ma pretensje jedynie do Franciszka (co oczywiście, bo ten go wylał), a całą resztę załatwia tak, jak obchodziła się z historią akademicka historiografia marksistowska (preferująca „procesy” miast personalistów i zdarzeń). Owszem, demonstrowa konserwatyzm, ale czy czasem nie trochę neoficki (jako watykański dygnitarz zwalczał kościelnych tradycjonalistów)? Gdy ogólnikowo chwali swą Kongregację Nauki Wiary („— Kongregacja Nauki Wiary publikowała krytyczne dokumenty przeciw duchowi czasu. Przykładem takiego tekstu był *„Dominus Iesus”*...”) też robi unik, gdyż Ratzingerowska deklaracja „*Dominus Iesus*” (2000) była skierowana nie przeciwko żadnemu „*duchowi czasu*”, tylko przeciw duchowi ekumenicznych nadużyć Jana Pawła II, równających ze sobą wszystkie religie globu, mówiła bowiem, iż Jezus to jedyny prawdziwy Bóg, więc reszta bóstw to bałwany. Notabene pretensje do Wojtyły wyrażało pod tym względem wielu konserwatywnych hierarchów Kościoła, exemplum filipiński biskup Salvador Lazo: „*Ojcie Święty, czy chcesz, byśmy respektowali fałszywe religie? Jezus Chrystus założył tylko jeden Kościół, nie kazał szanować innych wyznań, ukrzyżowano Go, bo nie zgadzał się na kompromis. Twój ekumenizm, Ojciec Święty, stoi w diametralnej sprzeczności z doktryną katolicką. Już Leon XIII encykliką *„Humanae generis”* przestrzegał, że równoprawne traktowanie wszystkich wyznań i kultów zmierza do zniszczenia religii katolickiej*” (1998). Tymczasem wszelkie próby Lisickiego mające otworzyć rozmówcę na kluczowy dla autodestrukcji Kościoła problem ekumenizmu, również ta, gdzie Lisicki cytuje (str. 191) Drugi List Apostolski Pawła do Koryntian („*Nie sprzegajcie się z niewierzącymi, nie łączcie*

Boga z bożkami”) — to rzucanie grochem o ścianę, Müller unika tematu. Podobnie unika jednoznacznego werdyktu, że to „*reformatorski*” Sobór Watykański II, a zwłaszcza posoborowe praktyczne interpretacje tych lewackich, protestanizujących reform, stały się maszyną rozwalającą Rzymski Kościół.

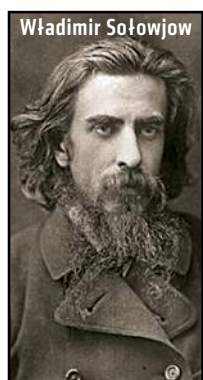
Ponieważ Paweł Lisicki z natury (natury rycerskiej) nie unika trudnych i drażliwych problemów — nie mógł być całkowicie usatysfakcjonowany wywiadem i szukał rekompensaty. Szukał piórem. Efekt to literatura typu „*political fiction*”, beletryzowany esej „*Epoka Antychrysta*” — brawurowa wizja świata brutalnie dechrystianizowanego w XXIII wieku przez... Watykan, a ściślej przez kolejnego papieża, którego wybrało męsko-damskie (po połowie — parytet 50%) Kolegium Kardynalskie, i który przybiera złowrogię imię Judasza. Przed nim — twierdzi autor — władało Stolicą Apostolską kilku kolejnych Franciszków, którzy zrobili na terenie Watykanu i Rzymu antychrześcijańską „*podgotówkę*” Sodomy-Gomory kompletnej, co jest ewidentną aluzją do dzisiejszego Ojca Świętego, mocno atakowanego przez tradycjonalistów za swój zbyt według nich postępowy „*liberalizm*” (niektórzy teologowie i filozofowie, jak profesor Stanisław Grygiel czy profesor



mal. L. Woźniak

■ Josef Seifert, mówią wręcz o „*antychrystusowych wiatrach wiejących w Watykanie*” i o „*podkładaniu bomby atomowej pod moralne nauczanie Kościoła*”). Generalną inspiracją twórczą były dla Lisickiego niewątpliwie ogólne dzisiejsze tendencje światowe (ludzkość gnijąca etycznie — niżej wróć jeszcze do tego), zaś od strony formalnej (pomysł) być może niedawny serial Włocha Sorrentino „*Młody papież*” (2016), gdzie ów młody luzacki „*biskup Rzymu*” (gra go Jude Law) wyznaje wreszcie, że nie wierzy w Boga. Wszelako przy „*jadącej po bandzie*” książce Lisickiego serial Sorrentina jest fabułą dla grzecznych dzieci — Lisicki serwuje nam wizję ekstremalną, obraz złowieszczygo terramoto.

Przedstawione w książce rządy papieża Judasza to gigantyczna wszechświatowa (zrazu głównie europejska) ofensywa kontrchrześcijańska (głównie kontrkatolicka) Watykanu, zmierzająca do całkowitej dechrystianizacji globu pod hasłem jego uczłowieczenia/unormalnienia metodą upolitpoprawniania sekularyzacyjnego. Lansowaną przemianą rehabilitacyjną katolika ma być apostazja (odstępstwo od wiary), zaś celem i drogą życiową — ateizm. Środki stosowane w tej kampanii są drastyczne i przez swą bezwzględność skuteczne — od deteizacji Chrystusa i negacji prawdy (na rzecz kultu kłamstwa), do laicyzacji wszelakich ośrodków kultu chrześcijańskiego (kościół i kaplice stają się budynkami mającymi funkcje świeckie, Kaplica Sykstyńska Watykanu zostaje przerobiona na dyskotekę erotyczną, itp.), nie wyłączając legendarnych Maryjnych (Lourdes, Loreto, Fatima; tylko częstochowska Jasna Góra jeszcze stawia słabnący opór). Summa summarum: świat chrześcijański ulega totalnej dekonstrukcji zmierzającej ku jego anihilacji, i póki co mającej wszelkie cechy satanizacji, stąd owa uplasowana przez autora w XXIII stuleciu era papieża Judasza (który dyryguje piekielną ofensywą) nosi tytułarną nazwę: „*Epoka Antychrysta*”, czyli Szatana królującego.



Władimir Sołowjow

Rządy Antychrysta zapowiadał już sto kilkanaście lat temu wybitny rosyjski filozof Władimir Sołowjow (m.in. „*Krótką powieścią o Antychryście*”, u nas wydana w 1924 roku). Głosił

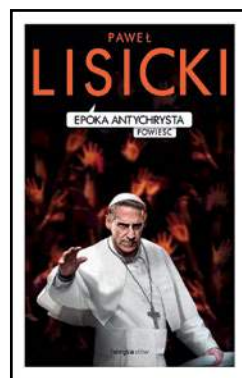
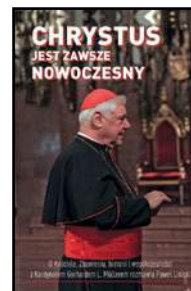
on, że na przełomie wieków XX i XXI świat ogarnie gangrena nihilizmu kulturowo-obyczajowego, a rządzić będzie ludzkością „*Uśmiechnięty Szatan*”, „*Dobroliwy Truciciel*”, „*Serdeczny Antychryst*”, ideał kusicielskiego przewodnika: pacyfista, humanista, filantrop, ekolog, wegetarianin, miłośnik natury i dialogu, przyjaciel ludzi i zwierząt, bezinteresowny dobroczyńca, „*Mesjasz Tolerancji*”, krzewiący dla wszystkich (prawych i nieprawych) wyrozumiałość totalną, moralność uniwersalną (kasacja pojęcia grzechu), oczyszczoną z katolickich restrykcji i katolickiej metafizyki, wroga Chrystusowi satrapizującemu dekalogowo i dzielącemu ludzi (miast ich bratersko jednać) na dobrych i złych, słowem: wszechhumanitarną. Lecz Antychryst Sołowjowa — nowy Zbawiciel modernistycznego świata, „*Wielki Mediator*” postępowej ludzkości — to wizja plasowana dwa stulecia wcześniej niż papież Judasz. U Lisickiego słodziutki Szatan Rosjanina mógłby być co najwyżej jednym z poprzedzających Judasza Franciszków. Lider wykreowany przez Lisickiego jest bowiem bestią nie szczędzącą bluźnierstw, przekleństw i drastyczności, co zresztą zostało wytknięte/skarcone na łamach „*Przeglądu Katolickiego*”, gdzie Monika Białkowska uznała wizję (a więc i wyobraźnię) autora książki za „*przerazającą obrzydliwą*”.

„*Epoka Antychrysta*” ma to rynkowe szczęście, że się o niej nie milczy, tylko publicznie mówi, a nawet syczy i krzyczy. Z obu stron — z lewa, i z prawa. Ci, którzy się czepiają, że Lisicki przegiął swą wizję, wymodelował obraz zbyt czarny, zbyt pesymistyczny — zapominają, że prawo do tego daje mu demoralizatorsko-dewiacyjna degrengolada/dekadencja dzisiejszego świata, zwłaszcza jego tradycyjnych (długo uważanych za święte) kanonów etycznych, tudzież gwałtowna sekularyzacja tzw. „*cywilizacji zachodniej*”, niegdyś mienionej „*chrześcijańską*” (pustoszenie świątyń, politpoprawne rugowanie krzyża, etc.). Zważywszy, że procesy te uzyskują już „*przyspieszenie geometryczne*” — cóż jest dziwnego w zezwoleniu wyobraźni, by opierając się na logicznych przesłankach stworzyła wizję par excellence konsekwentną?

Nic natomiast nie ma dziwnego w atakach na książkę formułowanych po lewej stronie barykady, Salon bowiem został kolejny raz rozwścieczony ciężką wrogością Lisickiego (tutaj: zjadliwością, wyszydzeniem ad absurdum) wobec wszelakich politpoprawnych zboczeń, od etycznych do estetycznych i erotycznych. Nie zabrakło

przy tym ostrzeliwaniu autora (przez „*Gazetę Wyborczą*” i jej komilitonów) — bo zabraknąć nie mogło — wytknięcia mu antysemityzmu, ponieważ en passant zasugerował żydowskie geny papieża-Antychrysta i wzmiankował, że deprawatorską mentorką młodego (nieletniego) Judasza była Żydówka. Ciut mało, by wlepić „*Epokę Antychrysta*” epigoństwo „*Proto-kołów Mędrców Syjonu*” i tym ośmieszać się jeszcze bardziej, choć wiadomo, że „*michnikowszczyzna*” ma wrodzoną predylekcję do autokompromitacji w bojach przeciw rzekomym antysemitom. Dla niej nawet publicystyczna jednowyrazowa konstatacja, że megasponsor politpoprawnego Salonu, Soros, jest Żydem — to karygodny antysemityzm.

Konkluzja finalna recenzji: przy całym swoim pesymizmie jest wszakże Lisicki fideistą-optymistą: wierzy, że w szczytowej fazie Armagedonu kontrchrześcijańskiego Niebo wreszcie się obudzi — zagrzmia Trąby Niebiańskie i zstąpi prawdziwy Zbawiciel, Ten, który przywróci na Ziemi „*Niebieskie Królestwo*”. To zapowiadają końcowe akapity książki. Póki co wszakże: módlmy się nie o powrót Pana dla uratowania świata, tylko o to, by nie miał powodu wracać jako Strażak gaszący płomienie piekielne. Należę do takich żarliwych orantów, jak również do „*Cristeros*” walczących piórem przeciwko satanizacji kuli ziemskiej, stąd autor tej ważnej książki — słusznie alarmistycznej, mającej rozkołysać dzwony trwogi, potrząsając przysypiającymi — wpisał mi na karcie przedtytułowej dedykację: „*Łysiakowi, jednemu z tych, dzięki którym ta wizja może się nie spełni. Paweł*”. Zaś na karcie przedtytułowej „*wywiadu-rzeki*” z kardynałem Müllerem wykaligrafował mi: „*Łysiakowi, wspaniałemu towarzyszowi walki z lewactwem. Paweł*”. Pawle — poczytuję sobie za honor być członkiem tej znakomitej kontrlewickiej/kontrsalonowej załogi, którą kierujesz jako kapitan nawy swego tygodnika! Trzymajmy bezpardonowo ten kurs! ©©





IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Moja walka (z rzeczami)

Ostatnio kupowałem wino w zaprzyjaźnionym sklepiku. Właściciel wdał się ze mną w przyjemną pogawędkę, bo po pierwsze jest sympatyczny, po drugie dzięki nam dwa razy w roku jeździ na Seszele.

Facet dobrał wino dla mojej żony, a następnie zaproponował dodanie do zakupów pierdółki. Była to srebrzysta blaszka, z której robi się dzióbek, dzięki czemu z butelki nie kapie wino, co zwłaszcza przy czerwonym ma znaczenie.

Nie chciałem być niemiły, ale odmówiłem. A kiedy zapytał dlaczego, coś we mnie pękło i zwierzyłem mu się z walki, którą toczę (toczymy) w naszym domu z przedmiotami.

Otóż jesteśmy atakowani przez przedmioty. Rzeczy, papiloty, drobiazgi, książki, wytwory, gadzety, sprzęty, zabawki, pierdółki. Są jak Armia Czerwona, która miała nieskończone rezerwy ludzkie i zalewała linie obrony Wehrmachtu niezależnie od poniesionych strat. Są jak króliki w Australii, które – ilekolek by ich wybić, ilekolek by ich gniazd zlikwidować, ilekolek by hektarów wypalić i skruszyć buldożerami – zawsze wychyną z jakiejś dziury i się mnożą. Są jak pranie, które zawsze trzeba wywiesić, i zmywarka, którą zawsze trzeba odpalić.

Prowadziliśmy wiele akcji porządkowych. Dokonywaliśmy brutalnych czystek i budowaliśmy coraz większe szafy, by upychać w nich przedmioty. Wyrzucaliśmy bez sentymentu, co tylko się dało. Pozbywaliśmy się nawet cennych artefaktów. Oddawaliśmy

wartościowe dla nas pamiątki z podróży. Rozdawaliśmy sąsiadom książki, a znajomym dzieciom – po kryjomu przed naszym – wypychaliśmy zabawki. Jednak efekty zawsze są krótkotrwałe, o ile w ogóle są. Przedmioty wracają, wypływają znikąd niczym woda w wilgotnej piwnicy.

Ponieważ dom dziecinny zawsze jest punktem odniesienia, wspominam z rozrzewaniem mieszkanie, które moja mama zawsze utrzymywała w niepokojącym wręcz porządku. Tam też niby były ozdóbki i suweniry, też były papiloty. Ale zawsze karnie trzymały się swoich rewirów, nie anektowały nowych terenów. Długo myślałem, że był to efekt bezwzględnych działań mojej mamy, która należała do dość często spotykanego rodzaju matek mających obsesję na punkcie porządku (te firanki zawieszane na żabkach rozstawionych co 15 cm).

I pewnie miało to znaczenie. Ale były to też po prostu czasy uboższe w przedmioty. Dzisiaj przedmioty przyssysują się do nas niezauważenie, jak te pasożytnicze ryby do cielsk rekinów. A te, niby takie groźne i władcze, nic im nie mogą zrobić.

Zatem odmówiłem panu ze sklepu winiarskiego przyjęcia sympatycznego gadzetu. A potem poszliśmy do spożywczego, gdzie mój syn wymusił na mnie kupno gazetki, do której dodane były plastikowa kamera oraz wyrzutnia okrągłych pocisków. I wiem, że te graty przycupną podstępnie, aż się zakurzą, a ostatnie pociski wyrzucimy dopiero na przyszłą wiosnę. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Ludzie roku

Dzięki Bogu nie do mnie należy przyznawanie tytułu „Człowiek Roku”. Bo z tym w minionym roku było cienko – światowi faworyci to same wpadki – Macron, Merkel, Teresa May, a i Trump stracił sporo ze swego animuszu. Zresztą, gdzie dziś szukać wielkich ludzi, choćby kontrowersyjnych (w końcu ludźmi „Time’a” bywali i Hitler, i Stalin).

W kraju, owszem, tandem Kaczyński-Morawiecki pozostaje bezkonkurencyjny, ale oni już zebrali wszystkie możliwe wyróżnienia. I co dalej? Gdyby szukać innych rzeczywistych triumfatorów, to czarna rozpacz – w samorządzie jedyna wisienka na torcie to Kukizowy prezydent Przemysła (niestety, tytułów nie przyznają za samą waleczność i to zła informacja dla Małgorzaty Wassermann i Patryka

Jakiego). Inna sprawa, że nawet najzagorzalszym zwolennikom opozycji trudno byłoby przeforsować tytuł dla pani Zdanowskiej, Rafała Trzaskowskiego, a nawet Roberta Biedronia. W dodatku najbardziej wpływowymi ludźmi w Polsce w minionym roku okazali się prezes TSUE, ambasador Izraela i pani Mosbacher, którzy potrafili bez większego

wysiłku postawić do kąta blisko 40-milionowy naród, po drodze przechołgawszy jego rząd i parlament.

Aw kulturze? Czy „Człowiekiem Roku” może zostać „Dar Młodzieży”, kiedy namacalny sukces odnieśli Smarowski z perfidnym „Klerem” i Pawlikowski z „Zimną wojną”. Nawet zawzięci zwolennicy dobrej zmiany nie nominują przecież Zenka Martyniuka i „Korony królów” (Panna Roksana Węgiel nie osiągnie pełnoletności jeszcze do końca ewentualnej drugiej kadencji PiS). W przeszłości w przypadku braku ludzi roku nagrodę przyznawano maszynom (komputer) i zwierzętom (owieczka Dolly). Być może pora na ubiory. Mój typ – francuska „żółta kamizelka” – może trochę sprana, ale przyszłościowa! ©©

Tandem Kaczyński-Morawiecki pozostaje bezkonkurencyjny, ale oni już zebrali wszystkie możliwe wyróżnienia

Spór o „ruską agenturę”



Filip Memches

Ani PiS, ani PO nigdy nie były partiami proputinowskimi. PiS zawsze miał do Kremla stosunek co najmniej nieufny. Polityka Platformy zależała od aktualnego kursu Berlina wobec Moskwy

Przy okazji ukazania się książki „Polska może być lepsza” Radosława Sikorskiego, jej autor postanowił podzielić się wspomnieniami z okresu, w którym był ministrem spraw zagranicznych RP. Po raz kolejny przywołał on słynne

spotkanie ówczesnych szefów rządów polskiego i rosyjskiego – Donalda Tuska i Władimira Putina – w Sopocie w roku 2009. Zdaniem Sikorskiego, w trakcie oficjalnych rozmów rosyjski polityk miał sugerować, że „Lwów to polskie miasto”.

Warto wrócić pamięcią do tamtych czasów. Warszawę z Moskwą łączyły bowiem wtedy relacje nieprzystające do krytycznej wobec Kremla narracji, którą potem w Polsce zaczęły serwować środowiska lewicowo-liberalne.

W polskiej wyobraźni politycznej jest dwóch odwiecznych zewnętrznych wrogów: Niemcy i Rosja. To stosunek do nich stanowi w Polsce główny punkt odniesienia wszelkich sporów o interes narodowy, patriotyzm, rację stanu.

Oczywiście dziś nie ma mowy o symetrycznym zagrożeniu z obydwu stron. Od blisko 20 lat Niemcy są – formalnie rzecz biorąc – sojusznikiem Polski (wspólne



FOT. ALEKSEY NIKOLSKY/PHOTOFEST NEWS

członkostwo NATO). Inaczej jest z Rosją, która pod przywództwem Putina postrzegana jest nad Wisłą – zwłaszcza po aneksji Krymu i wywołaniu awantury w Donbasie – jako niebezpieczne państwo z apetytami ekspansji w kierunku zachodnim.

Wydaje się, że główne siły na polskiej scenie politycznej są zgodne co do tego, że należy się obawiać Rosji, a nie Niemiec – nawet jeśli postawa Prawa i Sprawiedliwości wobec Berlina może się nieraz wydawać konfrontacyjna. Dlatego PiS i Platforma Obywatelska przerzucają się jednym i tym samym ciężkim oskarżeniem – o realizację opcji prokremlowskiej. Można odnieść wrażenie,

że nie ma w polskim życiu politycznym bardziej dezawuującego epitetu niż „ruska agentura”.

PRAWIE JAK PUTIN?

Obecnie zarzut sprzyjania Putinowi formułowany jest jako oręż retoryczny przeciw PiS przez szeroki obóz opozycji lewicowo-liberalnej. W tym przypadku to przejaw ślepego zapatrzenia w opinie zachodniego establishmentu. Te zaś desygnowały prezydenta Rosji na symbol politycznego zła. Rzecz jasna, chodzi tu o wymiar oficjalnej propagandy, a nie realnej polityki, która z nią nie zawsze idzie w parze.

Skąd się wzięła czarna legenda Putina? Czy tylko z ekspansywnych działań Rosji, które nabrały tempa w drugiej dekadzie XXI w., czego zwieńczeniem jest agresywna polityka Kremla na Ukrainie i w Syrii?

Nie. Putin, żerując na realnych sporach światopoglądowych dzielących społeczeństwa Zachodu, zaczął siebie kreować na lidera światowego konserwatyzmu. Celem było stworzenie wizerunku męża stanu stawiającego czoła emancypacyjnym i globalistycznym projektom, których promotorami są państwa zachodnie.

Gospodarz Kremla stara się pokazać, że odrzuca polityczną poprawność i nie godzi się na rządy wielkiego, ponadnarodowego kapitału. Demonstruje przywiązanie do silnej władzy państwowej jako zapory wobec z jednej strony rewolucji kulturowej, z drugiej zaś – zakusów grup oligarchicznych.

Efekt? Na Zachodzie Putin jest piętnowany nie tylko za wysłanie „zielonych ludzików” na Krym i do Donbasu, lecz także za politykę wewnętrzną. Uderzyła ona w organizacje pozarządowe, które są finansowane z zagranicznych źródeł, a także ruchy LGBTQ oraz performerów dopuszczających się bluźnierczych aktów w stosunku do prawosławia (głośny przykład to uwięzienie w kolonii karnej członkini grupy Pussy Riot za profanację soboru Chrystusa Zbawiciela w Moskwie).

Skoro tak, to antypisowi w Polsce nie pozostaje nic innego, jak dorabiać nieustannie Prawu i Sprawiedliwości gębę siły propupinowskiej. Chodzi o argumenty uzasadniające konieczność nie tylko odsunięcia PiS od władzy, lecz także przyszłej delegalizacji tego ugrupowania jako partii działającej na korzyść Kremla. W końcu owa formacja odwołuje się do wrażliwości konserwatywnej, a to w oczach ludzi postępowych zalatuje rosyjskim autorytaryzmem.

Tyle że Prawu i Sprawiedliwości nigdy nie było po drodze z Putinem. Trzeba przypomnieć, że kiedy po raz pierwszy sprawowało ono rządy, przyłgnęła do niego etykieta ugrupowania rusofobicznego. Tak o PiS wyrażali się politycy rosyjscy. Jednak co znamienne, tę ich retorykę podchwyciła też Platforma. Prawo i Sprawiedliwość już wówczas dostrzegało na Wschodzie te niebezpieczeństwa, które teraz – zwłaszcza po perturbacjach ze śledztwem w sprawie katastrofy smoleńskiej i wydarzeniach na Ukrainie – są dla PO oczywistością.

PROKREMLOWSKOŚĆ

Tymczasem to rząd Platformy i PSL w latach 2007–2010 dążył do zbliżenia

■ z Kremlu – zgodnie zresztą z opcją resetu realizowaną wtedy wobec Rosji przez państwa zachodnie. Ekipa ta podkreślała, że zrywa z „rusofobią” PiS, co stanowiło przekaz adresowany do rosyjskiej klasy politycznej. Wyglądało to dwuznacznie, ponieważ można było odnieść wrażenie, że rządowi Donalda Tuska bliżej do Kremla niż do związanego z Prawem i Sprawiedliwością ówczesnego prezydenta RP, Lecha Kaczyńskiego.

Były też konkrety – choćby zniesienie ze strony Polski blokady na rozmowy w sprawie zawarcia umowy o partnerstwie i współpracy między Unią Europejską a Rosją.

się z Władimirem Putinem, Polska też ocieplała stosunki z Rosją. I odwrotnie – gdy Niemcy opowiedziały się za nałożeniem sankcji na Rosję, Polska także zastrzyła kurs antykremlowski.

PiS przyjmuje zgoła inną perspektywę. Kluczowym terminem w myśleniu politycznym Jarosława Kaczyńskiego jest „suwerenność narodowa” (o którą skądinąd w epoce globalizacji coraz trudniej).

Dlatego politycy PiS wykazują słabość do USA. Uważają bowiem, że Ameryka jest przeciwna federalistycznemu modelowi Unii i szanuje podmiotowość państw narodowych. W USA upatrują zatem gwaranta silnej pozycji Polski wobec Niemiec czy

może się okazać kolejną zmianą w jej polityce wobec Kremla. Potęgi „starej” UE już dają dyskretnie wskazówki „brzydkim pannom bez posagu” z dawnego bloku wschodniego. Owszem, Angela Merkel jest przerażona konfrontacyjną linią Putina. Jednak wielki biznes niemiecki chce współpracować z Rosją. W rezultacie powstaje druga nitka Gazociągu Północnego. Z kolei Emmanuel Macron w listopadzie 2018 r. oznajmił wprost, że Europie potrzebna jest – jako kontrproponycja dla NATO – własna armia, gotowa obronić Stary Kontynent zarówno przed Rosją, Chinami, jak i... Ameryką. Znamienne, że słowa prezydenta Francji spotkały się z pozytywnym odzewem ze strony Putina. To świadczy o tym, że gospodarz Kremla widzi w pomysle Macrona raczej załączek antyamerykańskiego sojuszu z Berlinem i Paryżem niż coś, czego Moskwa miałaby się obawiać.

Również w Polsce politycy antypisu zdają się szykować do przedstawienia wajchy. Przykładem może być Grzegorz Schetyna. We wrześniu 2018 r. przewodniczący PO zapowiedział, że jeśli jego formacja i Nowoczesna razem jako Koalicja Obywatelska zdobędą władzę, to nastąpi powrót do „normalnych relacji sąsiedzkich” z Rosją i odblokowany zostanie mały ruch graniczny z tym państwem.

CO ZROBI ANTYPIS?

Może antypis uznać, że gdy w Polsce Kaczyńskiego jest istne piekło kobiet, gejów, mniejszości etnicznych i innowierców, to w Rosji Putina – rozciągającym się od Kaliningradu do Władywostoku kraju wielu narodów, religii i kultur – odbudowywana jest z mozołem liberalna demokracja na modłę zachodnią. To już było przerabiane: w roku 2009 na łamach „Gazety Wyborczej” w podobny sposób chwalił osiągnięcia wschodniego sąsiada Radosław Sikorski.

Wreszcie trzeba będzie rozstrzygnąć kwestię ukraińską. Może antypis pogodzi się z tym, że za spokój w tym kraju warto zapłacić odpowiednią cenę – przystać na „powrót Krymu do rosyjskiej macierzy” i utworzenie „republik ludowych” w Donbasie.

Nic, tylko czekać na narrację totalnej opozycji o PiS jako ugrupowaniu „rusofobicznym”. I wówczas przyjdzie zapomnieć o tym, że niegdyś PiS uchodziło na warszawskich lewicowo-liberalnych salonach za partię prokremlowską. I że Putin w ogóle kiedykolwiek stanowił uosobienie politycznego zła.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą magazynu Tygodnik.tvp.pl.

Jeśli chodzi o relacje polsko-rosyjskie, to stanowisko Prawa i Sprawiedliwości pozostaje konsekwentne

Do rangi symbolu urasta pewien drobniaczek: kiedy Tusk jako premier RP udał się w roku 2008 do Moskwy, został przez serwis Gazeta.ru powitany tekstem na swój temat zatytułowanym: „Nasz człowiek w Warszawie”. Skądinąd tamta wizyta spotkała się z ogromnym rozczarowaniem wśród ukraińskich kręgów opiniotwórczych. Ich komentarze sprowadzały się do konstatacji, że Polska postawiła na Rosję kosztem Ukrainy.

Warto więc zauważyć, że był taki okres, w którym to Prawo i Sprawiedliwość atakowało PO jako partię prokremlowską. Jednak Platforma nigdy na takie miano nie zasługiwała. Prędzej pasowałoby ono do jej wieloletniego koalicjanta – ludowców, którzy stanowią formację o rodowodzie PRL-owskim. To im wciąż zależy na takich relacjach z Rosją, które nie będą przeszkodą dla eksportu polskich produktów rolnych do tego kraju. Z tego powodu PSL nie jest entuzjastą sankcji nałożonych przez UE na Federację Rosyjską po aneksji Krymu.

Jeśli zaś chodzi o PO, to odkąd jej kierownictwo zostało zmonopolizowane przez środowisko gdańskich liberałów (i tym samym znalazła się ona pod jednoosobowym przywództwem Tuska), ugrupowanie to zaczęło odgrywać w Polsce rolę „stronnictwa pruskiego”.

Polityka zagraniczna RP za rządów Platformy i ludowców uwarunkowana była polityką zagraniczną Niemiec. Stąd aprobatywne nastawienie PO do niemieckiego postulatu pogłębiania integracji europejskiej. Poza tym gdy Angela Merkel układała

instytucji UE. Takie podejście PiS ujawnia się szczególnie wtedy, gdy w Białym Domu zasiada republikański prezydent, zachowujący się wobec Rosji jak jastrząb.

Co to w efekcie oznacza? Kiedy Polską rządzi PiS, jej władze epatują bezkompromisowością wobec podmiotów, które traktują jako rywali Ameryki w walce o wpływy na arenie międzynarodowej. Są to potęgi „starej” Unii oraz Rosja.

Taka strategia jednak świadczy o naiwności polityków Prawa i Sprawiedliwości względem USA. Wuj Sam bowiem nie jest dobrym wujkiem. To przede wszystkim bezwzględny gracz, dla którego liczy się wyłącznie to, co może on zyskać dla siebie. Gdy Waszyngton chce się układać z Moskwą, oczekuje od Polski polityki prokremlowskiej. I odwrotnie – gdy obiera ostry kurs wobec Rosji, stawia na tych polskich polityków, są którzy skorzy do awantury z Kremlu. I nie ma znaczenia, czy prezydentem USA jest demokrat, czy republikanin. Dlatego proamerykanizm PiS nie zapewnia tej partii stałego poparcia Białego Domu.

Niemniej jednak trzeba przyznać, że jeśli chodzi o relacje polsko-rosyjskie, to stanowisko PiS pozostaje konsekwentne. Tyle że może to skutkować napięciami między Warszawą a Waszyngtonem. Na co bowiem zda się PiS proamerykanizm, jeśli Donald Trump w rywalizacji z Chinami przeciągnie Rosję na swoją stronę i podejmie próbę kolejnego resetu z Putinem?

Natomiast do PO teraz przypuszczalnie dociera mądrość nowego etapu, który



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Bez retuszu

Jak wiadomo, polska historia nie ma szczęścia. Została bowiem zalana grubą warstwą brązu i jeszcze grubszą warstwą lukru. Wielu badaczy zamiast opisywać prawdę historyczną, woli powtarzać legendy „ku pokrzepieniu serc”. Nie dotyczy to oczywiście wszystkich. W Polsce wychodzi wiele wartościowych książek, których autorzy nie retuszują przeszłości.

Dowodem może być wydany przez IPN zbiór „Porządek publiczny i bezpieczeństwo w okupacyjnej Warszawie” pod redakcją znakomitego historyka Roberta Spałka. Weźmy choćby tekst Janusza Marszałca o bezpieczeństwie publicznym w trakcie powstania warszawskiego. Naukowiec opisuje w nim następujące zjawiska:

1. Czyny przestępcze dokonywane przez cywilów. Ich sprawcami byli na ogół – choć nie tylko – przedstawiciele marginesu społecznego.

2. Narastające napięcia między powstańcami a ludnością cywilną, która obwinięta żołnierzami za tragedię Warszawy. Sytuację pogarszało to, że żandarmeria AK często siłą wyciągała cywilów ze schronów, aby zmusić ich do budowania barykad.

3. Samosądy na schwytanych folksojdcach i ludziach – często niesłusznie

oskarżonych o współpracę z okupantem.

4. Czyny przestępcze dokonywane przez powstańców. Były to na ogół nielegalne rekwizycje i szabrowanie mienia. A w skrajnych przypadkach – gwałty i zabójstwa.

Należy podkreślić, że powstańcy wymiar sprawiedliwości starał się przestępczość zwalczać. Często przy użyciu radykalnych środków. Marszałec opisuje m.in. sprawę grasującej w Śródmieściu grupy Czesława Mekińskiego z kontrwywiadu AK. Dokonywała ona na własną rękę likwidacji i rabunków. W efekcie Mekiński i dwóch jego ludzi zostało skazanych na śmierć. Wyroki wykonano niezwłocznie.

Sytuacja pogarszała się wraz z upływem czasu, gdy stało się jasne, że powstanie musi zakończyć się klęską. Doprowadziło to do załamania morale części ludności cywilnej i części powstańców. Marszałec

podkreśla jednak, że patologiczne zachowania pozostały marginesem. Stan bezpieczeństwa w powstańczej Warszawie ocenia jako dobry. Podkreśla również patriotyzm, poświęcenie i nienaganną postawę większości żołnierzy AK.

Takich ciekawych, wyważonych tekstów można znaleźć w zbiorze IPN więcej. ©©



★★★★★

RED. ROBERT
SPAŁEK
„PORZĄDEK
PUBLICZNY
I BEZPIECZEŃSTWO
W OKUPACYJNEJ
WARSZAWIE”
IPN 2018



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Prohibicja
po polsku

Odrodzone państwo polskie potrzebowało dużych i regularnych wpływów podatkowych, co zapewnić miało utworzenie państwowych monopolu. Jednym z pierwszych był monopol loteryjny, potem tytoniowy, wreszcie w lipcu 1924 r. przyszedł czas na Państwowy Monopol Spirytusowy. Zgodnie

na 2,5 tys. mieszkańców, co oznaczało, że na kresach przez wiele kilometrów nie można było legalnie nabyć żadnych trunków. Do tego punkt dystrybucji alkoholu (czyli także lokale z wyszynkiem) musiały być oddalone o minimum 300 m od: budowli sakralnych, więzień, sądów, stacji kolejowych, szkół, przedszkoli, przystani wodnych i zakładów pracy zatrudniających ponad 100 pracowników. Zakaz obejmował wszelkie trunki o zawartości alkoholu od 2,5 do 45 proc., a mocniejsze napoje w ogóle nie zostały dopuszczane do sprzedaży. Zakazy omijano na wszelkie sposoby, w lokalach alkohol podawano w filiżankach, poza tym prętnie rozwijało się bimbrownictwo. Wprawdzie przepisy prawne zakładały wysokie grzywny plus karę więzienia za produkcję samogonu, ale „księżycówkę” pędzono nawet w rodzinnym domu Tadeusza Kościuszki! Cieszyła się ona zresztą wielkim uznaniem okolicznych mieszkańców i nazywano ją Kościuszkowską...

Przepisy ostatecznie zliberalizowano w 1931 r. (oprócz bimbrownictwa), a twórcy polskiego kina wykorzystali całą sytuację w filmie „Pani minister tańczy” (premiera: 21 stycznia 1937 r.). W fikcyjnym państwie oficjalnie wyszynk był zabroniony, ale by otrzymać alkohol, należało przy składaniu zamówienia odpowiednio mrugnąć okiem do kelnera. Wszyscy wówczas wiedzieli, o co chodzi, niemal tak samo jak do niedawna w telewizyjnych reklamach piwa bezalkoholowego. ©©

Powstanie monopolu
spirytusowego było
elementem walki
z alkoholizmem

z obowiązującym prawem produkcja alkoholu pozostała w rękach prywatnych, jednak cała powstała wódka czysta (ok. 80 proc. produkcji) miała być odsprzedawana państwu. W efekcie jej wytwarzanie musiało odbywać się pod egidą PMS, natomiast przedsiębiorcy mogli swobodnie produkować wyłącznie: wódki gatunkowe, rum, destylaty, koniaki i likiery.

Powstanie monopolu spirytusowego było elementem szerszej akcji walki z alkoholizmem w kraju. Już w kwietniu 1920 r. Sejm Ustawodawczy przyjął tzw. lex Moczydłowska (od nazwiska posłanki Marii Moczydłowskiej) – ustawę drastycznie ograniczającą sprzedaż alkoholu. Zakazano handlu trunkami w święta, soboty i niedziele, w dni targowe oraz poboru wojskowego. Dopuszczano istnienie tylko jednego sklepu sprzedającego alkohol



Z dr. Danielem Wicentym, socjologiem, pracownikiem IPN
rozmawia Jan Hlebowicz

JAN HLEBOWICZ: W swojej najnowszej książce, pisząc o środowisku esbeków w latach 70. i 80., używa pan metafory zgniłych jabłek. Te zepsute owoce to...

DR DANIEL WICENTY: Mówiąc w skrócie – zdemoralizowani funkcjonariusze SB. Jednak zaczniemy od początku. Owoc, jeśli ma być dobrej jakości, musi być przechowywany w odpowiednich skrzynkach i otoczeniu. Jeśli tę metaforę, składającą się z trzech elementów, przełożymy na funkcjonowanie organizacji, to widzimy: jednostki, struktury oraz otoczenie organizacji. Dzięki zastosowaniu takiej metafory możemy badawczo opowiedzieć o tych trzech wymiarach funkcjonowania człowieka w organizacji. Metafora zgniłych jabłek, zaczerpnięta z anglojęzycznych nauk społecznych, daje możliwość wszechstronnej oceny, czym była Służba Bezpieczeństwa.

„Należy tak pracować, aby o SB mówili, że są to ludzie twardzi, ale równie sprawiedliwi i kulturalni” – mówił Edward Gierek w maju 1971 r. Jaki był typowy esbek?

Ani specjalnie sprawiedliwy, ani twardy czy kulturalny. W raporcie dotyczącym jakości sieci agenturalnej Departamentu III w 1970 r. napisano: „Dominuje rutyna, szablonowość i schematyzm”. Przeciętni funkcjonariusze poprawnie wywiązywali się z zadań, które przed nimi stawiano. Przełożeni bardzo często oceniali ich pracę jako „byłe jaką” i sprowadzającą się do wypełnienia „biurokratycznych oczekiwań”. Esbecy nie byli w żadnym razie mistrzami werbunku i wirtuozami misternych prowokacji, jak czasami o nich myślimy. Nie byli też przenikliwymi psychologami zdolnymi do przejrzenia na wylot słabości, lęków i motywacji rozpracowywanych osób czy agentów. Ci bardziej pomysłowi esbecy, potrafiący przeprowadzać prowokacje i skomplikowane działania operacyjne, stanowili zdecydowaną mniejszość.

Taki zbiorowy obraz esbeków obala mit wszechwładnej organizacji działającej sprawnie i skutecznie?

Mimo pojawiających się dysfunkcji Służba Bezpieczeństwa nadal

Uroczystość jubileuszowa MO i SB,
Lublin 1974 r. FOT. JACEK MIROSLAW/FORUM



pozostawała organizacją złowrogą i w znacznym stopniu sprawną. Mamy do czynienia z instytucją, która systematycznie doskonaliła metody swojej pracy, posiadała kilkudziesięcioletnie doświadczenie i w końcu korzystała z całego „czekistowskiego know-how”. Przeciętność funkcjonariuszy, bylejałość, błędy, nie oznaczają wcale, że SB pozostawała niegroźna.

Esbecy wierzyli w komunizm czy byli konformistami?

Wierzących było niewiele. Na początku lat 70. Gierek podniósł zarobki funkcjonariuszy. Wiele decyzji o wstąpieniu do służby wynikało więc z pobudek pragmatycznych i koniunkturalnych. Jednak nie zawsze. Dla części esbeków służba nie oznaczała wyłącznie dobrej ścieżki kariery i gwarancji przyzwoitych zarobków. Wśród funkcjonariuszy nierzadko widzimy koligacje rodzinne. Synowie ubeków, przystępując do służby, kontynuowali niejako resortowe tradycje rodzinne ojców.

Myśląc o patologiach w SB, pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to... alkoholizm.

Rzeczywiście, połowa wszystkich przewinień służbowych była powiązana z alkoholem. Wydaje się, że w życiu codziennym funkcjonariusza alkohol był więc czymś powszechnym i naturalnym – w książce używam określenia „sfunkcjonalizowana dysfunkcja”. Jednocześnie powodował wiele negatywnych następstw. Esbecy, będąc „pod wpływem”, rozbijali samochody służbowe, gubili legitymacje, wdawali się w bójki, dopuszczali kradzieże, powodowali wypadki z bronią. Nałóg towarzyszył też dekonspiracjom, najczęściej podczas knajpianych libacji.

Alkohol bywał też przyczyną spektakularnych upadków zawodowych karier?

To m.in. historia gdańskiego esbeka Czesława Wojtalika, który przez lata był wyróżniającym się funkcjonariuszem i dynamicznie piął się po szczeblach zawodowej kariery. Wojtalik pełnił ważną funkcję w kierownictwie gdańskiej SB, był odpowiedzialny za zwalczanie opozycji. W pewnym momencie jego nałóg zaczął rzutować na funkcjonowanie całej struktury. Po tym, jak ostatecznie Wojtalika wyrzucano, podległy mu Wydział III na poziomie kadry kierowniczej został wymieniony niemal w całości. Kłopoty alkoholowe przełożonego wpłynęły na załamanie karier jego podwładnych. Woj-

talik to takie zgniłe jabłko, które „zainfekowało” pozostałe owoce w skrzynce.

Finał historii Wojtalika to scena wręcz filmowa...

Pewnego dnia w gabinecie esbeka doszło do przypadkowego spotkania jego... dwóch kochanek. Kobiety wdały się w karczemną awanturę połączoną z rękoczynami i zdemolowaniem pomieszczenia. Wojtalik w tym czasie, mimo dzikich wrzasków i przewracanych przedmiotów, spał na biurku zamroczony alkoholem. W pewnym momencie jedna z kochanek opuściła jego gabinet, druga z kolei postanowiła zostać w nim dłużej i „się rozejrzeć”. Kobieta zabrała z szafy pancernej zdjęcie z chrztu córki Lecha Wałęsy, wykonane z ukrycia przez funkcjonariuszy Wydziału „B” w gdańskim kościele św. Brygidy. Ta ukradzioną przez kochankę fotografia stała się gwoździem do trumny kariery wysoko postawionego esbeka.

Dla części esbeków służba nie oznaczała wyłącznie dobrej ścieżki kariery i gwarancji przyzwoitych zarobków. Wśród funkcjonariuszy nierzadko widzimy koligacje rodzinne. Synowie ubeków kontynuowali niejako resortowe tradycje rodzinne ojców

Casus Wojtalika ujawnia jeszcze inny problem bardzo często towarzyszący alkoholizmowi funkcjonariuszy – tzw. nieobyczajność.

Część esbeków faktycznie prowadziła podwójne życie, uczestnicząc w seksualnych orgiach, korzystając z pornografii, dopuszczając się zdrad małżeńskich. Jednak w przypadku zachowań nieobyczajnych mamy raczej do czynienia z pojedynczymi wybrykami niż z masowym zjawiskiem. Przełożonym zresztą niespecjalnie przeszkadzało posiadanie przez funkcjonariuszy kochanek. Problem zaczynał się wówczas, gdy skutkiem romansów była nieostrożność w doborze kontaktów operacyjnych oraz w przekazywaniu tajnych informacji.

Esbecy często nadużywali swojej pozycji?

Zdarzały się takie piony w SB, które ze względu na pełnione przez nie funkcje były wręcz przesiąknięte nadużyciami. Szczególnie mam tu na myśli pion paszportowy. Nadużycia widoczne były także przy udzielaniu przez esbeków rekomendacji do zakładania firm polonijno-zagranicznych.

Chodziło o łapówki?

Jednym ze sposobów było rzeczywiste przekazanie korzyści materialnych w zamian za paszport albo rekomendację. Zdarzały się także „odwzajemnione przysługi”. Na przykład w zamian za pozytywną rekomendację funkcjonariusz domagał się zatrudnienia w firmie polonijnej swojej żony.

Bywało, że zdemoralizowani esbecy nie działali w pojedynkę, tworząc coś na kształt „brudnych wspólnot”, czyli grup przestępczych albo struktur działających na granicy prawa – w szarej strefie. Jak tworzyła się taka „brudna wspólnota”?

Ten fenomen dotyczył nie tylko funkcjonariuszy SB, lecz także środowisk wojskowych, milicjantów, tajnych współpracowników, osób z tzw. półświatka oraz PRL-owskich „czerwonych kołnierzyków” – biznesmenów polonijnych, dyrektorów przedsiębiorstw państwowych, przedstawicieli administracji państwowej,

działaczy partyjnych. W skrócie mówiąc, poprzez „brudne wspólnoty” dokonywana była wymiana przysług stanowiąca fundament wzajemnych interesów. Funkcjonariusze zapewniali parasol ochronny i dostęp do informacji. W zamian otrzymywali pożądane dobra oraz możliwość angażowania się w różnego rodzaju mniej lub bardziej legalne interesy. „Brudne wspólnoty” paraliżowały też w jakiejś mierze działanie tajnej policji.

Czy patologie w szeregach SB przekładały się na jakość pracy – werbunek tajnych współpracowników, zawartość teczek?

Nie ma żadnego odnotowanego przypadku z lat 70. i 80. „fabrykowania” tajnych współpracowników. TW mógł być zwerbowany byle jak, mógł być współpracownikiem nieprzynoszącym wymiernych korzyści SB, mógł nawet „zerwać się ze smyczy”. Nie zdarzały się jednak takie sytuacje, by TW został przez funkcjonariusza „wymyślony”. Jeśli zaś chodzi o zawartość teczek, to tak jak we wszystkich innych źródłach historycznych niekiedy w raportach SB

pojawiają się uproszczenia, przejawskrawienia, błędne interpretacje rzeczywistości, jednak rzadko kiedy całkowite konfabulacje.

W jaki sposób SB radziła sobie z wewnętrznymi dysfunkcjami? Uważała, że wystarczy wyrzucić ze skrzynki jedno zgniłe jabłko czy jednak podchodziła do problemów strukturalnie, pozbywając się całych skrzynek?

Ciałami kontrolnymi w SB były m.in. Zarząd Ochrony Funkcjonariuszy (ZOF) i Główny Inspektorat. Miały one identyfikować dysfunkcje i dyscyplinować przypadki nadużyć. Jak sobie z nimi radzono? Zdecydowanie częściej usuwając ze skrzynki zepsute jabłko. W organach kontrolnych dominowało przekonanie, że sprawiającego kłopoty funkcjonariusza należy zidentyfikować i usunąć ze służby. Kontekst strukturalny dostrzegany był z rzadka. W przypadku ZOF, powołanego przez gen. Kiszczaka, można postawić pytanie o realne

To głosiła oficjalna wykładnia. Co mówiło się o zabójstwie ks. Jerzego w kuluarach?

W regularnie opracowywanej informacji o nastrojach w resorcie w styczniu 1985 r. odnotowano: „Wyrażane jest przekonanie, iż śmierć księdza była bardziej splotem niekorzystnych okoliczności, niżli celem samym w sobie. Funkcjonariuszy bulwersuje nadto ujawnienie w czasie procesu zakresu i metod działania Służby Bezpieczeństwa”. Dla wielu esbeków oburzające było to, że ich koledzy „pójdą siedzieć”, a „resort ich nie broni”. Z kolei jeden z funkcjonariuszy, Janusz Molka, po latach relacjonował Bogdanowi Rymanowskiemu reakcje na śmierć ks. Popiełuszki w następujący sposób: „»Dobrze, że w końcu tego klechę zajebali«. Takie komentarze były w resorcie powszechne.



DANIEL WICENTY
„ZGNIŁE
JABŁKO, ZEPSUTE
SKRZYNKI I ZŁE
POWIETRZE”
IPN 2018

Nowemu”. Przedstawił się w nim jako podwójny szpieg. Ucieczka Naszkowskiego była dla SB organizacyjną katastrofą.

Cały czas mówimy wyłącznie o esbekach mężczyznach. Rola kobiet w SB była marginalna?

W latach 70. i 80. nie było żadnej postaci porównywalnej z Julią Brystiger. Brakowało kobiet na szczeblach kierowniczych. Kobiety w większości nie prowadziły też pracy operacyjnej, jeśli już, to odnajdując miejsce w pionach pomocniczych – paszportowych, archiwalnych, administracyjno-gospodarczych. Resort pozostawał światem typowo męskim. Dlaczego? Trudno jednoznacznie odpowiedzieć. Być może z powodu specyficznych rozrywek, które towarzyszyły życiu esbeków...

Jak wyglądała sytuacja esbeków po 1989 r. Czy rzeczywistość III RP zagwarantowała im „miękkie lądowanie”?

W szczytowym momencie lat 80. w SB pracowało 24 tys. funkcjonariuszy. W chwili rozwiązania organizacji, w lipcu 1990 r., esbeków było zaledwie 8–9 tys. Co się stało z pozostałymi? Część funkcjonariuszy w okresie transformacji ustrojowej przeszła do milicji, późniejszej policji. Esbecy zakładali także firmy ochroniarskie, windykacyjne, detektywistyczne. Wielu esbeków w sposób bezbolesny znalazło także zatrudnienie w Urzędzie Ochrony Państwa. Jedyne znane mi studium dotyczące przypadków stu funkcjonariuszy SB, UOP i służb wojskowych zostało przeprowadzone przez Mariusza Jędrzejkę. Z badania z 2008 r. wynika, że większość byłych funkcjonariuszy pełniła wtedy funkcje kierownicze w sektorach strategicznych – w branży finansowej, IT, doradztwie gospodarczym, handlu zagranicznym. To przedstawiciele ówczesnej gospodarczej elity. Pytanie, na ile ta 100-osobowa próbka jest reprezentatywna dla całego środowiska?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Daniel Wicenty (ur. 1977)
– socjolog, pracownik IPN
w Gdańsku i Uniwersytetu
Gdańskiego. Badacz środowisk
socjologicznych i dziennikarskich
w PRL, Służby Bezpieczeństwa
oraz współczesnej pamięci
społecznej o PRL.

Część funkcjonariuszy w okresie transformacji ustrojowej przeszła do milicji, późniejszej policji. Esbecy zakładali także firmy ochroniarskie, windykacyjne, detektywistyczne

motywację utworzenia tego ciała kontrolnego. Chodziło przede wszystkim o inwigilację funkcjonariuszy związanych ze śmiercią ks. Jerzego Popiełuszki. Próbowano jednocześnie powiązać morderstwo duchownego ze sprawą kpt. Adama Hodysza, współpracującego z opozycją. Ciąg myślowy gen. Kiszczaka można streścić następująco: resort oprócz zewnętrznego wroga politycznego ma także wewnątrz zgniłe jabłko – są to ludzie zamieszani w zabójstwo ks. Jerzego oraz kpt. Hodysz, kolaborujący z naszym przeciwnikiem. Ta pokrętna logika, odwołująca się także do myślenia spiskowego, wskazywała aluzynie, że „prowokacja polityczna”, związana ze śmiercią ks. Popiełuszki, miała wynikać z obecności w resorcie funkcjonariuszy „przypadkowych, politycznie niedojrzałych i zdemoralizowanych”. Przy okazji gen. Kiszczak pokazywał, że w SB nie ma miejsca ani dla zabójców ks. Popiełuszki, ani dla kpt. Hodysza – traktowanych jednakowo. ZOF pomoże zaś wszystkie takie zgniłe jabłka zidentyfikować i z wczasu wyrzucić.

Wznosiliśmy toasty: »Pod zimne nóżki księdza Popiełuszki«.

Przy okazji ZOF wspominał pan o kpt. Hodyszu. Wielu było takich Konradów Wallenrodów wśród esbeków?

To chyba jedyny znany mi przypadek, w którym esbek z powodów, jak przypuszczam, ideowych, zdecydował się na współpracę z opozycją demokratyczną. Ucieczek esbeków na Zachód w latach 70. i 80. było zdecydowanie więcej. Ciekawym przypadkiem jest historia Eligiusza Naszkowskiego. To przykład tajnego współpracownika, który w nagrodę za swoje wysokie zasługi dla MSW został kadrowym funkcjonariuszem SB w Biurze Studiów – elitarniej strukturze, której zadaniem było zwalczanie solidarnościowego podziemia. 30 września 1984 r. Naszkowski miał wylecieć samolotem LOT na placówkę w Ułan Bator. Na pokład jednak nigdy nie wszedł. Po latach okazało się, że esbek kilka dni przed planowanym wylotem zbiegł, razem z żoną i dzieckiem, na Zachód. W 1990 r. z Paryża udzielił telefonicznego wywiadu „Tygodnikowi



Bohater spod Zborowa



Jacek Komuda

**Historia tego człowieka ukazuje
niezwykły portret banity, żołnierza,
podróżnika, awanturnika, miłośnika
sportów ekstremalnych, odkrywcy
i na koniec bohatera – czyli
typowego inteligenta z XVII w.**

Szarpali go, wyciągając z bryki. Gdy wreszcie wyszedł, narzucili na szyję arkan i ranili dzidą. Przekrzykując się w obelgach, związali nieszczęsnego i powlekli końmi za miasteczko. Tam wreszcie, gdy wzywał ich na sąd boży, zabili strzałami z rusznicy. Konającemu wycięli z ust kłamliwy język i przybili do szubienicy na znak pogardy i krzywo-przysięstwa, pozostawiając obdarte, nagie ciało na gościńcu... W takich niezwykłych dzisiaj, aczkolwiek często spotykanych 400 lat temu okolicznościach poznaje-

my Krzysztofa Arciszewskiego. Ale to nie jego język przybito do szubienicy.

Nasz bohater, urodzony w 1592 r. w Rogalinie w Wielkopolsce, syn Eliasza, znanego arianina, uczył się pilnie w Śmiglu i we Frankfurcie nad Odrą, następnie przebywał na dworze hetmana Krzysztofa Radziwiłła na Litwie, pod którego komendą brał udział w kampanii 1621–1622 r. w Inflantach w wojnie ze Szwedami.

Karię dworzanina i być może przyszłego dostojnika Rzeczypospolitej, mającego zapewnić spokojny chleb

u Radziwiłłów, przerwało zdarzenie, do którego doszło po powrocie do domu, w 1623 r. Otóż ojciec sprzedał część miasteczka Śmigła niejakiemu Kacprowi Brzeźnickiemu, palestrantowi przy trybunale w Piotrkowie, człowiekowi tyleż zręcznemu w mowie, co w prawie. Najpierw bowiem nie zapłacił Eliazowi za swoją część miasta, a pozwany do trybunału tak zręcznie prowadził proces, że nie tylko nie uiszczył zapłaty, lecz także pozbawił adwersarza drugiej połowy majątku. Rozwścieczeni Arciszewscy zasadzili się na Brzeźnickiego w Poninie pod Kościanem, po czym usiłowali siłą zmusić palestranta do ustąpienia ze Śmigła i zapłaty należności. Niespodziewanie napadnięty okazał się uparty i szaleńczo odważny. Zapłacił za to głową, rozstrzelany przez braci. Dodatkowo Krzysztof wyciął mu język i przybił do szubienicy.

Za zabójstwo w biały dzień pan Arciszewski otrzymał wyrok infamii i banicji. Przejornie uciekł najpierw pod opiekę Krzysztofa Radziwiłła, który wysłał go do Holandii, aby poznawał inżynierię wojskową i artylerię. Wspomagał go też finansowo. Przy okazji Arciszewski wziął udział w wojnie z Hiszpanią, a mianowicie w nieudanej odsieczy Bredy w 1625 r. Z jego pobylem związane są też nieco legendarne doniesienia, jakoby jako jeden z pierwszych ludzi wykorzystywał sprzęt do nurkowania lub nieznaną rodzaj dzwonu nurkowego i spędził kilka godzin pod wodą na dnie w pobliżu Scheveningen (dziś dzielnicą Hagi). W liście do Radziwiłła opisuje bowiem nie tylko, jak zszedł pod wodę, lecz także sytuację, kiedy znalazł sieć rybacką i chciał z niej wyjąć kilka ryb, jednak skaleczył się o jedną z nich. Był to ostrosz, który okazał się jadowity. Arciszewski chorował potem kilka dni na zatrucie, cierpiąc na bóle i mając sparaliżowaną rękę. To jednak nie odbiera mu sławy pierwszego nurka w historii Polski.

Rok później udało mu się pojednać z rodziną Brzeźnickiego i uzyskać zawieszenie wyroku. Prawdopodobnie wrócił do Rzeczypospolitej, jednak tylko po to, aby zaraz wpaść w kolejną awanturę, która mogła go kosztować życie.

BANITA I WYGNANIEC

Niespodziewanie w 1625 r. hiszpańska infantka Izabela przysłała królowi Zygmuntowi III pisma, z których wynikało, że Krzysztof Radziwiłł zamierzał po śmierci władcy oddać tron w Rzeczypospolitej

Gastonowi księciu Orleanu, bratu króla Francji. Co gorsza, wymienieni byli tam Krzysztof Arciszewski i Piotr Kochlewski, słudzy i klienci hetmana litewskiego, jako główni sprawcy tej intrygi. Nic więc dziwnego, że król, i tak będący w nie najlepszej kondycji psychicznej po rokoszu i podejrzewający wszystkich o zdradę, nakazał ich schwytać, a Arciszewski musiał ratować się ucieczką – tym razem do Francji. Na korzyść dobrego imienia bohatera należy przyznać, że cała sprawa wyglądała na intrygę wymierzoną w Radziwiłła. Dlaczego bowiem Krzysztof – jak pisze Henryk Wisner – kalwin i protektor reformacji na Litwie, związany z Habsburgami, miałby forsować na tron Gastona, fanatycznego katolika i zaprzysięgłego wroga domu Rakuskiego?

Arciszewski uciekł do Francji, gdzie znalazł służbę na dworze kardynała Richelieu, wziął nawet udział w oblężeniu i zdobyciu twierdzy La Rochelle, później zaś wyjechał do Holandii, gdzie zaciągnął się jako żołnierz w szeregi Kompanii Zachodnioindyjskiej. Zmienił też wówczas wyznanie na kalwinizm. Już w listopadzie w stopniu kapitana wysłano go do Brazylii, gdzie Holendrzy toczyli walki z Hiszpanami i Portugalczakami. Jako żołnierz brał udział w zdobywaniu dwóch twierdz – Olindy i Recife, zajmował się też działalnością na poły piracką. W 1630 r. zajął bowiem wyspę Itamaracé, gdzie został potem komendantem twierdzy Orange i niepokoił Hiszpanów wycieczkami. W prywatnych pismach zawarł opisy wielu zwyczajów plemion indiańskich, co czyni go jednym z pierwszych polskich etnografów.

W 1633 r. awansowany do stopnia majora wrócił do Holandii, gdzie zaraz otrzymał propozycję od króla Władysława IV wstąpienia na służbę. Nie przyjął jej jednak, po czym wrócił znowu do Brazylii. Na czele wojsk Kompanii zdobył Castello Real i Porto Calvo, oblegał port Nazareth. W 1636 r. pod Perifuro pobił Hiszpanów dowodzonych przez gen. Ludwika de Roxas y Borgia, co sprawiło, że Kompania postawiła poświęcony mu pomnik w... Pernambuco.

ARESzt DLA BOHATERA

W tym samym roku wpadł jednak w kolejne kłopoty. Otóż gubernatorem Brazylii mianowany został Maurycy de Nassau-Siegen. Między nim i Arciszewskim doszło do konfliktów na tle zarządzania kolonią. Prawdopodobnie

bohater nie mógł utrzymać języka za zębami, otwarcie krytykował rządy konkurenta i rok później wrócił do Holandii, nosząc się z myślą porzucenia służby. Kompania jednak nie chciała pozbyć się doświadczonego żołnierza. W Amsterdamie przyjmowano go jak bohatera, ofiarowano złoty łańcuch i wybito medal na jego cześć. Ostatecznie mianowany został generałem artylerii i pułkownikiem wojsk w Brazylii, po czym wysłany znowu za ocean, tym razem z obietnicą, że wkrótce zajmie miejsce dumnego hrabiego, na razie zaś ma sprawować nad nim nadzór. Jak widać, Arciszewskiemu udało się przekonać do swoich racji władzę Kompanii; jednak wkrótce okazało się, że było to zwycięstwo zgoła połowiczne.

Kiedy pojawił się w kolonii, konflikt z Maurycym rozgorzał do tego stopnia, że miejscowa rada kazała go aresztować i odesłać z powrotem do kraju. Sądzo-ny był później przez Stany Generalne, ale nie uwzględniono jego zarzutów przeciwko de Nassau. Rozgoryczony i chory poprosił o dymisję. Została ona przyjęta. Na szczęście otrzymał od króla Władysława kolejną propozycję przyjazdu do Rzeczypospolitej, gdzie objąć miał godność admirała albo generała artylerii koronnej.

PRZECIW TATAROM I KOZAKOM

Jakim człowiekiem był Arciszewski? Kilka słów to za mało, aby opisać go szczegółowo. Wydaje się, że sam najlepiej określił siebie w liście do króla Władysława, napisanym wówczas, gdy leczył się po powrocie z Brazylii. Po pierwsze nie przywiązywał wagi do religii, jak wielu żołnierzy w tej epoce. „Jam nigdy dobrym arianinem nie był” – pisał. „Zawszem się brzydził quaestiami o religię i nie wdawałem się w nie”. Deklarował się, podobnie jak rzesze jemu podobnych, jako zawodowy żołnierz i rycerz fortuny. Z tym, że w przeciwieństwie do dzisiejszych najemników na służbie utrzymywała go nie chęć zarobku, ale żądza sławy. Najciekawsze zaś, że ten awanturnik i obieżyświat czuł tęsknotę za ojczyzną. W 1638 r., pomimo że w Rzeczypospolitej zlikwidowano wówczas akademię ariańską w Rakowie i rozpoczęto przesładowania braci polskich, pisał:

Chwała bądź Bogu

Już w progu ojczyzny mojej

Czuje jej dymy, czuję kominy Rodziny swojej.

Wykorzystany i oszukany przez Kompanię wrócił do Rzeczypospolitej, gdzie

MACIEJ PIECZYŃSKI: Węgierski parlament przegłosował tzw. ustawę niewolniczą, zwiększając limit nadgodzin z 250 do 400, z czego tylko 150 to godziny fakultatywne. Opozycja i związki zawodowe twierdzą, że faktyczny wymiar pracy nadliczbowej zawsze będzie wynosił 400, ponieważ pracownicy nie odważą się przeciwstawić pracodawcom.

DR HAB. MACIEJ SZYMANOWSKI: To nietrafiony argument. Po pierwsze, poziom bezrobocia na Węgrzech wynosi poniżej 4 proc. Tamtejszy rynek pracy jest więc rynkiem pracownika, nie zaś pracodawcy. Po drugie, podobne regulacje funkcjonują w wielu krajach unijnych i nie wywołują większych protestów. Tak naprawdę o większych protestach nie można mówić także w przypadku Węgier. 8 grudnia, wychodząc z budynku parlamentu, widziałem manifestację, która nie mogła liczyć więcej niż pół tysiąca osób. W tej demonstracji i późniejszych dominowali zresztą przede wszystkim albo ludzie bardzo młodzi, albo ludzie w bardzo podeszłym wieku. Ani jednych, ani drugich nie dotyczy problem nadgodzin. Gdyby związki zawodowe faktycznie były tak bardzo oburzone, nie ma wątpliwości, że wyciągnęłyby na ulice dziesiątki tysięcy demonstrantów.

Według argumentacji węgierskiego rządu nowa ustawa ma sprzyjać rozwojowi gospodarki. Z kolei przeciwnicy Orbána twierdzą, że Fidesz rozpędza gospodarkę kosztem pracowników, jednocześnie działając na rzecz zachodnich koncernów motoryzacyjnych, które potrzebują taniej siły roboczej. Kto ma rację?

Na dodatkowe nadgodziny potrzebna jest zgoda pracownika. Jeśli chce, to może pracować dłużej, ale nie musi. Od końca lat 80. bardzo wielu Węgrów było zatrudnionych na dwóch–trzech etatach. Najnowsze regulacje sprzyjają pracy w jednym miejscu. Natomiast nie ma żadnych pewnych informacji o naciskach koncernów motoryzacyjnych. Ta ustawa uelastyczni rynek pracy.

Wielu komentatorów podkreśla, że tym razem wyjątkowo przeciwko Orbánowi zjednoczyło się całe spektrum opozycji – od Jobbiku do socjalistów. Jak to się stało?

Na Węgrzech, podobnie jak w Polsce, mamy do czynienia z totalną opozycją, która nie może pogodzić się z wyborczą porażką. Według sondaży opublikowanych tuż przed świętami, a więc już po manifestacjach przeciwko nowelizacji kodeksu pracy, Fidesz mógłby liczyć na 54 proc. poparcia w wyborach, czyli grubo

Soros nie odsunie Orbána od władzy



Z dr. hab. Maciejem Szymanowskim,
dyrektorem Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej
rozmawia Maciej Pieczyński

ponad dotychczasową większość dwóch trzecich w parlamencie. Na pozostałe partie, wyłączając utrzymujący dwucyfrowy wynik prawicowy Jobbik, zagłosowałoby w najlepszym wypadku 6 proc. respondentów. Poparcie dla opozycji systematycznie spada. Dlatego partie opozycyjne zaciekle konkurują ze sobą o status tej, która jest najbardziej antyfideszowska.

Media lewicowo-liberalne – również w Polsce – podkreślają jednak, że w ostatnich protestach siły połączyli działacze związków zawodowych oraz studenci. To ma być klucz do sukcesu opozycji.

Takie teorie mają tyle samo wspólnego z rzeczywistością, ile nazywanie Orbána autokratą, który niszczy demokrację. Widać, że niszczy i zniszczyć nie może. Upłynęła już niemal dekada jego rządów, a demokracja wciąż ma się dobrze. Albo więc Orbán jest nie-

udolnym politykiem, albo – o zgrozo! – wcale autokratą nie jest. Oczywiście rząd ma bardzo wielu przeciwników, ale to naturalna cecha krajoobrazu politycznego w kraju demokratycznym. Jedni wprowadzają niepopularne reformy, inni przeciwko nim protestują. Widziałem o wiele liczniejsze demonstracje przeciwko Orbánowi. Nowością w obecnym konflikcie politycznym na Węgrzech nie jest zjednoczenie opozycji, lecz agresja, z jaką atakuje ona władzę. Kilku parlamentarzystów próbowało wdrzeć się do budynku telewizji publicznej. To miał być protest przeciwko rzekomej cenzurze. Posłowie chcieli odczytać w studiu swój nawołujący do dymisji rządu manifest, który – nawiasem mówiąc – jest szeroko promowany i komentowany na antenach stacji komercyjnych. Gdy próba wdarcia się do budynku zakończyła się niepowo-



Protest antyorbánowski w Budapeszcie, 16 grudnia 2018 r. FOT. LASZLO BALOGH/GETTY IMAGES

dzeniem, jedni opozycjoniści sami kładli się na ziemię, udając pobitych przez ochroniarzy, i robili sobie zdjęcia, inni zakładali ręce na głowę, udając zatrzymanych przez służby porządkowe. Cały ten obrazek można było zobaczyć w reportażu wybitnie antyorbánowskiej telewizji ATV. Ujęcie kamery było tak szerokie, że nie sposób było nie dostrzec manipulacji. Jednak zdjęcia, przedstawiające rzekomo pokrzywdzonych opozycjonistów, z komentarzem, że właśnie tak Orbán prześladowa swoich przeciwników, poszły w świat. Cała awantura zaczęła się od prób obstrukcji prac parlamentu nad ustawą. Blokada fotela przewodniczącego się nie powiodła, więc przeciwnicy Orbána wyszli na ulicę. Należy przy tym pamiętać, że w przeszłości dochodziło do o wiele bardziej licznych demonstracji wymierzonych w obecną władzę.

Za pobicie policjantów zostało zatrzymanych kilkoro studentów uczestniczących w demonstracjach. Przeciwnicy Orbána robią z nich męczenników. Czy słusznie?

Tego typu manifestacje zawsze przyciągają bardziej krewkie charaktery, które szukają okazji do bójki, nie zaś do wyrażenia własnych poglądów. Według sondaży think tanku Századvég aż 85 proc. Węgrów jest oburzonych agresywnym zachowaniem opozycji. Kilka tysięcy protestujących na ulicach dwumilionowego Budapesztu to naprawdę niewiele. Węgrzy nie są samobójcami. Byłoby dziwne, gdyby masowo protestowali przeciwko rządowi, który po wielu chudych latach rozhuśtał gospodarkę, umożliwił blisko 12-procentowy wzrost średniej płacy w ub.r. A przecież jeszcze 10 lat temu Węgry znalazły się na skraju bankructwa. Niewiele brakowało, by podzieliły los Grecji.

Do protestów dołączyli się studenci przede wszystkim z Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego, którzy mają własne porachunki z Orbánem.

Od jakiegoś czasu słyszymy, że ta finansowana przez George'a Sorosa uczelnia ma się przenieść do Wiednia. Stąd też tak duże zaangażowanie w antyrządowe protesty. Jednak Uniwersytet Środkowoeuropejski to jedynie blisko półtora tysiąca studentów plus kadra wykładowcza.

Czy Zachód będzie bronił uczelni Sorosa przed Orbánem?

Nie sądzę, by była taka potrzeba. Uniwersytet Środkowoeuropejski zwyczajnie nie spełnia standardów węgierskiej uczelni wyższej. Nie ma odpowiednio wykształconej kadry. W światowych rankingach plasuje się wysoko, ale tylko dlatego, że wykładają tam nobliści. Jednocześnie zajęcia prowadzą tam magistrowie zamiast doktorów czy profesorów. Uniwersytet miał dwa lata na to, by te braki formalne nadrobić. Z pewnością Soros był w stanie sprostać wymogom węgierskiego prawa, skoro stać go było na zatrudnienie noblistów.

Sugeruje pan, że Soros specjalnie obniża standardy uczelni, żeby narazić się na sankcje ze strony władz i mówić o represjach ze strony „autokraty Orbána”?

Nie tyle obniża, ile nie podwyższa tych standardów, właśnie w tym celu, o którym pan mówi.

Soros jednak jest niezwykle wpływową postacią. Skąd pewność, że przegra batalię o uniwersytet?

Kilka tygodni temu David Cornstein, ambasador USA w Budapeszcie, przyznał publicznie, że sprawa Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego nie ma nic wspólnego z rzekomym zamachem na wolność oświaty i nauki na Węgrzech. A przecież postawa ambasadora George'a Mosbachera w sprawie TVN w Polsce pokazała, że Amerykanie naprawdę dbają o swój rodzimy kapitał za granicą. Skoro więc zareagowali, jak zareagowali, w sprawie uczelni Sorosa, to znaczy, że Orbán nie ma się czego obawiać.

A jednak półtora roku temu demonstracje właśnie w obronie samego tylko Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego zebrały 80 tys. uczestników. Czyli jednak jakiś potencjał antyorbánowski jest. Gdzie on się podział?

Ewentualne nastroje antyorbánowskie wynikają nie tyle z przyczyn ideologicznych, ile pokoleniowych.

Wielu młodych ludzi głosuje albo na skrajnie prawicowy Jobbik, albo na nowo powstające ugrupowania radykalnie lewicowe. A to dlatego, że dla dzisiejszych 20-, 30-latków Orbán jest w polityce od zawsze, od kiedy pamiętają, widywali go na pierwszych stronach gazet i w telewizji, są nim zmęczeni, znudzeni i czekają na kogoś innego, nowego. To naturalne.

Czy zamknięcie gender studies to sukces Viktora Orbána jako lidera konserwatywnej kontrrewolucji?

Zapewne teza, zawarta w pańskim pytaniu, efektownie wygląda w tytułach prasowych. Rzeczywistość jest jednak o wiele bardziej prozaiczna. Po gender studies bardzo trudno znaleźć pracę, dlatego też z roku na rok zmniejsza się liczba studentów. Młodzi Węgrzy nie są głupi – wolą studiować kierunki, które dają nadzieję na dobry start na rynku pracy.

Kilkunastu właścicieli mediów na Węgrzech przekazało ponad 400 portali informacyjnych, gazet, stacji telewizyjnych i radiowych na rzecz fundacji stworzonej i zarządzanej przez sojuszników Orbána, z których część – jak alarmuje „The New York Times” – „w ostatnich latach wykupywała niezależne media i przekształcała je w prorządowe tuby”. Według „NYT” lider Fideszu stworzył w swoim kraju maszynę propagandową na wzór czasów komunistycznych, która uniemożliwia wszelką krytykę jego rządów. Ile w tym prawdy?

Jest to mechanizm znany z wielu krajów świata. Na przykład w państwach skandynawskich funkcjonują fundacje, które skupują media. Mam tutaj na myśli chociażby norweską Amedia-stiftelsen, duńską Egmont czy szwedzką MittMedia. Poza tym nie jest prawdą, że media prorządowe, konserwatywne czy prawicowe zmonopolizowały rynek. Mniej więcej 67 proc. mediów węgierskich to media przedstawiające ofertę lewicowo-liberalną, jak wynika z ostatnich badań instytutu Médianéo Kozpont. O największej w tym kraju telewizji – RTL Klub – można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że sprzyja Orbánowi. Pracownicy stacji ATV, która ma w rynku podobny udział co główny kanał informacyjny telewizji publicznej M1, wykonują swoją pracę tak, że mają chyba w umowach zastrzeżenie, iż jeśli za cokolwiek pochwali rząd, to stracą pracę. Wśród tych 400 tytułów przejętych przez fundację spora część to media regionalne, które nie mają zbyt wiele wspólnego z polityką. Są

wśród nich takie tytuły jak „Węgierski Jachciarz” czy „Kultura Mieszkania”... Natomiast łączy te media to, że mają one problemy z utrzymaniem się na rynku, a ich właścicielami są Węgrzy. Tym samym sojusznicy Orbána najzwyczajniej w świecie ratują rodzimy kapitał. Krytycy władzy twierdzą, że media przejęte przez fundację zmonopolizują rynek reklam państwowych. Nie wiem, czy tak będzie, ale z pewnością – co pokazują przykłady państw skandynawskich – tytułom zrzeszonym w dużych holdingach dużo łatwiej zabiegać o reklamodawców prywatnych.

TVP często zarzuca się stronniczość. Czy podobnie jest z telewizją publiczną na Węgrzech?

Media publiczne na Węgrzech mają jeden zdecydowany plus w porównaniu z mediami publicznymi w Polsce – są mniej upolitycznione. W programach publicystycznych rzadko występują politycy, debata toczy się z reguły w gronie ekspertów.

Jednak czy ci eksperci prezentują tylko jedną stronę sporu?

Odpowiem tak: media publiczne na Węgrzech zawsze były prorządowe i nic w tej materii się nie zmieniło. Nie oznacza to jednak, że nie są tam prezentowane poglądy głęboko antyrządowe.

Przekaz rządowy na Węgrzech sprowadza się do tego, że wszelkim atakom na Orbána winny jest Soros. Ponadto nawet w mediach lewicowo-liberalnych przyznaje się, że pierwsi do protestów przyłączyli się zagraniczni studenci, a potem dopiero węgierscy... Na ile więc te ataki są inspirowane z zewnątrz, a na ile są wyrazem obywatelskiego buntu?

W wielu krajach działają zasilane zagranicznymi pieniędzmi organizacje pozarządowe, które realizują interesy swoich mocodawców. To nie jest żadna teoria spiskowa, tylko rzeczywistość. Na Węgrzech najwięcej zainwestował w tego typu działalność George Soros, nie więc dziwnego, że jego rola jako fundatora walki z obecną władzą jest najpoważniejsza. Sam miliardier robi zresztą wszystko, by tak być postrzeganym. Sam stwierdził publicznie, że nie spocznie dopóki nie odsunie Orbána od władzy. Ponadto przez wiele lat funkcjonowały na Węgrzech liczne podmioty, finansowane przez Sorosa, i nie prowadziły żadnej wojny z władzą. Przełomem był dopiero kryzys migracyjny.

Zanim Orbán zamknął granice, przez Węgry przeszło pół miliona nielegalnych imigrantów. Soros prowadził w międzyczasie szeroko zakrojoną kampanię na rzecz ich przyjmowania, dlatego wszedł w otwarty konflikt z rządem. Tym można tłumaczyć tak wielki upór amerykańskiego miliardera przeciwko jakimkolwiek zmianom w funkcjonowaniu Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego. Soros chce udowodnić, że nie ugnie się pod naciskiem Budapesztu.

Soros zarzekał się, że obali Orbána. Do tego samego zdają się zmierzać działania Brukseli, z której co rusz węgierski przywódca musi wysłuchiwać pouczeń. Komisja Europejska wszczęła procedurę przeciwko Węgrom w sprawie odmowy przyjmowania imigrantów. Czy liberałom uda się odsunąć Orbána od władzy?

Na pewno nie, ponieważ cieszy się ogromnym poparciem społecznym.

Jak ataki instytucji unijnych wpływają na to poparcie?

Przykład Węgier pokazuje, że zaangażowanie przez opozycję Brukseli do walki z własnym rządem wcale tej opozycji nie służy. Wręcz przeciwnie. W 2010 r., gdy Orbán obejmował władzę, pod bankami stały kolejki przerażonych sytuacją w kraju Węgrów, którzy wybierali ostatnie oszczędności. Były gigantyczne problemy z wypłaceniem pensji lekarzom, nauczycielom, policjantom. Cięcia budżetowe spowodowały masowe zwolnienia w administracji państwowej. Wydawało się, że państwo się sypie. W czasie pierwszej kadencji Fideszu sytuacja gospodarcza była fatalna. Wprowadzane reformy były początkowo trudne i bolesne dla społeczeństwa. Orbán mógłby nie wygrać kolejnych wyborów, gdyby nie silne, obcesowe ataki co bardziej krewkich polityków unijnych na rząd w Budapeszcie, które uzmysłowiły przeciętnemu Węgrowi, jak fałszywa jest argumentacja przeciwników Fideszu. Inspirowany przez opozycję atak Unii na Orbána został odebrany jako atak na własne państwo. Dlatego w obronie premiera wyszło na ulice pół miliona Węgrów – liczba, o jakiej dziś liberałowie mogą pomarzyć.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



dr hab. Maciej Szymanowski
– jest dyrektorem Instytutu Współpracy Polska-Węgierskiej im. Wacława Felczaka, doradcą marszałka Sejmu.



MLEKO Z BRĄZOWYCH KRÓW

Było już jedno badanie, które pokazało, że bardzo wielu Amerykanów nie ma pojęcia, iż hamburgery są z wołowiny. Teraz w sondażu przeprowadzonym przez Innovation Centre of US Dairy pytano dorosłych mieszkańców USA o czekoladowe mleko. Blisko połowa nie miała pojęcia, skąd ono się bierze. A blisko co 10. sądził, że to mleko pochodzące z... brązowych krów.

FOT. ADRIAN STOK

FRANCJA TRYSKAJĄCA DEMONSTRACJĄ

Gdy w wielu krajach nowej Europy panuje zamordyzm, demokracja umiera, a despoci uciskają ludzi, we Francji demokracja wciąż się rozwija – rząd zapowiedział zaostrzenie kar za nielegalne demonstracje. Nowe przepisy zamierza wzorować na tych wymierzonych w piłkarskich chuliganów.

PRAWIE JAK W FILMIE

Netflix musiał wydać specjalne ostrzeżenie po tym, jak tysiące ludzi zaczęło zachowywać się tak, jak bohaterzy udostępnionego na tej platformie filmu „Nie otwieraj oczu”. W fabule ludzie chodzą z zasłoniętymi oczami, by nie spojrzeć na tajemniczą postać – bo to spojrzenie doprowadza do samobójstwa. W realu ludzie zakładają opaski i podejmują „wyzwanie”, które dokumentują w Internecie. W trakcie takich prób

przewracają się w domach, lasach i spadają ze schodów.

SMS O ROZWODZIE

W Arabii Saudyjskiej kobietom nie zwraca się głowy podczas rozmów. Wystarczy, że mąż nie chce już jednej ze swoich żon, i sam może to załatwić w sądzie. Saudowie jednak też są postępowi. Od niedawna sądy rodzinne muszą żonom wysyłać SMS z informacją o tym, że mąż się z nimi rozwodzi.

ZWYCIĘSTWO W KAŻDYM WIEKU

Sport to wielkie plany i wielkie ambicje. Dotyczy to również sportu amatorskiego. Amerykańska Agencja Antydopingowa upomniwała niedawno 90-letniego mistrza kraju w kolarskim sprincie w tej kategorii wiekowej. Zdaniem USADA Carl Grove miał w organizmie anaboliki. Kolarz twierdzi, że zarzuty są niesprawiedliwe, bo on po prostu zjadł mięso, które mogło być zanieczyszczone sterydami. ©©

Łukasz Zboralski



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Brzydka gra rosyjską kartą

Nie ma nic dziwnego, strasznego, niesłusznego ani nagannego w tym, że Polskę odwiedził Matteo Salvini, lider włoskiej Ligi (dawniej Ligi Północnej). Jest całkowicie naturalne, że przed wyborami do Parlamentu Europejskiego spotykają się politycy dwóch partii, które łączy sceptycyzm wobec obecnej postaci UE. Wilczym zaś prawem opozycji jest wskazywać na to, że Liga jest zacięcie eurosceptyczna i prorosyjska, oraz pytać, czy PiS się pod tymi poglądami podpisuje. Zarazem prawem PiS jest szukać sprzymierzeńców w Europie, co nie oznacza, że trzeba się podpisywać pod wszystkim, co

głoszą. Można sobie nawet wyobrazić, że gdyby kontakty Ligi i PiS stały się bliższe, ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego mogłoby sprawić, że włoscy koledzy ostudziliby nieco swój putinoentuzjazm. Z korzyścią dla Polski.

Kryje się w tym jednak pewna pułapka. PiS jak ognia boi się oskarżeń o zmierzanie do polexitu i o sprzyjanie Rosji. Oba są całkowicie bezpodstawne, ale tym gra opozycja i czasem gra skutecznie. Będzie tym grać także w przypadku relacji z Ligą.

To bardzo nieodpowiedzialne – wątkiem rosyjskim wystarczająco mocno grają w Polsce sami

Rosjanie, także przez rozmaitych pożytecznych idiotów. Opozycja nie powinna do tej gry przykładać ręki. Tak, to prawda, że PiS zrobił z polityki zagranicznej funkcję polityki wewnętrznej – podporządkował tę pierwszą drugiej niemal całkowicie. Jednak to, że ta strona robi źle, nie może usprawiedliwiać drugiej strony.

W sytuacji, którą mamy, nawet gdyby pojawiła się możliwość, aby podjąć z Rosją jakąkolwiek grę wykraczającą poza obecne zamrożenie relacji, PiS tego nie robi – z obawy, że bezwzględnie wykorzysta to opozycja. Takie są konsekwencje gry rosyjską kartą. ©©



Cezary Gmyz z Berlina

Czy postrzelona w sylwestra Polka była kolejną ofiarą krwawej wojny o Berlin? Wszystko wskazuje na to, że trwa walka o władzę nad miastem

W sylwestra pochodząca z Trójmiasta Monika Sz. miała obchodzić swoje 26. urodziny. Nie zdążyła. Cztery dni wcześniej została znaleziona w kałuży krwi w berlińskiej dzielnicy Neukölln. Następnego dnia zmarła.

Czy Monika Sz. była kolejną ofiarą walki arabskich klanów przestępczych władających tą dzielnicą? Wstępne ustalenia wskazują na to, że sprawcy, w tym były chłopak dziewczyny, byli powiązani ze środowiskiem dilerów narkotykowych. Prokuratura nie podaje ich narodowości, ograniczając się do stwierdzenia, że mają obywatelstwo Niemiec. Nie jest jednak dziełem przypadku, że przy tej okazji niemieckie media przypominały o innej ofierze zastrzelonej niedawno w tej okolicy. Chodziło o Nidala R., który już z pewnością był ofiarą gangsterskich porachunków.

Neukölln to dzielnica Berlina, która stała się znana na całym świecie jako przestępcza – nomen omen – mekka klanów arabskich dzięki serialowi „4 Blocks”. Tytułowe cztery dziedziny określają zakres zainteresowań przestępczych rodzin – dziewczynki, haracze, hazard, narkotyki. Do tego zestawu należałoby jeszcze dodać pranie pieniędzy pochodzących z tych przestępstw.

Chociaż przeciętnego berlińczyka zazwyczaj omijają sprawy związane z przestępczością zorganizowaną, jest to główny temat, który im zaprzęta głowy. Dość powiedzieć, że kiedy berliński „Der Tagesspiegel” opublikował w sylwestra ranking 10 najczęściej klikanych tekstów na swoim portalu, prawie połowa dotyczyła właśnie przestępczości w Neukölln. Żaden inny temat tak nie poruszył berlińczyków w minionym roku.

JAK NOWY JORK

Dzisiaj sytuacja w Berlinie jako żywo przypomina Nowy Jork z pierwszych dekad XX w., kiedy toczyła się walka o przestępcze panowanie nad miastem



Czyj ten

między pięcioma klanami włoskimi i żydowskimi. Przyczyny są też identyczne – masowa imigracja. W przypadku Niemiec korzenie zjawiska to lata 70., kiedy na terenie Republiki Federalnej pojawili się pierwsi uchodźcy z ogarniętego wojną Libanu. O ile napływ innych wyznawców islamu, a mianowicie Turków, miał podłoże ekonomiczne, o tyle pierwszy masowy napływ Arabów był ściśle związany z działaniami wojennymi na Bliskim Wschodzie. Był to jeden z tych konfliktów, w których ówczesne mocarstwa, czyli Sowieci i USA, ścierały się ze sobą nie wprost, ale poprzez swoich sojuszników.

Od razu trzeba też powiedzieć, że uchodźcy, którzy wówczas przybyli do Nie-

miec, nie byli wyłącznie obywatelami Libanu, lecz także Syrii, a przede wszystkim arabskimi Palestyńczykami. W Niemczech, w których po 1968 r. dokonywał się zwrot na lewo, zostali oni przyjęci z otwartymi rękami. Zwłaszcza przez środowiska skrajnej lewicy z jej zbrojnym ramieniem, jakim była Frakcja Czerwonej Armii, która ręką w rękę działała z terrorystami m.in. z Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Arabów z niemieckimi lewakami łączyło jeszcze jedno – mieli tego samego sponsora, czyli tajne służby sowieckie.

W latach 80. Palestyńczycy odkryli lukę, dzięki której mogli przedostać się do zachodniej części podzielonego wówczas Berlina. NRD oficjalnie wspie-



Pogrzeb Nidala R. zastrzelonego w Berlinie w wyniku porachunków arabskich klanów FOT. SEAN GALLUP/GETTY IMAGES

Berlin?

rała Organizację Wyzwolenia Palestyny Jasira Arafata. Samoloty wschodnioniemieckiej linii utrzymywały regularne połączenie z Bejrutem. Palestyńczycy wsiadali do tych samolotów, lądowali na lotnisku Schönefeld, skąd natychmiast udawali się na przejście graniczne do tzw. Pałacu Łez przy Friedrichstrasse i całkowicie legalnie przedostawali się do Berlina Zachodniego drogą, która dla większości obywateli państw bloku sowieckiego była zamknięta. Ralph Ghadban, autor książki „Arabskie klany – niedoceniane zagrożenie”, sam pochodzący z Libanu, szacuje, że 75 proc. Arabów (nie tylko z Palestyny) do Niemiec Zachodnich przedostało się tą właśnie

drogą. Wtedy też pojawił się problem handlu ludźmi. Arabowie szybko odkryli, że mając prawo pobytu, mogą zapraszać innych Arabów. Kasowali od zaproszenia od 300 do 500 marek zachodnioniemieckich. To dało podwaliny finansowe przyszłym klanom.

To właśnie dlatego Berlin jest dziś nieformalną stolicą arabskiej przestępczości. Procesy te nasiliły się jeszcze, kiedy upadał mur. Granicę w Berlinie szturmowali wówczas nie tylko obywatele bloku sowieckiego, lecz także Arabowie, którzy przebywali w państwach komunistycznych. W ciągu niespełna roku przekroczyło ją ok. 20 tys. obywateli Libanu.

Dość szybko się zorientowali, że niemiecki system socjalny jest czymś, co można bezkarnie doć. System ten został przez nich potraktowany jako wojenny łup.

WOJNA O MIASTO

Przez lata po upadku muru berlińskiego państwo niemieckie było skupione na zjednoczeniu kraju podzielonego przez dziesięciolecia murem i zasiękami. W tym czasie w Niemczech tworzyło się społeczeństwo równoległe. Berlin zaś do tworzenia bytów równoległych nadawał się znakomicie. Światowa metropolia, w której tzw. multi-kulti jest niemalże religią, stworzyła idealne podglebie dla zorganizowanej przestępczości o charakterze międzynarodowym. Jednak od pewnego czasu gangi polskich złodziei samochodów, mafia rosyjska czy cygańscy kieszonkowcy z Rumunii, ze Słowacji i z Bułgarii na przestępczej mapie Berlina spychani są w cień przez klany arabskie. Konkurują z nimi jedynie Turcy, czyli inni wyznawcy islamu.

Jednak prawdziwym impulsem do rozwinięcia skrzydeł dla arabskich grup przestępczych był kryzys uchodźczy, który wybuchł za sprawą otwarcia granic Niemiec w 2015 r. Arabowie, którzy przybywali do Niemiec od połowy lat 70., zdążyli już okrzepnąć i stworzyć strukturę, przede wszystkim właśnie w dzielnicy Neukölln. Jednak jest ona jedynie miejscem symbolicznym, bo tak naprawdę przestępcza wojna o opanowanie stolicy Niemiec jest w fazie początkowej. Najlepiej widać to na przykładzie dzielnicy Wedding. Niegdyś uchodziła ona za najbardziej polską część Berlina. Jednak Polacy w miarę bogacenia się zaczęli się wyprowadzać do domków na przedmieściach czy do innych dzielnic uchodzących za „chrześcijańskie”. Dzisiaj przy głównej arterii Wedding – Müllerstrasse – polskich napisów już właściwie prawie nie ma. Zostały one zastąpione napisami tureckimi i arabskimi. Wiele specjalistów jest zdania, że tu się może rozegrać bitwa o przestępcze panowanie nad Berlinem.

Co ciekawe, trzy dzielnice, w których swoje panowanie zaznaczają islamskie grupy przestępcze – czyli turecki Kreutzberg, arabski Neukölln i będący mieszaniną tych dwóch nacji Wedding – to dzielnice uważane przez dziesięciolecia za czerwone.

Nie są one jeszcze klasycznymi „no-go-area”, jednak proces ich zamiany w getto jest widoczny gołym okiem. To, co w bogatych dzielnicach w Berlinie jest jeszcze na porządku dziennym, w Neukölln może być niebezpieczne. Homoseksualiści bez obaw okazujący sobie czułość na Nollendorplatz po przejechaniu kilku zaledwie przystanków metrem na Hermannplatz w Neukölln mogą się stać zwierzyną łowną. W ubiegłym roku kilku zostało tam pobitych przez Arabów właśnie ze względu na orientację seksualną. Zresztą nie tylko. Jednemu z nich zerwano z szyi łańcuszek z krzyżykiem i powiedziano, że w Neukölln nie jest to mile widziana biżuteria. Nie trzeba oczywiście

palona tam marihuana stanowi w pewnej części prywatny import (czy raczej przemysł) z Holandii, o tyle twarde narkotyki to domena klanów. Nawet jeśli ich dilerami są Niemcy, to wszyscy bez wyjątku w towar zaopatrują się u bosów narkotykowego podziemia mających arabskie korzenie. Od roku 2005 liczba narkomanów w Berlinie spadała. Jednak od 2012 r. statystyki znowu zaczęły piąć się w górę, a gwałtownie wystrzeliły od 2015 r., kiedy rozpoczął się kryzys uchodźczy. Oficjalnie mówi się o 140 tys. berlińczyków zażywających narkotyki. To jednak złudna statystyka. Nie obejmuje ona bowiem tych, którzy do Berlina wpadają poimprezować. A to

przestępczych. Grupy mają swoje czujki obserwujące ulice. Kiedy wypatrzą one siły policyjne, nawet w nieoznakowanych pojazdach, wszczynają alarm. Same przeszukania odbywają się według stałego scenariusza. Policjanci są obrzucani przedmiotami z dachów i okien. Do akcji przeciw funkcjonariuszom kierowane są niejednokrotnie nawet kilkuletnie dzieci, które czepiają się ich mundurów. Stałym elementem takiej akcji jest symulowanie ataku serca przez matki, żony lub siostry podejrzanym. Bullen, czyli byki, bo tak się nazywa pogardliwie policjantów, naprawdę na Kreuzbergu czy w Neukölln nie mają łatwej roboty.

Co gorsza, są doniesienia, że członkowie arabskich klanów przestępczych usiłują przenikać do szkół policyjnych. W sieci pojawiła się anonimowa wymiana zdań na temat sytuacji w szkole policyjnej. Według autora sytuacja jest alarmująca. Ze względu na braki kadrowe do szkół przyjmowani są ludzie z ograniczoną znajomością niemieckiego, mający kontakty z klanami. Władze policji zaprzeczyły. Jednak policyjni związkowcy byli mniej wstrzemięźliwi. – Są jasne sygnały, że tak jest. Klany mają oczywisty interes, by dokładnie wiedzieć, jak funkcjonują państwo czy policja, kiedy będą miały miejsce przeszukania. Wszystko po to, by określić członkowie tych klanów mogli uniknąć odpowiedzialności karnej – mówił Bodo Pflaßgraf stojący na czele policyjnych związków.

BRAK STRASZAKA

Coraz większym problemem jest to, że na prominentnych członków klanów coraz mniej oddziałuje straszak w postaci deportacji z Niemiec. Wielu z nich, którzy przybyli do Berlina przed laty, zdołało nabyć niemieckie obywatelstwo. W dorosłe życie wchodzi teraz właśnie pokolenie ludzi urodzonych po 1 stycznia 2000 r. Niemcy przyznali prawo do obywatelstwa wszystkim urodzonym w Niemczech po tej dacie. Nawet jeśli oboje rodzice takiego obywatelstwa nie mieli. Właśnie to pokolenie stanowi dziś trzon żołnierzy klanów przestępczych. Co ciekawe, dla wielu z nich postaci z „4 Blocks” to bohaterowie będący wzorem do naśladowania. Tak jak niegdyś obraz mafiosów przedstawiony w „Ojcu chrzestnym”. Niestety, wszystko wskazuje na to, że jesteśmy w samym środku mafijnej bitwy o Berlin.

Tuż przed Bożym Narodzeniem policjant, który chciał skontrolować Omara S. nieprawidłowo parkującego na Hermannplatz, został przez niego staranowany samochodem przy aplauzie członków jego klanu

dodawać, że pojawienie się w tej okolicy w żydowskiej kipie w ogóle nie wchodzi w grę. Dotyczy to zresztą coraz częściej innych części Berlina. W ubiegłym roku mężczyzna noszący kipę został pobity na Prenzlauer Berg, jednej z najmłodniejszych dzielnic Berlina i jednocześnie uchodzącej za raczej bezpieczną.

WALKI BYKÓW

Tego typu przestępczość, choć przez zwykłych mieszkańców Berlina odczuwana jako najbardziej dolegliwa, nie jest tym, co napędza arabskie klany. Tym, co daje krociowe zyski, są wspomniane na wstępie „4 Blocks”. Z nich zaś najbardziej zyskowny jest handel narkotykami. Berlin po upadku muru berlińskiego jest dziś największą imprezownią w Europie. Imprezownią napędzaną przede wszystkim heroiną, kokainą i marihuaną. Kiedy upadał berliński mur, symbolem narkobiznesu była stacja kolejowa rozślawiona nie tylko w Niemczech książką „My dzieci z dworca zoo”. Dzisiaj, choć w okolicach nadal widuje się narkomanów, punkt ciężkości handlu narkotykami przesunął się w stronę miejsc kontrolowanych przez islamską przestępczość. Najbardziej zapalnymi punktami stały się: okolice Kotti, czyli stacji Kottbusser Tor, Görlitzer Park oraz zagłębie klubowe przy stacji Warschauer Strasse. O ile

właśnie klubowicze napędzają berliński narkobiznes.

Na narkotykową eksplozję próbowano zareagować w 2015 r. Senator (w landzie Berlin to odpowiednik ministra) spraw wewnętrznych Frank Henkel z CDU wprowadził politykę „zero tolerancji dla narkotyków”. Kiedy jednak władzę objęła koalicja SPD-Linke-Grüne, z tej polityki się wycofano. Stwierdzono, że jest ona zbyt obciążająca dla organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości.

Berlińska policja rzeczywiście jest obciążona ponad miarę. Jednak te obciążenia nie są równomierne dla całego miasta. Najdobitniej pokazują to statystyki zwolnień lekarskich. Prawdopodobnie jest zdumiewająca – dwie dzielnice, w których policjanci najczęściej zapadają na zdrowiu, to właśnie Neukölln i Kreuzberg.

Nic dziwnego. Specyfika służby w tych miejscach dalece odbiega od standardów pracy policji w innych miejscach. Każda interwencja może skończyć się czynną napaścią na funkcjonariuszy. Tuż przed Bożym Narodzeniem policjant, który chciał skontrolować Omara S. nieprawidłowo parkującego na Hermannplatz, został przez niego staranowany samochodem przy aplauzie członków jego klanu. Podobnie sprawa wygląda przy policyjnych nalotach, które policja przeprowadza w poszukiwaniu narkotyków, broni czy dokumentacji grup

AKCJA DLA DZIECI

— Z DOMÓW DZIECKA —



Sztafeta Pokoleń to międzypokoleniowy projekt, skierowany do dzieci z Domów Dziecka w całej Polsce.

Chcemy, żeby dzieci, poznały prawdziwych **Bohaterów** i brały z nich przykład.

Ogólnopolski konkurs plastyczny: „**Niepodległość Polski**”.
Wielki **piknik historyczny**.
Lekcje historii z udziałem kombatantów w placówkach w całym kraju.

Projekt organizowany przez **Fundację Red is Bad**.
Współfinansowany przez **Ministerstwo Obrony Narodowej**.

ORGANIZATOR



SPONSOR



PATRONI MEDIALNI



Zaledwie 29-letnia Alexandria Ocasio-Cortez, która w Izbie Reprezentantów zasiada od stycznia obecnego roku, to nowa gwiazda Partii Demokratycznej. W lipcu niespodziewanie wygrała partyjne prawyborczy w 14. dzielnicy Nowego Jorku, pokonując Joe Crowleya, który w Kongresie zasiadał nieprzerwanie od 1999 r. I był typowany na nowego partyjnego lidera. W listopadowych wyborach Ocasio-Cortez zapisała się na kartach amerykańskiej historii jako najmłodsza kobieta, która została wybrana do Kongresu.

Absolwentka ekonomii i stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie Bostońskim, urodzona w rodzinie robotniczej kongresmenka – córka mieszkającego od dziecka w biednej części Nowego Jorku kierowcy oraz sprzątaczkę pochodzącej z Puerto Rico – jeszcze rok temu pracowała jako barmanka. Protégowana Berniego Sandersa głośno się chwali, że jest socjalistką, i domaga się przekształcenia Stanów Zjednoczonych w państwo opiekuńcze na wzór krajów skandynawskich.

RED ALERT!

W Partii Demokratycznej osób, które same siebie z dumą nazywają socjalistami, ostatnio szybko przybywa. Skrajnie lewicowe grono tworzą jednak nie tylko młode, naiwne dziewczęta, lecz także liderzy, którzy marzą o tym, aby w przyszłym roku stanąć do walki o prezydenturę z Donaldem Trumpem. Jest wśród nich 78-letni Bernie Sanders. Senator z Vermont w wielu stanach zdobywał tak wielkie poparcie najuboższych, niewykształconych, mieszkańców przedmieść oraz kobiet, że w partyjnych prawyborach w roku 2016 był bliski wygranej. Poprawność polityczna kazała ostatecznie demokratom postawić na kobietę: z Donaldem Trumpem ostateczną walkę o Białą Dom przegrała więc Hillary Clinton.

Presja ze strony socjalistycznego skrzydła sprawia, że niebezpiecznie w lewo skręca cała Partia Demokratyczna. Jednym z postulatów jest walka z firmami oferującymi ubezpieczenie medyczne i rozszerzenie na wszystkich mieszkańców USA programu opieki medycznej Medicare, który obecnie obejmuje wszystkie osoby powyżej 65. roku życia oraz fizycznie niepełnosprawne. Jak podał „The New York Times”, za udostępnieniem Medicare wszystkim, niezależnie od wieku, jest już ponad połowa demokratycznych kongresmenów i jedna trzecia demokratycznych

Socjaliści na Kapitolu



Jacek Przybylski

Wprowadzenia podatku dla najbogatszych w wysokości aż 70 proc. żąda nowo wybrana kongresmenka Alexandria Ocasio-Cortez. W Partii Demokratycznej, która przejęła właśnie kontrolę nad Izbą Reprezentantów, radykalnych lewicowych pomysłów rodzi się coraz więcej

senatorów, choć koszt takiego rozwiązania idzie w biliony dolarów. Pod projektem ustawy opracowanym przez Sandersa podpisało się 15 demokratycznych senatorów, w tym wielu potencjalnych kandydatów na prezydenta: 49-letni senator Cory Booker z New Jersey, 52-letnia prawniczka Kirsten Gillibrand z Nowego Jorku czy pani profesor z Uniwersytetu Harvarda Elizabeth Warren.

Socjaliści-demokraci chcą również w pełni opłacanych przez podatników szkół publicznych i darmowych uniwersytetów. To nie wszystko. „Za koszt wprowadzonych cięć podatkowych przez Partię Republikańską moglibyśmy anulować WSZYSTKIE kredyty studenckie w Stanach Zjednoczonych” – przekonywała Alexan-

dria Ocasio-Cortez, zapominając zapewne te fragmenty swoich zajęć z ekonomii, na których tłumaczy się studentom, czemu służą cięcia podatków. Amerykańscy socjaliści żądają także wprowadzenia programu funduszu gwarantowanego zatrudnienia z minimalną stawką wynoszącą 15 dol. za godzinę, pełną opieką medyczną, płatnymi urlopami oraz płatnym urlopem macierzyńskim. Radykalnie lewicowi demokraci apelują także o uznanie prawa do mieszkania za jedno z praw człowieka i zagwarantowania tanich mieszkań dla klasy pracującej.

GŁUPI I GŁUPSI

Socjaliści przedstawiają także coraz bardziej radykalne pomysły ekologiczne



w 2018 r. pozytywnie kapitalizm oceniali 71 proc. pytaných, a socjalizm 16 proc. ankietowanych (w 2010 r. odpowiednio 72 proc. i 17 proc.).

Wśród wszystkich Amerykanów kapitalizm jest pozytywnie oceniany przez 56 proc. ankietowanych, a socjalizm przez 37 proc. Jednak im ankietowani młodszy, tym więcej było wśród nich miłośników lewicowych idei. Wśród Amerykanów w wieku od 18 do 29 lat socjalizm pozytywnie ocenia 45 proc. pytaných, a kapitalizm zaledwie 51 proc. Wśród osób powyżej 65. roku życia socjalizm cieszy się sympatią tylko 28 proc. Amerykanów, a kapitalizm pozytywnie ocenia 60 proc. pytaných.

„Musimy powiedzieć tak socjalizmowi. Zarówno temu słowu, jak i wszystkiemu innemu” – apelował we wrześniu zeszłego roku do demokratów na antenie HBO aktor i komik Jim Carrey, bohater filmu „Głupi i głupszy”, który zarobił miliony w Hollywood.

BARDZO DROGA LEWICA

Ile wprowadzenie w życie socjalistycznych pomysłów demokratów kosztowałoby tych Amerykanów, którzy rzeczywiście coś wytwarzają, a nie tylko żerują na ciężkiej pracy innych? Średnio amerykańska rodzina musiałaby rocznie oddać fiskusowi od 2 do 5 tys. dol. – ostrzegł eksperci Białego Domu. W październiku zeszłego roku członkowie Rady Doradców Ekonomicznych (CEA) – organu doradczego, który formułuje dużą część polityki gospodarczej Białego Domu – opublikowali 72-stronicowy raport pod nazwą „Koszt alternatywny socjalizmu”, w którym ostrzegają, że do Stanów Zjednoczonych może wkrótce zawitać socjalizm, i obliczają, jaki byłby wpływ takiej zmiany politycznej na gospodarkę oraz na budżet federalny. – Nie opublikowaliśmy dokumentu politycznego, lecz raczej studium akademickie, w którym analizujemy historię socjalizmu i pokazujemy, jak fatalne przyniósł on skutki narodom, które go wprowadziły – mówił na antenie FOX Business Kevin Hassett, prezes Rady Doradców Ekonomicznych.

Według Hassetta, jeśli Ameryka przyjęłaby teraz rozwiązania gospodarcze testowane przez kraje skandynawskie w latach 70. XX w., to PKB Stanów Zjednoczonych spadłoby nagle aż o 19 proc.

Nie wiadomo, czy twarde argumenty trafią do zwolenników socjalizmu. Pewne jest za to, że zmiana poglądów wśród wyborców sprawia, że to, co jeszcze kilka lat

ne, w stylu 100 proc. energii ze źródeł odnawialnych, forsowane w ramach programu „Zielony nowy ład” („Green New Deal”), których wprowadzenie w życie oznaczałoby rewolucję nie tylko w sektorze energetycznym, lecz w całej amerykańskiej gospodarce. Ocasio-Cortez w swym programie nawołuje także do zakończenia wojny z narkotykami, wypuszczenia wszystkich skazanych za posiadanie narkotyków, rozbicia policji oraz „automatycznych, niezależnych” śledztw w przypadku, gdy ktoś ginie z rąk stróżów prawa. Jej program tak bardzo się spodobał, że w listopadowych wyborach zgarnęła w swoim okręgu aż 78 proc. głosów.

W obecnym Kongresie – gdy pieczę nad senatem nadal sprawują republika-

nie – tego typu pomysły nie mają szans na zdobycie wystarczającej liczby głosów i dotarcie na biurko prezydenta. Podejście do skrajnie lewicowych programów w najbliższych latach może się jednak szybko zmieniać, ponieważ coraz mocniej w lewo skręcają sami wyborcy Partii Demokratycznej. Według ubiegłorocznego sondażu Gallupa aż 57 proc. zwolenników demokratów pozytywnie patrzy na socjalizm, tymczasem kapitalizm pozytywnie ocenia jedynie 47 proc. sympatyków Partii Demokratycznej (o 9 punktów procentowych mniej niż w roku 2016). Tak radykalnych poglądów po lewej stronie amerykańskiej sceny politycznej nie było od 2010 r. Wśród zwolenników Partii Republikańskiej pod tym względem zmienia się niewiele:

FOT. ANDREW KELLY/REUTERS/FORUM



Donald Trump ma szanse ogrąć liderów Partii Demokratycznej. FOT. GETTY IMAGES

temu uznawane było za radykalne, coraz częściej prezentowane jest jako element głównego nurtu. Jednocześnie z wyborów na wybory na Kapitolu spada udział reprezentantów białych nie-Latynosów. W Kongresie, który na swe pierwsze posiedzenie zebrał się 3 stycznia 2019 r., już jedną czwartą stanowią kobiety, a niemal 20 proc. przedstawiciele mniejszości etnicznych, religijnych czy seksualnych.

PRÓBA SIŁ W WASZINGTONIE

Jednym z populistycznych argumentów wysuwanych przeciw Donaldowi Trumpowi jest zarzut, że jest on „prezydentem białych samców”. I jako taki przez lewicę skazywany jest na wymarcie. Mająca większość w Izbie Reprezentantów Partia Demokratyczna chętnie poszła więc na zwanie z gospodarzem Białego Domu, czego wynikiem są polityczny impas w Waszyngtonie i trwające od 20 dni – w momencie zamykania tego wydania „Do Rzeczy” – tzw. zamknięcie rządu. Czasowe wstrzymanie finansowania dużej części administracji federalnej oznacza, że 800 tys. pracowników amerykańskiej budżetówki musiało pójść na bezpłatne urlopy.

Kością niezgody między prezydentem a Kongresem jest ustawa budżetowa, a konkretnie pieniądze na realizację jednej z głównych obietnic przedwyborczych Trumpa, czyli budowę muru na granicy amerykańsko-meksykańskiej. Demokraci od razu 3 stycznia przegłosowali co prawda dwie ustawy budżetowe, ale żadna nie przewidywała finansowania budowy muru. Ustawami ma się teraz zająć senat,

w którym przewagę mają republikanie. Jest ona jednak niewystarczająca, aby przeformować uwagi prezydenta.

Donald Trump nie zamierza jednak odpuszczać. W zeszły wtorek wygłosił również orędzie telewizyjne. – Nielegalna migracja na naszej południowej granicy to kryzys humanitarny, który musimy

Prezydent Trump ostrzegł już liderów demokratów, że „zamknięcie rządu” może trwać „miesiące, a nawet lata”

zakończyć – przekonywał gospodarz Białego Domu w trwającym osiem minut przemówieniu, podkreślając, że przez południową granicę przemycane jest m.in. 90 proc. kokainy, która trafia na amerykański rynek. Przemycane są również broń, a także kobiety i dzieci. – Dlatego musimy wybudować ten mur – zaznaczył prezydent USA.

– Donald Trump doprowadził do częściowego zawieszenia rządu i w ten sposób robi z narodu amerykańskiego zakładników. A przecież kobiety i dzieci, które próbują przekroczyć naszą południową granicę, nie są zagrożeniem dla naszego kraju – odpowiedziała przewodnicząca Izby Reprezentantów Nancy Pelosi.

W gorącym sporze między Donaldem Trumpem a demokratyczną przewod-

niczącą Izby Reprezentantów Nancy Pelosi i liderem demokratów w senacie Chuckiem Schumerem tylko teoretycznie chodzi o marne 6 mld dol., które ma kosztować budowa muru. W skali amerykańskiego budżetu, w którym na obronność rocznie przeznaczają się niemal 700 mld dol., kilka miliardów na rozbudowę muru naprawdę nie ma większego znaczenia. Istota sporu jest zupełnie inna. Po pierwsze, demokratyczni liderzy próbują pokazać Trumpowi, kto tu rządzi. Dramatyczne spory między Kongresem a Białym Domem zdarzają się stosunkowo często. Z „zamknięciem rządu” mieliśmy więc też do czynienia za rządów Baracka Obamy czy George’a W. Busha. Za Ronalda Reagana do „zamknięcia rządu” dochodziło aż osiem razy, ale ani razu nie trwało ono dłużej niż cztery dni. Za Billa Clintona były dwa, z czego najdłuższy trwał 21 dni. Dla gospodarzy Białego Domu tak ostry spór to zawsze ważny sprawdzian. Często ostatecznie w walce na szczytach władzy wygranym okazywał się jednak prezydent. Tym razem stawka dla obu stron jest jednak wyjątkowo wysoka. Nikt więc nie chce zrezygnować, chociaż Trump ostrzegł już demokratów, że „zamknięcie rządu” może trwać „miesiące, a nawet lata”.

I rzeczywiście może potrwać dłużej niż kiedykolwiek w historii, bo symboliczny spór o mur ma jeszcze jeden ważny polityczny aspekt: dla zdecydowanej większości Amerykanów temat imigracji jest wyjątkowo ważny (z grudniowego sondażu Gallupa wynika, że dla 37 proc. sympatyków Partii Republikańskiej to najważniejszy problem, z którym musi się obecnie uporać Ameryka). Budowa muru oznaczałaby symboliczne zwycięstwo konserwatystów, którzy będą mogli wreszcie położyć kres niekontrolowanej imigracji z południa. Zdaniem demokratów to jednak „rozwiązanie problemu z XXI w. metodą z pierwszego stulecia naszej ery”.

Na razie sympatycy demokratów za kryzys na szczytach władzy winią Donalda Trumpa (84 proc. pytanym zwolenników Partii Demokratycznej), a wyborcy republikanów obwiniają Partię Demokratyczną za niepotrzebny upór i blokowanie pieniędzy na mur (83 proc.). Od tego, kogo opinia publiczna ostatecznie uzna za zwycięzcę obecnego sporu, zależeć będzie zarówno wynik przyszłorocznych wyborów do Kongresu, jak i ryzyko, że pierwszy raz w historii USA gospodarzem Białego Domu zostanie socjalista. © Wszelkie prawa zastrzeżone

ZAINWESTUJ I ZARABIAJ **8%** W SKALI ROKU

Stały dochód wypłacany **co miesiąc**
i brak kosztów eksploatacyjnych!



130 przestronnych
apartamentów



30 dni pobytu
właścicielskiego



Bogata
infrastruktura
i atrakcje regionu



Lokalizacja
w centrum Karpacza
– idealna
do inwestowania



Tomasz Wróblewski

Czy zapamiętując się w trosce o klimat, nie zapomnieliśmy zatroszczyć się o ludzi?

Do nowych wyzwań klimatycznych dopłacimy w tym roku ekstra 9 mld zł. Pieniądże z budżetu na rekompensatę podwyżek cen energii to oczywiście tylko część tego, co już wydajemy na walkę z emisją CO₂. Mimo to wciąż wytykani jesteśmy palcem jako parias Europy, truciciel wszech czasów. Za niedościgniony wzór stawia nam się Niemcy, które od 1990 r. ograniczyły emisję o 26,8 proc. Mało kto jednak wspomina, że Niemcy zapłaciły za to 161 mld euro. Dane zaprezentował ostatnio ośrodek badań nad klimatem Yale Environment 360. Czyli Niemcy wydali prawie dwukrotność rocznego budżetu Polski i – jak wynika z tego samego raportu – poziom emisji wciąż mają na poziomie z 2009 r. To rok, w którym oficjalnie uznano, że wschodnie Niemcy odbudowały swój przemysł do poziomu średniej europejskiej i... z powrotem zaczęły kopcić. Jednym słowem, inwestycje, wynalazki, solary, wiatraki, elektrownie morskie – wszystko na nic.

ILE TO KOSZTUJE

Ekolodzy uwielbiają liczyć i epatować wielkimi liczbami, ale nikt na bieżąco nie sprawdza, ile świat wydaje na cały przemysł ekologiczny. Lewicujący ośrodek Climate Policy Initiative oszacował wydatki klimatyczne na 359 mld dol. w latach 1995–2013. Przy czym w komentarzu zwrócił uwagę, że to wciąż tylko kropla w morzu potrzeb. W instytucie uważano w 2013 r., że powinniśmy wydać jakieś 5 bln dol. rocznie, żeby uratować planetę. To suma zawrotna. Wszystkie państwa świata wydają na zbrojenia 1,7 bln dol. Na leczenie AIDS, raka, alzheimera i malarii oraz badania nad nimi wydajemy jakieś 1,5 bln.

Problem w tym, że kiedy miliony wydane na walkę z globalnym ociepleniem zmieniają się w miliardy, a potem w setki miliardów i biliony, my w dalszym ciągu nie mamy odpowiedzi na podstawowe pytanie, które pozwoliłoby rzetelnie oszacować potrzebne finanse. Przez



Klimatyczna hipokryzja

niemal 40 lat nauka nie wyjaśniła, jaki jest przelicznik wyemitowanego CO₂ na liczbę kresek na termometrze. Ile mamy jeszcze zapłacić, żeby osiągnąć klimatyczny cel? Od sławnego raportu Charneya w 1979 r., uważanego za początek wojny z ociepleniem, nie wiemy wiele więcej niż to, co znalazło się na drugiej stronie tego 22-stronicowego doku-

mentu – że ocieplenie może postępować i średnie temperatury w ciągu kolejnych 100 lat mogą rosnąć o 1,5–3 st. C. Co prawda, zostało nam jeszcze 60 lat, ale wiele proroctw, choćby to o stopieniu śniegów w Himalajach czy zalaniu setek portów i nabrzeży, się jeszcze nie ziściło. To, co z pewnością się zmienia, to prognozy. Według Climate Policy Initiative



FOT. ADRIAN STOK

ze słomkami do picia. Komisja Europejska, od lat pozostająca w światowej awangardzie troski o klimat, chce nałożyć specjalny podatek – jakieś 3,5 euro od każdego kilograma spalonego plastiku. Ponoć słomki, talerze, widelce i plastikowe noże zalegają na dnach oceanów, trują ryby, rośliny i nas samych. Urzędnicy, występując po stronie natury w sporze z człowiekiem, stworzyli nowy konstrukt ekonomiczny mający o połowę zmniejszyć rynek 500 mld butelek i 8,3 mld plastikowych rurek, które co roku wpadają do mórz i oceanów.

Gdyby Komisja Europejska dodatkowo brała pod uwagę kalkulacje ekonomiczne, to zapoznałaby się pewnie z doświadczeniami Holandii – jedyne- go kraju na świecie, który dawno już spełnia wyśrubowane plastikowe cele Unii. UE chce, żeby do 2030 r. 50 proc. plastiku było ponownie odzyskiwane jako surowiec do budowy ławek, części czy plastikowych pojemników. Holandia przetwarza już dziś 60 proc. swojego plastiku i właśnie szuka bardziej ekonomicznych rozwiązań, bo te proponowane przez Brukselę się nie sprawdziły. Okazuje się, że koszt recyklingu wielokrotnie przewyższa korzyści środowiskowe. Przeciętne holenderskie gospodarstwo domowe zbiera i selekcjonuje 15 kg plastiku rocznie, co po mechanicznym przetworzeniu pozwala oszczędzić 26 kg CO₂. Zbieranie, segregowanie, mycie, obsługa kolektorów, transport, mielenie, przetwarzanie – wszystko razem kosztuje 700 euro. To cena, jaką płacimy za to, że wypuścimy do atmosfery o tonę mniej plastikowych toksyn, której wchłonięcie w inny sposób (filtry, drzewa itp.) kosztuje 178 euro. Czyli czterokrotnie taniej można się pozbyć toksyn z atmosfery niż za pomocą nowoczesnych technologii recyklingu. Jak to jednak z klimatycznym fanatyzmem bywa – wielka idea zaczęła żyć własnym życiem i ma już własnych bohaterów zbiorowej świadomości. Nie da się zatrzymać. Komisja Europejska, dziesiątki think tanków i ekopublicystów wywołały wojnę słomkową.

Najzabawniejszy, a może najstraszniejszy w tym wszystkim jest początek tego boju ze słomkami. Prekursorem kampanii było miasto Seattle w Stanach Zjednoczonych. Pierwsze zakazało używania plastikowych słomek. Burmistrz podjął decyzję po tym, jak usłyszał w mediach, że Amerykanie dzień

w dzień wyrzucają 500 mln słomek do morza. Okazuje się, że oszacował to 10-letni uczeń z Seattle. W ramach projektu na zajęcia z ekologii zadzwonił do kilku producentów słomek i pytał, ile tego sprzedają. Zrobił zdjęcie w lokalnym porcie, gdzie spostrzegł pływające słomki z okolicznych barów, i oddał projekt na szóstkę. Dumna mama podesłała to do lokalnej telewizji, która zaprosiła chłopca do studia. Podchwyciły to dwie ogólnoamerykańskie stacje telewizyjne, kilka portali i dzieciak z dnia na dzień stał się klimatycznym celebrytą.

Ponieważ żadna organizacja środowiskowa nie podważyła „badań” 10-latka, inni poszli dalej. Australijski ośrodek badawczy na tej podstawie skalkulował, że na całym świecie tych słomek musi być 8,3 mld, z czego połowa wpada do morza. Australijczycy uważają, że to odpowiada jakimś 2 tys. ton plastiku w oceanach. Przyjmijmy, że szacunek chłopca z Seattle są prawdziwe. Na zdrowy rozsądek – we wszystkich morzach świata jest 1 300 000 000 000 000 000 m sześć. wody. Jeżeli wrzucimy tam 2 tys. ton rurek, to ktoś znajdzie choć jedną? Wypada jedna słomka na 650 000 000 m sześć. To jedna słomka w 173 tys. basenów olimpijskich.

To, że 10-latek tego nie policzył, mogą zrozumieć. Ale że żaden z liczących się ośrodków badań i think tanków ani nawet Komisja Europejska nie policzyły realnego zagrożenia słomkami?

Plastikowe odpady w oceanach z pewnością stanowią zagrożenie dla fauny i flory, zwłaszcza w pobliżu linii brzegowych, ale robienie ikony z rurki do picia i puszczanie dzieciom filmów z żółwiem przebitym rurką nie ma nic wspólnego z oceanami, tylko z historyczną propagandą. Problem w tym, że to właśnie te ikony przedostają się do świadomości i to one potem stoją za decyzjami politycznymi, które determinują nasze życie.

PAPIER I DIESEL

Cofnijmy się do roku 1994 i unijnej dyrektywy w sprawie ratowania lasów i ograniczania zużycia papieru. Wprowadzała ona ograniczenia w gospodarce leśnej, zapisy przeciwko marnotrawstwu papieru i zachęty do korzystania z plastiku. Za tym poszły hojne dopłaty do skupu makulatury i do produkcji materiałów zastępczych. Wtedy plastik

(ONZ-owskiego ciała koordynującego walkę o klimat) średnio temperatura ma teraz wzrosnąć o 2–4,5 st. C. Wciąż jednak nie wiemy, czy 5 bln dol. wystarczy. Wciąż zostajemy z pytaniem, czy nakłady finansowe i koszty społeczne są adekwatne do wiedzy, jaką mamy o skali problemu i zależności między emisją a temperaturą. Czy fundamentalne decyzje determinujące dalszy rozwój cywilizacji nie są podejmowane pod wpływem mody, emocji, politycznego oportunizmu ponadnarodowych instytucji i całej armii żyjących z tego naukowców? Czy w trosce o klimat nie zapomnieliśmy zatroszczyć się o ludzi, którzy wyrzeczeniami i jakością życia milionów rodzin płacą wysoką cenę za decyzje polityczne podejmowane na podstawie wciąż wysoko nieprecyzyjnych ustaleń naukowych?

SPRAWA SŁOMKI

Oprócz wojny o czyste powietrze świat staje dziś do nowej batalii – o czyste morza, popularnie nazywanej wojną

■ nazywał się materiałem ratującym lasy. To był raj dla grzebiących po śmietnikach. Niektórzy nie mieli cierpliwości, by czekać na zużyty papier, i kradli całe palety świeżych gazet wprost spod drukarni. Po co niszczyć drzewa, skoro można je zastąpić plastikiem?

Do głowy europlanistom nie przyszło, że kiedyś gazety mogą się skończyć, a brak nowych zamówień na torby, opakowania, papierowe talerze spowoduje, że zbankrutują fabryki papieru i nie będzie miał kto łożyć na utrzymanie i pielęgnację rozrastających się chronionych obszarów leśnych. Powstałych na dawnych ziemiach rolnych, do których Unia dopłaca, żeby ich – broń Boże – rolnicy nie uprawiali. Oczywiście z troski o naturalny styl życia chłopów.

Dzisiaj papier znowu ma być w modzie i gwiazdy w Hollywood obnoszą się z talerzami oraz rurkami z manioku, trzciny cukrowej czy kukurydzy. To oczywiście wpłynie na ceny tych upraw i wymusi zmianę struktury produkcji rolnej. Za kolejne 10–15 lat następne pokolenie ekologów uzna to za problem. I tak w koło Macieju.

Czekając na skutki maniokowej manii, możemy sobie przypomnieć inną nagłą nieprzemyślaną decyzję, która doprowadziła dziś do „katastrofy” samochodów na ropę. W grudniu 1997 r. Komisja Europejska wydała dyrektywę wskazującą na konieczność zastąpienia benzyny ropą. Decyzja oparta została na równie precyzyjnych badaniach co te prowadzone przez chłopca z Seattle. „Uczni” stwierdzili, że ponieważ pojazdy na ropę mniej spalają paliwa, na pewno też mniej wydzielają spalin. I bez żadnych dodatkowych badań postanowiono przestawić cały ruch na diesla.

Program zakładał obniżenie zanieczyszczenia wywołanego emisją spalin o 20 proc. I ropa miała temu zaradzić. Jak to w gospodarce nakazowej, szybko rozkręcono program promocji i zachęt finansowych. Hasło: „Go Diesel” pojawiło się w promocyjnych materiałach Unii. Sponsorowane reklamy nie pozostawiały żadnych wątpliwości – każde dziecko miało wiedzieć, że diesel jest tańszy, efektywniejszy i ratuje naszą Ziemię.

Za ideologią i subsydiami ruszyła machina korporacyjna. W samych Niemczech biznes dieslowy zatrudniał 800 tys. ludzi. W 2005 r. udział samochodów na ropę sięgnął 50 proc. wszystkich samochodów. Tak było

w Europie, bo w Stanach Zjednoczonych i Japonii, gdzie rządy wstrzemięźliwie podeszły do diesla, zapotrzebowanie nigdy nie przekroczyło 13 proc.

W 2012 r. pojawiły się pierwsze badania dowodzące, że „ropniaki” jednak trują. Kilka niemieckich miast osiągało parametry zanieczyszczenia porównywalne z tymi z chińskich ośrodków przemysłowych. W 2012 r. pojawiło się pierwsze opracowanie sugerujące, że w Europie nawet 5 tys. osób rocznie może umierać na skutek działania tlenu azotu ze spalania ropy. I tak z każdym rokiem liczba rzekomo zmarłych rosła – w 2015 r. straszono już 75 tys. Lobby samochodowe, wyrosłe na subsydiach, broniło się, proponując udoskonalone silniki i jednocześnie domagając się zakazywania jazdy starymi modelami, co dało kolejne miliony utraconej wartości starych modeli. Rządy dopła-

W 1997 r. Komisja Europejska wydała dyrektywę wskazującą na konieczność zastąpienia benzyny ropą. Miało to obniżyć emisję spalin

cały do wymiany urządzeń monitorujących spaliny. Dalej już państwo wiedziało, co się stało. Dieselgate – urządzenia do monitorowania fałszowały dane, think tanki były na alarm, że ludzie umierają, i z taką siłą, z jaką promowano „ropniaki”, teraz się je zwalcza.

Badania są tylko badaniami. Uczni mogą snuć dowolne teorie. Mogą się mylić i błędzić. Problemem jest ta dziwna symbioza polityki i nauki. Gdy uczeni budują napięcie i poczucie nadchodzącej zagłady klimatycznej, a politycy dostają do ręki potężny argument do zaostrzania regulacji i redystrybucji. Szczególnie aktywne w tym względzie są ponadnarodowe instytucje – ONZ, WHO, UE, Komisja Europejska, Climate Policy Initiative, organizacje potrzebujące kryzysu do racjonalizowania swojego bytu i poszerzania wpływów.

Nieprzebrane fundusze publiczne na potwierdzanie z góry przyjętej tezy zniekształcają proces badawczy. Ktoś, kto dziś szuka pieniędzy na badania, na publikację nowej książki czy zastanawia się, w jakim kierunku rozwijać karierę

akademicką, dwa razy pomyśli, zanim zacznie kwestionować teorię ocieplenia czy podważać konsensus klimatyczny. Nie twierdzę, że nie ma uczciwych badań nad klimatem, ale skoro istota procesu badawczego, czyli kwestionowanie, zadawanie pytań i testowanie ogólnie przyjętych prawd, jest napiętnowana, a wątpliwości uczni poddawani są środowiskowemu ostracyzmowi, to mamy do czynienia z fundamentalnym problemem nauki jako takiej.

Wokół teorii ocieplenia powstał ogromny, wielomilionowy biznes, z własnym establishmentem naukowym i własną agendą, nie tylko naukową. Według prof. Matthew Nisbeta z Harvardu z 556,7 mln dol. wydanych przez same tylko amerykańskie fundacje klimatyczne w latach 2011–2015 ani jeden dolar nie poszedł na badanie nowych technologii efektywniejszego wykorzystania energii. Pieniądże wydawano wyłącznie na mobilizowanie opinii publicznej, atakowanie branży paliw kopalnych i uczonych, którzy nie uznawali konsensusu klimatycznego.

No cóż – nikt nie zatrudnia strażaka, jeżeli nie ma zagrożenia pożarowego. Nikt nie przeznaczy miliardów dolarów na badania klimatyczne, jeżeli co roku nie będzie jakiegoś nowego sensacyjnego odkrycia zapowiadającego zbliżającą się katastrofę. Dlaczego nikt z dociekliwych dziennikarzy zebranych na szczycie klimatycznym w Katowicach nie dostrzegł tego, że wszystkie najdroższe hotele – zarówno w Katowicach, jak i w Krakowie – miały pełne obłożenie uczonymi klimatologami? Czy ktoś przeszedł się po najdroższych krakowskich restauracjach wieczorem w czasie szczytu? Szkoda. Były pełne. Wystawne wina, steki – wszystko, co tylko było najdroższe w karcie dań. Budżet nie stanowił problemu. Klimatolodzy pożerali i suto przepijali fundusze na ratowanie planety. Niech im idzie na zdrowie, tyle tylko, że za każdym razem, kiedy piszę coś o klimatycznej obłudzie, natychmiast na Twitterze czy Facebooku czytam o sobie, że jestem na utrzymaniu sektora paliwowego. Ciekawe, że pod żadnym z tych wpisów o ginących oceanach i nadchodzącym inferno nikt nigdy nie zadał pytania: Czy nie wstyd im cynicznie wysługiwać się instytucjom żerującym na państwowych grantach i szerzącym propagandę strachu?

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!
SENSACYJNE RELACJE
POLSKICH SPADOCHRONIARZY

Wojciech Markert – **Jak Anglicy zrzucili winę za klęskę na Polaków**

Mikołaj Iwanow – **Ochrona i zamach w Sarajewie**

Ilan Pappé – **Jak Izrael wypędził Arabów**

Sławomir Koper – **Kochanek cesarza Hadriana**

Jochen Böhrer – **1920: nowe spojrzenie**

Marcin Bartnicki – **Szokujące wyznania sekretarki Goebbelsa**

Laurence Rees – **Dlaczego Amerykanie nie zbombardowali Auschwitz**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

STEFAN SĘKOWSKI: Wydaje się, że na początku roku ma pan ok. 50 powodów do radości, ze względu na wchodzący w życie pakiet dla małych i średnich przedsiębiorstw oraz mały ZUS.

CEZARY KAŻMIERCZAK: Nie do końca. Mały ZUS został wprowadzony w formie, której nie do końca chcieliśmy. Ten pomysł został wypracowany w naszym środowisku, żeby ulżyć małym przedsiębiorcom poprzez wyjęcie ich z naszego strasznego, regresywnego systemu podatkowego. To na pewno krok w dobrym kierunku, ale na koniec bez żadnej akcji informacyjnej dało się ludziom czas do 8 stycznia, by się zarejestrowali jako płatnicy małego ZUS. Najpierw ogłasza się, że chce się ulżyć przedsiębiorcom, a potem wdraża się rozwiązanie, z którego mało kto może skorzystać. W ten sposób nie zrealizuje się żadnego z celów: ani nie ulży się małym przedsiębiorcom, ani nie wyciągnie nikogo z szarej strefy.

Jednak w przypadku pakietu MŚP jest się z czego cieszyć?

Zmiany, które zostały przeprowadzone, to w olbrzymiej większości są dobre rozwiązania, zarówno pakiet MŚP, jak i wcześniejsze „100 zmian dla firm”. Przykładowo – jeśli ktoś kupi maszynę do 100 tys. zł może ją jednorazowo wpisać w koszty uzyskania przychodu, a nie rozpiływać na trzy lata czy pięć, co ma znaczenie dla realnej gospodarki. Konstytucję Biznesu też oceniamy pozytywnie, choć zobaczymy, jak się do niej będą odnosiły sądy administracyjne. Także różne uproszczenia zawarte w pakiecie MŚP – jak choćby ograniczenie szkoleń BHP dla pracowników administracyjno-biurowych czy skrócenie obowiązku przechowywania akt pracowniczych do 10 lat – to są bardzo dobre rozwiązania. Zaczyna się wreszcie to, co postulujemy od dawna, czyli inne prawo dla małych i wielkich firm. Jednak czasem nie wiadomo, jak te rozwiązania będą wyglądały w praktyce. Choćby obowiązująca już ulga na start – rząd nie chce się jednoznacznie odnieść do poważnych wątpliwości prawnych. Albo działalność nierejestrowana: powstał kuriozalny, 13-stronicowy dokument, jak ją prowadzić. Wśród negatywów wskazuję choćby likwidację podatku liniowego i wprowadzenie drugiego progu podatkowego pod flagą daniny solidarnościowej. Sama ta regulacja jest dla biznesu niegroźna. Ucierpią na niej głównie organizacje charytatywne, bo ci, którzy dawali na te organizacje, powiedzą: „Już dałem te 4 proc., więc proszę mi dać spokój”. Są



Z Cezarym Kaźmierczakiem, prezesem Związku Przedsiębiorców i Pracodawców rozmawia Stefan Sękowski



Przedsiębiorcy czekają na przełom

konsekwencje długofalowe, bo zaraz się okaże, że się ktoś uchyla – to ustalimy próg na 500 tys. zł i nie 4 proc., a 8 proc. podatku. To może być równia pochyła.

Z drugiej strony CIT jest dla małych przedsiębiorstw obniżany do 9 proc.

W Polsce nie prowadzi się działalności gospodarczej w formie spółek, tylko jednoosobowej działalności gospodarczej. Tą zmianę co do zasady oceniam pozytywnie, ale w tej chwili takich spółek, które mogą z tego skorzystać, jest ok. 200 tys., natomiast działalność jednoosobową prowadzi ok. 2 mln osób. Z zasady taka działalność powinna służyć utrzymaniu się, a nie dążeniu do zysków kapitałowych, jednak jest tak atrakcyjna, bo ma tak mało wymogów formalnych, że przyciąga tych, którzy nie chcą wpaść w reżim spółek, który jest dostosowany do realiów funkcjonowania Huty Katowice. Mała działalność się w tej formie nie opłaca.

Ta obniżka zachęca do tego, by ludzie jednak prowadzili biznes w formie spółek?

Moim zdaniem to nie wystarczy, bo ważniejsze są jednak obciążenia biurowe-

tyczne. Gdyby to ode mnie zależało, wprowadziłbym do kodeksu spółek handlowych rozwiązania amerykańskie. W USA są dwa rodzaje spółek – S (mała) i C. Te małe działają na o wiele prostszych zasadach. Gdyby wprowadzić w Polsce taki model, mogłoby to spowodować istotną zmianę. Jednoosobową działalność gospodarczą powinni prowadzić ludzie, którzy działają na rzecz własnego utrzymania – np. samozatrudniony „złota rączka”, krawcowa, ogrodnik czy hydraulik.

Przełomu nie ma, przedsiębiorcy wciąż na niego czekają.

Jak miałby wyglądać?

My nie opowiadamy się za kosmetycznymi zmianami, tylko za całkowitym wywróceniem polskiego systemu podatkowego do góry nogami. On jest w tej chwili oparty na gnębieniu najbiedniejszych i najsłabszych. Bez względu na to, kto rządzi. Mamy regresywny system, w którym najmniejsi przedsiębiorcy płacą – wraz z ZUS – 70–80 proc. przychodu, a jednocześnie ludzie, którzy zarabiają milion złotych, płacą 2 proc., bo tyle trzeba zapłacić kancelarii doradztwa podatkowego, żeby nie

zapłacić nic. My chcemy zmienić strumienie podatkowe. Trzeba radykalnie obniżyć pozapłacowe koszty płacy, a opodatkować zyski kapitałowe czy wielkie koncerny. W naszym projekcie pozapłacowe koszty pracy obniżamy je o połowę. Podatek pobierany jest u źródła jako podatek od funduszu płac. Te ubytki można uzupełnić z podatku od przychodów, którym można by zastąpić CIT, bo w Polsce CIT płaci ten, kto chce. Obecnie byłby możliwy na poziomie 1,5 proc., co by mogło zasypać ubytki z obniżenia kosztów pracy. Do tego doszedłby podatek od usług publicznych i ryczałt ewidencjonowany, a także jednolity VAT – obecnie stawka neutralna dla budżetu wynosiłaby 16,25 proc. Przeciętne gospodarstwo domowe traciłoby na tym ok. 200 zł miesięcznie.

To dużo.

Jednak na pozapłacowych kosztach pracy ludzie zyskaliby wielokrotnie więcej.

Na razie rząd proponuje jednak tylko zmianę matrycy podatkowej, co przekłada się na zmianę stawek VAT od różnych produktów.

I my to oceniamy pozytywnie, ale ja bym zrobił krok dalej.

Jak ocenia pan wpływ uszczelniania podatków na przedsiębiorców? Tych uczciwych, bo losiem nieuczciwych nie musimy się przejmować.

Proszę nie mówić o uczciwych i nieuczciwych przedsiębiorcach, bo tu mamy do czynienia z przedsiębiorcami i przestępcami. W przestrzeni publicznej obecna jest przede wszystkim luka VAT. Jej nie zlikwidujemy, bo w jej skład wchodzi choćby takie sytuacje, w której ja mówię sąsiadowi, że muszę pomalować płot i coś mnie boli, więc proszę go, by zrobił to za mnie, a ja mu dam 100 zł. A walka z karuzelami jest poza zasięgiem naszego rządu, bo to jest sprawa wspólnotowa. Jednak i tu rząd robi swoje. Przedsiębiorcom trudno działać w branży, w którą weszli przestępcy. Przetrzebienie tego towarzystwa bardzo pomogło przedsiębiorcom, zwłaszcza jeśli chodzi o branżę paliwową. To może zaobserwować nawet przeciętny człowiek: u mnie na wsi na Podlasiu trudno już np. zauważyć łotewską cysternę wyjeżdżającą z lasu. Jak jechałem z Litwy z Mariampolą, to przez ostatnie 20 km była co kilometr stacja po jednej i po drugiej stronie – to były takie przepompownie. Rząd powinien wprowadzić jednolitą stawkę VAT i rozpocząć na poziomie UE dyskusję o VAT, który

nie może działać w 28 jurysdykcjach podatkowych z zerową stawką, przy niekontrolowanym przepływie towarów i braku granic.

To jest cena wsparcia handlu wewnątrzwspólnotowego.

Jednak gdyby krajom członkowskim pozwolić wprowadzać niezwracany podatek od sprzedaży, zamiast VAT, to by nie było problemów. W tej chwili może pan sprzedać coś w Łomiankach i pójść do urzędu w Warszawie, by panu oddali 23 proc. Ten problem trzeba podnosić, bo podatnik europejski jest okradany przez przestępców z całego świata.

Czy środki stosowane przez rząd w celu uszczelnienia systemu podatkowego mają skutki uboczne dla działalności gospodarczej? Split payment, odwrócony VAT, jednolity plik kontrolny – one mogą być uciążliwe dla przedsiębiorców.

Jednolity plik kontrolny nam bardzo pomógł. Są przedsiębiorcy, którzy się zorientowali, że faktury wystawiają im kontrahenci niebędący płatnikami VAT. Jest to może jakaś uciążliwość, ale JPK oceniam pozytywnie. Odwrócony VAT to działalność propagandowa, bo jeśli się w jakiejś branży wprowadza odwrócony VAT i rząd ogłasza, że odzyskano 100 mln, to przestępcy wychodzą z tego sektora i wchodzi w inny. Oczywiście dla przedsiębiorców działających w sektorze, w którym jest odwrócony VAT, to dobrze, ale jest to oczywiście problem dla przedsiębiorców tej drugiej branży, bo muszą konkurować z kimś, kto sprzedaje o 20 proc. taniej. Podzieloną płatność trudno jeszcze ocenić. To nie jest problem organizacyjny, ale ona może mieć fatalny wpływ na płynność finansową polskich przedsiębiorstw. Uderza w największą słabość polskiego biznesu, czyli rynki kapitałowe. Jednak to są jeszcze niepotwierdzone obawy. Split payment ocenimy po roku.

Z pana wypowiedzi można wywnioskować, że co prawda zmiany systemowej nie ma, ale idzie ku dobru.

Ku dobru to idzie w Polsce od 1989 r. Zaryzykowałbym tezę, że administracja skarbową czy zajmującą się biznesem w samorządach w miastach powyżej 500 tys. ludzi jest już na normalnym poziomie. Nie wiem, czy w ubiegłym roku mieliśmy jakieś sygnały dotyczące dzikich działań urzędników w dużych miastach. Gorzej jest jeszcze w powiatach, gdzie przetrwało jeszcze dużo mentalności posowieckiej.

Narzekanie na podejście polityków do przedsiębiorców nie jest do końca zasadne?

80 proc. albo i więcej problemów przedsiębiorcy ma z rynkiem, nie z politykami. W Polsce główne problemy przedsiębiorców, gdyby je spróbować określić – to jest strasznie nudne, bo zawsze wychodzi z badań to samo – to ryzyko regulacyjne, niestabilne prawo i jego nadmiar. Tutaj przedsiębiorcy narzekają w sposób uzasadniony. Jednak stykałem się często z tym, że przedsiębiorcy narzekają na kwestie, które miały wejść, a nie weszły. To wynik fatalnej polityki informacyjnej rządu, który prowadzi rozpoznawanie bojem. Zamiast wyjść z przemyślaną i skonsultowaną propozycją, wyskakuje z jakimś niedorzecznym pomysłem jak Filip z konopi, potem go broni, by następnie wycofać się pod presją opinii publicznej i zrozumienia głupoty rozwiązania. Jednak w opinii publicznej zostaje świadomość, jakby dane rozwiązanie zostało wprowadzone. PiS jest mniej groźny, niż by na to wskazywał jego wizerunek.

Jednak w rankingu „Doing Business” spadliśmy za rządów PiS z 24. miejsca na 33.

Ja nie przypisuję dużej wagi tym rankingom. My jesteśmy polskim partnerem Heritage Foundation przy tworzeniu Indeksu Wolności Gospodarczej – tu Polska troszeczkę spadła, ale nieznacznie. Za kilka tygodni będzie premiera kolejnego wydania tego indeksu – i zobaczmy, jak Polska w nim wypadnie. Tutaj na pewno problematyczne są kolejne pomysły Ministerstwa Sprawiedliwości.

To były więc dobre trzy lata, jeśli chodzi o politykę wobec biznesu?

W porównaniu z czym? (śmiech)

„Poprzednich ośmiu lat” – parafrazując premier Beatę Szydło.

W skali od 1 do 5 dałbym 3+ albo 4-. Pozytywne jest to, że oni chcą coś zrobić i się starają, nawet gdy im nie wychodzi. Wcześniej wyglądało to tak, że historia się skończyła i wszystko wiemy najlepiej. Gdyby obecnie rządzący bardziej słuchali ludzi, byłoby lepiej. Tamci nie słuchali w ogóle.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Cezary Kaźmierczak

– prezes Związku Przedsiębiorców i Pracodawców, członek zarządu Warsaw Enterprise Institute.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Czy rząd pomaga przedsiębiorcom

Nie wiem, jak wysoki odsetek zadowolonych z działań rządu przedsiębiorców uprawniałby do stwierdzenia, że rząd ów czyni odpowiednio dużo dla poprawienia klimatu dla przedsiębiorczości – a ten przecież zazwyczaj opłaca się nie tylko pracodawcom, lecz także pracownikom.

Na pewno jednak trudno to powiedzieć o ekipie, za której rządów aż 50 proc. przedsiębiorców sądzi, że warunki prowadzenia firmy pogorszyły się w porównaniu z latami poprzednimi, 40 proc. uważa, że się nie zmieniły, a tylko 10 proc. jest zdania, że uległy poprawie. A tak właśnie jest z rządem PiS w opinii polskich przedsiębiorców, przebadanych przez firmę Smartscope w listopadzie 2018 r.

Rzecz jasna, można na różne sposoby podważać jakość tego badania (przeprowadzono je na reprezentatywnej grupie 300 małych, średnich i dużych przedsiębiorców, zatrudniających przynajmniej 10 pracowników, metodą CATI). I można na swą obronę wskazywać setki działań podjętych z intencją wspierania przedsiębiorczości. Można przekonywać, że takim krokiem jest wprowadzenie obowiązku przysyłania jednolitych plików kontrolnych; że jest nim obniżenie wysokości kosztów użytkowania pojazdu, które można wliczyć w wydatki firmy, że 100 do 75 proc.; że jest nim znaczne skrócenie okresu konieczności przechowywania dokumentacji pracowniczej; że jest nim wprowadzenie obowiązku płacenia daniny

solidarnościowej, czyli – w istocie – dorzucenie dodatkowego progu podatkowego; że jest nim obniżenie CIT dla małych firm z 19 do 15, a teraz 9 proc., a niedawno – także składki na ZUS dla firm osiągających do 5,2 tys. zł przychodu w miesiącu, itd.

Lista tych działań jest długa i trudno, szczególnie niektórym z nich, odmówić prawa do nazwania ich przyjętymi dla dobra firm. Cóż z tego jednak, skoro aż 90 proc. przebadanych przedsiębiorców uważa, że w 2018 r., świetnym dla Polski ze względu na tempo rozwoju gospodarczego, warunki prowadzenia przez nich firm w najlepszym razie się nie zmieniły, a większość spośród owych 90 proc. – że się pogorszyły.

Z takim wynikiem sondażu można postąpić na dwa sposoby. Można go odrzucić i dalej zaklinać rzeczywistość, twierdząc, że jest inaczej, ba – odwrotnie, czyli świetnie, a tylko przedsiębiorcy nie potrafią lub nie chcą tego zauważyć. Wszelako można też zareagować zgoła odmiennie – wyniki badania wziąć sobie do serca i spróbować wyciągnąć z nich wnioski. Tym bardziej że być może nie bez związku z tymi wynikami jest utrzymująca się ostatnio na zaskakująco niskim poziomie skłonność polskich przedsiębiorców do inwestowania, co przecież – szczególnie zważywszy na towarzyszącą nam doskonałą koniunkturę – może oznaczać tylko jedno: niedostatek wśród nich przekonania, że dziś w Polsce warto być przedsiębiorcą. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Mówią dane

Na łamach mediów można spotkać opinie, które w uproszczeniu wyglądają następująco: wybrane w 2015 r. władze prowadzą politykę marginalizującą rolę Polski w Europie i na świecie, niszczą instytucje państwa prawa, co radykalnie pogarsza atrakcyjność naszego kraju jako miejsca inwestycji i wiarygodnego partnera handlowego. Co ciekawe, takie opinie wygłaszane są zarówno przez polityków opozycji, co nie dziwi, jak i przez ekonomistów. O ile to pierwsze można skwitować wrzuceniem ramion, o tyle opinie często cytowanych profesorów ekonomii zasługują na weryfikację.

Spójrzmy zatem, czy twarde dane publikowane przez Bank Światowy to potwierdzają. Przeanalizujmy relację wolumenu handlu zagranicznego do PKB, co jest miarą otwartości gospodarki i jej zdolności do korzystania z procesów globalizacji. W 2007 r., gdy PO doszła do władzy, ta relacja wynosiła 81 proc., a w 2015 r. wzrosła do 96 proc. Zatem w ciągu ośmiu lat rządów PO ten wskaźnik wzrósł o 15 punktów procentowych, średnio o niecałe 2 punkty procentowe rocznie. W 2017 r. wartość tego wskaźnika wynosiła 103 proc., zatem za czasów PiS, w ciągu dwóch lat (i trochę), międzynarodowa konkurencyjność i otwartość gospodarki wzrosła o 7 punktów procentowych. To dwukrotnie szybciej niż za czasów PO.

Oczywiście można te wyliczenia poddać krytyce, że PiS trafił na sprzyjający okres, gdy wszystkie kraje prosperują, a przecież PO musiała rządzić w trudnych czasach globalnej recesji 2009 r. Jak w tym czasie radziły sobie kraje Europy Środkowo-Wschodniej, łącznie z Polską? Dla tej grupy krajów relacja handlu zagranicznego do PKB w 2007 r. wynosiła 95 proc., w 2015 r. – 111 proc., a w 2017 r. – 114 proc. Zatem wzrost wskaźnika w Polsce w okresie rządów PO był o 1 punkt procentowy niższy niż w regionie, a w okresie rządów PiS jest aż o 4 punkty procentowe wyższy. W porównaniu z naszymi sąsiadami obecnie korzystamy znacznie bardziej z globalizacji niż za czasów PO.

Ajak wyglądają dane o zagranicznych inwestycjach bezpośrednich (BIZ)? Niestety, tych danych nie można łatwo porównać, bo są zaburzone przez działania rządu PiS na rzecz odkupu polskich firm z rąk inwestorów zagranicznych. Jednak możemy porównać średnioroczny wskaźnik reinwestycji zysków inwestorów zagranicznych za czasów PO i PiS. W obliczeniach z lat rządów PO pominiemy okres kryzysu 2008–2009, gdy reinwestowane zyski były bardzo niskie z powodu globalnej recesji. Za czasów PO ten wskaźnik wynosił 3,9 proc., a za czasów PiS – 4,7 proc. Komentarz jest zbyteczny. Dane mówią same za siebie. ©©

Autor pełni funkcję chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

TEST „DO RZECZY”: SZCZOTECZKA PANASONIC EW-DL75

Szczoteczki soniczne są uznawane za najbardziej nowoczesne i najskuteczniejsze. W ciągu zalecanych przez dentystów dwóch minut szczotkowania wykonują bowiem ponad 50 tys. ruchów (niektóre ponad 100 tys.). To więcej, niż statystyczny Kowalski wykonuje tradycyjną szczoteczką przez cały miesiąc. Tego typu urządzenia zalecane są również osobom o wrażliwych zębach i/lub dziąsłach. Wytwarzając fale dźwiękowe, wprawiają one bowiem w ruch cząsteczki śliny zmieszanej z pastą, produkując w ten sposób mikrobąbelki, które usuwają bakterie oraz płytkę nazębną również z tych miejsc, do których nie mogą dotrzeć włókna tradycyjnej szczoteczki.

Do testów wzięliśmy najnowszą szczoteczkę firmy Panasonic. Design tego modelu jest prosty. Kompaktowa stalowoszara szczoteczka wygląda schludnie i nowocześnie, ale niczym szczególnym nie zachwyca. Ładowarka zajmuje na umywalce niewiele miejsca.

Szczoteczka wykonuje na minutę ok. 31 tys. ruchów wymiatająco-pulsacyjnych, co ułatwia likwidację kamienia nazębnego, a także usuwa

zabrudzenia oraz przebarwienia, nie uszkadzając szkliwa ani dziąseł. Aby zwiększyć skuteczność mycia zębów, w zestawie znajdują się dwie szczoteczki. Pierwsza (multi-fit) przeznaczona jest do czyszczenia powierzchni gryzących zębów, a druga (z wyjątkowo drobnym włosiem) do czyszczenia kieszonek przyzębnych.

Kolejny plus to automatyczna kontrola mocy, która zależy od nacisku. Jeśli zbyt mocno przyciśniemy szczoteczkę, to amplituda drgań jest natychmiast zmniejszana, co ogranicza ryzyko podrażnienia dziąseł oraz zębów. W modelu tym zainstalowano też powszechnie używany w szczoteczkach sonicznych lub elektrycznych czasomierz: co 30 s szczotkowanie jest na krótką chwilę wstrzymywane. Dzięki temu każdą z czterech stref w jamie ustnej możemy myć przepisowe pół minuty.

Minusy tego modelu? Brak podróży etui, które znacząco ułatwiłoby



hygieniczny transport urządzenia wraz z dwoma szczoteczkami. Poza tym Panasonic oferuje tylko dwa tryby pracy: zwykły oraz delikatny. Tymczasem modele niektórych konkurentów mają również takie programy, jak masaż, polerowanie, wybielanie czy też tryb adaptacyjny (dla osób, które zaczynają używać szczoteczki sonicznej i początkowo skarżą się na krwawienie dziąseł). Wybierając swój model, trzeba jednak pamiętać, że różnice między niektórymi programami zauważyć mogą jedynie pracownicy działów marketingu i reklamy.

Japoński producent chwali się, że EW-DL75 ma wbudowaną funkcję łagodnego startu (aby wibracje początkowo nie były zbyt silne). Poza tym dzięki szczoteczce o końcówkach włosia mających zaledwie 0,02 mm średnicy ten model Panasonic jest idealny do czyszczenia nie tylko zębów, lecz także kieszonek przyzębnych, co pozwala usuwać bakterie wywołujące choroby przyzębia.

Cena: ok. 480 zł. ©

Jacek Przybylski

INTELIGENTNY OCZYSZCZACZ

Czas włączonych kaloryferów, nieszczelnych okien, przeciągów, przegrzanych lub zbyt zimnych pokoi, kaszlu... i tak mniej więcej do końca marca. W naszych warunkach możemy jedynie złagodzić ryzyko złapania typowego zimowego zaziębienia dzięki urządzeniom, które pozwolą zachować czyste, odpowiednio nawilżone powietrze w pomieszczeniu. Jednym z nich jest Wynd Halo + Home Purifier – czyli inteligentny monitor i zarazem oczyszczacz powietrza.

Wynd Halo posiada 10 czujników do monitorowania alergenów, dymu, zarasków, zanieczyszczeń i innych temu podobnych paskudztw. Innowacyjna technologia klasyfikuje rzeczywiste zanieczyszczenia w powietrzu i uruchamia automatycznie Wynd Purifier, a ściślej: termostat, nawilżacz, a także zamontowany w nim zestaw mikrofiltrów mających neutralizować alergeny. Pleśń, chemikalia, zapachy i wiele innych zanieczyszczeń, w tym wiele ze znanych zarasków.



Jednym słowem: tlenowy Wynd of czejndz – jak śpiewają Scorpions. Cena zestawu jest droższa niż bilety na koncert tej kapeli – za najprostszy wariant trzeba zapłacić nieco powyżej tysiąca złotych. Zamawiać można na Kickstarterze, a dostawa w maju.



DOMOWA FARMA

Jakoś tak przed pięćdziesiątką, czyli całkiem niedawno, po wielu latach starań całej rodziny w końcu polubiłem pomidory. I gdy tylko je polubiłem, usłyszałem, że teraz to nie mają żadnej wartości. Mają, nie mają, nieważne. Ważne, że możecie teraz hodować je w kuchni. A także brukselkę, marchewkę i inne takie mięsne produkty. A to dzięki gadżetowi o nazwie aspara, czyli inteligentnemu, hydroponicznemu plantatorowi, który pomaga w uprawie świeżych i zdrowych warzyw oraz ziół bezpośrednio na blacie kuchennym.

Najkrócej mówiąc – jest to inteligentna, elektroniczna skrzynka, w której można hodować warzywa i zioła bez konieczności sadzenia ich w glebie, za to przy użyciu roztworów składników mineralnych w rozpuszczalniku wodnym. Brzmi skomplikowanie? Spokojnie. Inteligentne, wbudowane czujniki aspara™ monitorują, wykrywają, raportują i rejestrują warunki wzrostu, temperaturę powietrza, wilgotność, temperaturę wody i ogólną zawartość wody w systemie. Czujniki dostosują oświetlenie, przepływ wody i tryby sadzenia w zależności od potrzeb rośliny.

Brzmi nieźle. Cena urządzenia już nie – trzeba za nie zapłacić ok. 1,2 tys. zł. Dostawa w kwietniu. ©

Wojciech Wybranowski



Tomasz Cukiernik
z Grenlandii

Niezamieszкана i rzadko odwiedzana wschodnia część Grenlandii jest miejscem, które warto zobaczyć

Rejs na Grenlandię odbyłem polskim 60-tonowym jachtem oceanicznym „Ocean-A”. Zbudowany w latach 80. w Stoczni Szczecińskiej Gryfia 23-metrowy jacht żaglowy miał niełatwą historię. Nie został wtedy ukończony. Dopiero w 2013 r. kpt. Andrzej Górąjek wraz z dwoma współnikami postanowił dokończyć budowę jachtu. W pierwszy rejs wypłynął półtora roku później.

– Grenlandia i ta część świata to takie moje marzenie. Dużo czytałem na ten temat, a nigdy nie było okazji, by tu przyjechać – mówi kpt. Górąjek. – Narodził się taki pomysł z jachtem, ale to droga rzecz, która musi zarabiać na siebie. Dlatego nie było innego wyjścia, niż zaproponować odpłatny udział innym osobom. Ten kierunek dla jachtów żaglowych relatywnie niedawno się dopiero otworzył, bo jeszcze 30 lat temu z racji słabości nautycznej były to naprawdę ekstremalne wyprawy. Teraz mamy GPS, kompas satelitarne, w miarę dobre prognozy pogody czy bieżące mapy zalodzenia – opowiada żeglarz, mając za sobą ciekawy wyczyn. 28 sierpnia ubiegłego roku kpt. Górąjek wraz z 15-osobową załogą na pokładzie dotarł do 79°40' N, czyli 35 mil morskich bardziej na północ niż inny polski jacht – „Solanus” – który dokonał tego w 2003 r. – Rejs „Solanusa” to jedyny przypadek, pływania jachtem żaglowym tak daleko na północ wzdłuż wybrzeża Grenlandii Wschodniej, który znam – mówi Górąjek. – Pływanie w odległości 150 mil od wybrzeża wyspy wiąże się z ryzykiem pływania wśród paku lodowego, który co roku zachowuje się inaczej. Szukając bezpiecznego przejścia dla jachtu, płynie się w różnej odległości od wybrzeża, czasami może to być bliżej, a innym razem dalej, i zależy to od bieżącego zalodzenia – tłumaczy kapitan.

OD AKUREYRI

Moja przygoda z Grenlandią rozpoczęła się w miejscowości Akureyri

w północnej Islandii. Atrakcje zaczynają się już w fiordzie – dwie godziny po wypłynięciu z portu uczestnicy rejsu mogli podziwiać wieloryby. Kilka godzin później przekracza się koło podbiegunowe północne. Kolejna atrakcja rejsu to bardzo duża szansa zobaczenia zorzy polarnej. Widziałem ją niemal każdej nocy spędzonej na Morzu Grenlandzkim. Mieniła się głównie kolorem zielonym, a co ciekawe – znacznie lepiej wyglądała na zrobionych zdjęciach niż w rzeczywistości.

tęgo, jak jest potem na morzu – mówi Marek Kulas, przedsiębiorca i żeglarz, uczestnik rejsu na Grenlandię, który do tej pory pływał głównie po ciepłych wodach Morza Śródziemnego i Karaibów. – Kiedy prognoza mówiła, że będzie wiało 30 węzłów, w porywach do 35 węzłów, w rzeczywistości porywy przekraczały 60 węzłów, czyli warunki były mocno sztormowe. Na Morzu Śródziemnym szkwiał jest przez 15 minut i przechodzi, a tutaj taka pogoda potrafi trwać cały dzień.



Jednak rejs jachtem żaglowym na Grenlandię to nie wycieczka turystyczna. To przede wszystkim morska przygoda. Trudno przewidywalne i bardzo zmienne warunki pogodowe na północnym Atlantyku dla wielu śmiazków mogą zakończyć się chorobą morską. Dodatkowo zalodzenie, nawet w najbardziej pod tym względem optymalnym okresie, czyli od lipca do początku października, może być tak duże, że czasem utrudnia lub nawet uniemożliwia wpłynięcie do grenlandzkich fiordów. 500-kilometrową odległość dzielącą północną Islandię od wschodniej Grenlandii przy dobrych warunkach pogodowych jacht pokonuje w ciągu ok. 50–60 godzin. – Na północnym Atlantyku jest zupełnie inna, nieprzewidywalna fala, a prognozy pogody mają się nijak do

– Większym zagrożeniem jest płynięcie w stronę Grenlandii niż z powrotem, bo w przypadku choroby morskiej nie ma tam możliwości oczekiwania pomocy medycznej. Objawy odwodnienia pojawiają się najszybciej pod koniec drugiego dnia – mówi kpt. Górąjek. – Ryzyko dla jachtu też występuje, największym zagrożeniem są wiatry katabatyczne, czyli wiatry spadowe z lodowca, wiejące z prędkością do 300 km/godz., które mogą być zaskoczeniem, choć na Grenlandii zdarzają się raz na kilka lat – tłumaczy.

Tych, którzy pokonają te wszystkie niedogodności i trudności, czeka nagroda – niezwykle krajobrazy, przyroda odmienna od znanej z innych rejonów świata i spotkanie ze społecznością Inuitów. Wschodnia Grenlandia to nie tylko pokryte lodem olbrzymie obszary,

które są nieskazitelnie czyste (przejrzystość powietrza sięga 200 km!), nie do końca zbadane (np. brakuje map pokazujących dokładną linię brzegową; błąd wynosi 5 km), niemal niezamieszkałe i w przeciwieństwie np. do Svalbardu wolne od turystyki.

W nocnym rejsie udało nam się szczęśliwie ominąć kilka ledwie widocznych w świetle księżyca lodowych gór. Poranek w fiordzie Scoresby powitał nas piękną słoneczną pogodą, co latem zapewnia stały wyż grenlandzki. Na

Dość przyjaźnie nastawieni do przyjezdnych mieszkańcy po osadzie poruszają się... quadami. Brakuje tylko portu, więc statki muszą stać na kotwiczowisku. Tylko niedźwiedzie polarne przeszkadzają Inuitom w ich sielskim – wydawałoby się – życiu. Często podchodzą do osady i choć nie szukają kontaktu z ludźmi, to zaskoczone potrafią zaatakować i zabić. Dlatego w takiej sytuacji nie ma wyjścia – jedynym rozwiązaniem jest szybkie sięgnięcie po strzelbę. A strzelbę można tu bez problemu kupić za 2299 DKK

ły na dobrze zachowane. Jakiś czas temu ludzie przenieśli się stamtąd do Iltoqqortoormiit. Można było wyjść na brzeg, ale związane są z tym dwa problemy. Po pierwsze, niebezpieczeństwo spotkania niedźwiedzia polarnego, którego mogą nie wystraszyć race. Po drugie to, że do tej pory nie istnieją mapy informujące o głębokości fiordu, co w skrajnym przypadku może unieruchomić statek na mieliźnie. Ostatecznie podziwialiśmy opuszczoną osadę na tle ośnieżonych gór.

Atrakcją może być też wspinanie się na lodowce spływające z południowego wybrzeża fiordu Scoresby. Z kolei na zachodnim krańcu długiego na 350 km fiordu są dwa lodowce – F. Graae i Daugaard-Jensen, które sięgają głębi 1300 m. Tam powstają te największe góry lodowe. Oderwanie się lodu o gabarytach 100 na 300 m potrafi wywołać kilkunastometrową falę, która przetacza się przez cały fiord. Następnie przez 12 lat góry lodowe „żyją” w fiordzie, by po wypłynięciu na pełny ocean stopić się w ciągu jednego sezonu.

Innymi atrakcjami fiordu Scoresby jest wyspa Roede z czerwonymi skałami czy mały, wewnętrzny fiord Foen, na którego końcu w zatoce Ankervig znajduje się letnia osada Inuitów. Z kolei na wyspie Danmark zobaczymy pozostawioną przez naukowców chatę, którą odwiedzają nie więcej niż dwie wyprawy rocznie. – Warto popłynąć w takie miejsca, które są niedostępne dla większości ludzi, gdzie można zobaczyć coś z przeszłości czy popatrzeć, jak ludzie żyją w takim oderwaniu od cywilizacji, od tego wszystkiego, co nas otacza. Dla mnie takie dzikie, niezdołane miejsca są bardzo atrakcyjne – mówi kpt. Górąjek. – Często pływamy po takich niezamieszanych terenach, gdzie człowiek zdaje sobie sprawę z tego, że nikt tu wcześniej nie był albo niewielu było, ale odwiedzenie osady Inuitów, z którymi można porozmawiać, zorientować się, jak u nich wygląda współczesne życie, też może być ciekawe – dodaje. A jacht żaglowy ma sporą przewagę nad statkami pasażerskimi. – Są takie miejsca, gdzie te duże statki pasażerskie się nie zapuszczają. Jacht ma inną mobilność, inne możliwości, inne zanurzenie. Można też skalkulować nieco większe ryzyko i dopłynąć w miejsca bardziej niedostępne – wyjaśnia żeglarz, który tylko w tym roku sześć miesięcy spędził w Arktyce.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



spokojnych wodach fiordu pływa się jak na Mazurach, z tą różnicą, że od razu pojawiły się kolejne góry lodowe, które już w świetle dnia mogliśmy oglądać z bezpiecznej odległości.

SPACER ZE STRZELBĄ

Wschodnia Grenlandia to 20 tys. km wybrzeża, które zamieszkuje zaledwie 400 osób. Inuici z Iltoqqortoormiit to odłam społeczeństwa z miasteczka Tasiilaq, którzy nie mieszkają w igloo, ale w zwykłych domach przypominających budownictwo skandynawskie. Mają tu wszystko, czego potrzeba do życia w cywilizacji: prąd, dostęp do ciepłej wody, ogrzewanie, zasięg telefonii komórkowej, Internet, telewizję satelitarną, market, policjanta ze swoim aresztem i lądowisko dla helikopterów.

(ok. 1 tys. zł). Niczym niezwykłym nie są tu spacer z taką bronią. – Idealne miejsce na medytację i przemyślenia. Pogoda i niska temperatura nawet mi odpowiadają. Wytrzymałabym też bez kina i teatru. Jednak nie wyobrażam sobie życia bez świeżych owoców ani warzyw – mówi jedna z uczestniczek mojej wyprawy. Rzeczywiście w tym rejonie świata poza mchami rośnie niewiele, a statek z zaopatrzeniem pojawia się zaledwie trzy razy w roku, kiedy odpuszczają lody.

W fiordzie Scoresby jest jeszcze kilka opuszczonych osad: całorocznych i takich, które latem są wykorzystywane na polowania na wołu piżmowego. Płynęliśmy przy brzegu wioski Igterajivit, którą z jachtu było widać jak na dłoni. Poszczególne budynki z daleka wyglądają

KATARZYNA PINKOSZ: Gdy usłyszała ksiądz diagnozę – chłoniak (nowotwór krwi) – nie było takiej myśli, że to już jest za dużo jak na jedną osobę? Od urodzenia ma ksiądz problemy ze zdrowiem.

KS. MAREK CHRZANOWSKI: To prawda, w wyniku trudnego porodu mam częściowo sparaliżowaną prawą część ciała, problemy z widzeniem, chodzeniem. W 2016 r. pojawił się jeszcze nowotwór. Pierwsza diagnoza była tragiczna – lekarz powiedział, że zostało mi być może kilka tygodni życia. Było mi ciężko, ale nie w kontekście, że to już za dużo jak na jedną osobę. Myślałem, że jeszcze pożyję, miałem mnóstwo planów, zaproszeń na rekolekcje, wieczorki autorskie. Wtedy w szpitalu, po tej pierwszej diagnozie, przeżyłem bardzo trudną noc. Kłóciłem się z Panem Bogiem, zadawałem pytania, modliłem się, płaka-

łem. To była najtrudniejsza noc w moim życiu. Nie wiem, czy drugą taką udałoby mi się przeżyć. Kiedy jednak zaczął się nowy dzień, dałem zielone światło Bogu, by działał w moim życiu.

Można pogodzić się z tym, że zostało już tylko kilka tygodni życia?

Wierzyłem, że może Bóg coś wymyśli. Chociaż to była nadzieja wbrew rokowaniom, wiara na ślepo, z zawiązanymi oczyma. Wiele razy jednak w moim życiu było tak, że po ludzku nie było na coś szans. Ufając Mu, nie do końca pogodziłem się z tym, że zostało mi tylko kilka tygodni.

Zdiagnozowano agresywną postać chłoniaka?

Tak, odmiana źle rokująca, jedna z najbardziej groźnych.

Dlaczego właściwie ksiądz zrobił sobie badania?

Bardzo bolał mnie kręgosłup. Od urodzenia mam z nim kłopoty, teraz jednak ból był tak silny, że trudno mi było chodzić. Zrobiłem badania krwi. Gdy zobaczył je lekarz, od razu skierował mnie do szpitala. Okazało się, że mam olbrzymiego guza w brzuchu, były też guzy w mózgu. Śmieję się, że kręgosłup, który tak mi dokuczał, był najzdrowszą częścią w moim organizmie.

W czasie operacji nie udało się usunąć nowotworu?

Nie. Guz był tak powrastany, że lekarze otworzyli mi brzuch i stwierdzili, że lepiej nie operować. Zaproponowali mi agresywną chemioterapię, jednak intuicyjnie wiedziałem, że mam za słaby organizm, mogę jej nie przeżyć. Dostałem chemię mniej



Z ks. Markiem Chrzanowskim, orionistą i pacjentem onkologicznym rozmawia Katarzyna Pinkosz

Po ludzku nie da się wytłumaczyć

agresywną, guz zmalał o połowę, jednak nadal był aktywny. Potem dostałem drugą chemioterapię, guz znowu zmniejszył się o połowę. Lekarze uznali to za sukces. Na koniec byłem poddany radioterapii, też bardzo silnej. Jednak po niej PET wykazał, że guz się jeszcze powiększył. W dokumentach z maja 2018 r. jest napisane, że choroba ma charakter progresywny. Lekarze zaproponowali mi wtedy trzecią chemioterapię, najbardziej agresywną.

Ostatnia szansa na życie...

Nie zgodziłem się. Pierwsze dwie chemie bardzo źle zniósłem. Miałem tak niskie parametry krwi, że byłem bliski śmierci. Czułem, że nie przeżyję kolejnej chemii.

W międzyczasie dowiedziałem się o lekach, które są w Polsce nierefundowane. Zapytałem profesora, czy można je u mnie zastosować. Zgodził się, jednak wymagało to ogromnego wysiłku finansowego. Powiedziałem, że spróbuję zdobyć pieniądze. Dzięki moim współbraciom z Rzymu udało się załatwić pierwsze dawki leku. Miałem go brać od 12 czerwca 2018 r.

Tuż przed podaniem leku jeszcze raz zrobiono badania. I okazało się, że guza nie ma!

Zniknął?

Tak, chociaż jeszcze 11 czerwca był taki duży, że lekarze wyczuwali go ręką.

Jak zinterpretowali to lekarze?

Byli w szoku: „Jak ksiądz to zrobił?”. Ja w jeszcze większym! Potem stwierdzili, że być może skutki radioterapii pojawiły się u mnie dużo później niż u wszystkich pacjentów.

Ksiądz wierzy, że to był cud...

Tak, 12 czerwca przypada liturgiczne wspomnienie naszego współbrata, bł. Franciszka Drzewieckiego, który zginął jako męczennik w Dachau. Od początku mojej choroby moi współbracia, siostry zakonne, Instytut Życia Konsekwowanego, za który jestem odpowiedzialny – wszyscy modlili się o cud uzdrowienia przez jego wstawiennictwo. Ja też się modliłem za wstawiennictwem ks. Drzewieckiego, naszego założyciela ks. Orione, Jana Pawła II, bł. Hanny Chrzanowskiej. Miałem takie momenty, że moją modlitwą było cierpienie, bo nie miałem już sił na inną modlitwę.

Gdy coś ekstremalnie trudnego dzieje się w moim życiu, Pan Bóg wyciąga do mnie rękę. Widzę cuda w swoim życiu i w życiu innych.

W książce „Przeżyć, by żyć” opowiada ksiądz, że w chorobie ważne jest wsparcie rodziny, ale przydaje się też pasja, np. obejrzenie meczu piłkarskiego...

Rodzina jest bardzo ważna, ogromnie mi pomogła w czasie choroby. Ważne są też jednak pasje, hobby, a w moim przypadku... nawet świr na punkcie sportu i piłki nożnej. Były takie momenty po chemioterapii, kiedy nie miałem siły na nic. Włączałem wtedy kanał sportowy, oglądałem mecze. Nawet gdy nie miałem siły patrzeć czy słuchać, lubiłem, gdy te mecze trwały. Ta pasja trzymała moje myśli przy czymś innym – nie tylko przy tym, co trudne.

prof. Wiesław Jędrzejczak, wieloletni konsultant krajowy w dziedzinie hematologii:



Przez 46 lat praktyki onkologicznej cuda nie widziałem, ale na moich oczach (i po części z moim udziałem) onkologia się zmieniała. Od niewyleczalności niemal wszystkich nowotworów do wyleczalności niektórych i wydłużenia życia z chorobą u wielu innych. Cudem w onkologii jest to, że coraz większej liczbie chorych możemy pomóc. Cudem jest to, że dokonali tego ludzka wiedza, talent, innowacyjność i determinacja w ciężkiej pracy. W nowotworach pierwotnie uogólnionych, takich jak białaczki i chłoniaki, decyduje ich wrażliwość na obecnie dostępne metody leczenia: chemioterapię, immunoterapię, leczenie celowane i przeszczepianie komórek krwiotwórczych. Granica wyleczalności stale się przesuwają, chociaż nie ma drogi na skróty. Nie kwestionując władzy Boskiej, najlepiej, jeśli ją wspomaga kompetentny lekarz.

Widział ksiądz wiele innych osób w ciężkim stanie choroby nowotworowej. Czy wiara wtedy pomaga?

Trudno sobie wyobrazić człowieka chorego bez wiary. W takich chwilach każdy człowiek musi zadawać sobie pytania: „Po co żyję?”, „Jaki jest mój cel?”, „Czy koniec na ziemi jest końcem na zawsze?”. Człowiek wierzący jest o tyle bogatszy, że wie, iż po tamtej stronie życia jest Ktoś, Kto go przytuli i przedłuży mu życie o wieczność. Wielu ludzi nawraca się w tak ekstremalnych sytuacjach. Tutaj nawet nie chodzi o wiarę, tylko o racjonalne podejście do życia. Nie można wyobrazić sobie, że życie kończy się z chwilą śmierci i potem nie ma już nic.

Nie każdy chory na raka ma swój „cud 12 czerwca”. Co ksiądz mówi osobom, które mają bardzo trudne rokowanie?

Spotykam wiele osób w takiej sytuacji. Nie mam właściwych słów. Im więcej słów, tym czasem gorzej. Biorę wtedy różaniec, bo trzeba się go trzymać jak kotwicy. I biorę tę osobę za rękę, mówię, że będę się za nią modlił. Wierzę, że resztę zrobi Bóg.

Doświadczenie zbliżenia się do śmierci, która była tak blisko, zmienia podejście do życia?

Zewnętrznie niewiele się zmieniłem. Wewnętrznie – bardzo. Chodzę po kołędzie i cieszę się jak głupi, że mogłem do tego wrócić, że mogę jechać na rekolekcje, pisać wiersze, jeździć na spotkania autorskie. Chciałbym przeżyć te lata, które mi zostały, tak na ful, na 100 proc.

Już nie „kilka tygodni”, tylko „lata”. Wierzy ksiądz, że ten cud – a medycznie remisja – będzie trwał?

Tak mi się spontanicznie powiedziało. Chciałbym. Jest wiele rzeczy w moim życiu, których po ludzku nie da się zrozumieć.

Nawet to, że ksiądz chodzi, widzi...

Miałem ogromne szczęście, bo po komplikacjach porodowych mogłem nie żyć, nie widzieć albo nie funkcjonować dobrze intelektualnie. Wszystko to jest cudem.

Będą kolejne tomiki wierszy, audycje, książki?

Pracuję już nad tym, piszę następną powieść, do szuflady wkładam wiersze, które notuję na skrawkach papieru. Cieszę się, że mogłem wrócić do tego, co kocham: codziennie spowiadałam ludzi, odprowadzam mszę, chodzę po kołędzie. Chciałbym, żeby to wszystko trwało. A ile czasu, ile lat? Zobaczmy.

Badania nie wykazują nawrotu?

Nie. Powtarzam badania co kilka tygodni. Na razie wszystko jest OK. Trwamy w tym zadziwieniu: ja i moi lekarze.

Nie chciałabym, żeby z naszej rozmowy ktoś wysnuł wniosek, że z leczenia można zrezygnować i opierać się tylko na wierze...

Oczywiście, że nie. Cały czas znajduję się pod opieką lekarzy, jestem im wdzięczny za to, że podjęli się leczenia. Bóg działa też przez medycynę, lekarzy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z KS. MARKIEM CHRZANOWSKIM
ROZMAWIA
PATRYCJA
MICHONSKA-DYNEK
„PRZEŻYĆ,
BY ŻYĆ”
BERNARDINUM 2018

RYCERZE I WARCHOŁY

W żółtym szlafroku na szubienicy



JACEK KOMUDA

Nic tak nie poprawia patriotycznego humoru i fantazji jak wieszanie targowiczán. Po Adamie bywszym Ponińskim i Piotrze Ożarowskim, który sam podpisał na siebie wyrok śmierci, czas na konopny wieniec dla Szymona Korwin-Kossakowskiego herbu Ślepowron, hetmana wielkiego litewskiego. Szymek-hetmanek przeszedł w czasie życia wszelkie możliwe stadia służby Rzeczypospolitej – od patrioty i obrońcy wolności w czasie konfederacji barskiej do awanturnika, przywódcy watah chłopskich, poprzez działalność arcyzdrajcy i łotra aż do szubienicy.

Jeszcze w 1768 r. wspólnie z Janem Ponińskim i Michałem Dzierżanowskim rozpoczął powstanie przeciwko Rosji – sam osobiście skonfederował powiaty kowieński, wiłkomirski, upicki i oszmiański. Był tak zawziętym zagończykiem, że kiedy powstańcy przegrali i musiał uchodzić do Prus, ambasador Nikołaj Repnin żądał wydania Kossakowskiego „jako głównego podżegacza”. Przyszły hetman uniknął jednak niebezpieczeństwa, przedostając się do Saksonii i ofiarowując usługi partii saskiej, która chciała obalić panowanie Stanisława Augusta Poniatowskiego. To właśnie pod jego wpływem konfederaci ogłosili w kwietniu 1770 r. detronizację króla w Warszawie. Już wówczas wyszła jednak na jaw jego natura aferzysty – okazało się bowiem, że przebywając w Turcji, bezprawnie występował przed wezyrem jako poseł polski i dodatkowo sprzeniewierzył pieniądze. Zagrożony sądem, uciekł najpierw do Częstochowy, a potem na Litwę, gdzie szybko sformował własną partię – jak twierdzili jego wrogowie – z „masztalerzy, stangretów, pachółków, parobków, złoczyńców”, z którą niepokoił zarówno Rosjan, jak i osobistych adwersarzy. Po upadku konfederacji uszedł



FOT. WIKIPEDIA

z kraju i wiódł żywot typowego XVIII-wiecznego awanturnika do wynajęcia, podróżując do Turcji i Wiednia, gdzie przedstawiał się jako hrabia Stefan Babindon.

W 1775 r. wrócił na Litwę i z bratem Józefem oddał się pod protekcję ambasadora rosyjskiego Ottona Stackleberga; od tej pory uważał ugodę z Rosją za podstawę wszelkiej działalności politycznej w Rzeczypospolitej. Słynął też z niesłychanej chciwości na zaszczyty. Otrzymał order św. Stanisława i Orła Białego, dodatkowo miejsce w Radzie Nieustającej od 1786 r.

Nie należy się zatem dziwić, że rozpoczęcie obrad Sejmu Czteroletniego i wyrwanie Polski i Litwy spod moskiewskiego protektoratu przyjął ze zgrozą. Jak podaje Władysław Konopczyński w jego biografii, uznał, że w Polsce nie ma nic do zrobienia, i na wiosnę 1790 r. wstąpił jako ochotnik, w randze generał-majora, do armii rosyjskiej walczącej z Turcją. Natychmiast też zdobył względy księcia Grigorija Potiomkina i został przedstawiony w Petersburgu – gdzie w 1792 r. stał się jednym z głównych architektów konfederacji targowickiej – wspólnie z Sewerynem Rzewuskim i Szczęsnym Potockim. W granice Litwy wszedł w podwójnej roli

– jako dowódca części carskiego korpusu i jednocześnie regimentarz konfederacji, istniejącej jedynie na papierze. 14 czerwca wkroczył do Wilna, terroryzując po drodze szlachtę, niszcząc osady Tatarów litewskich. Siłą i groźbą zmuszał obywateli do podpisywania się pod akcesem do targowicy i był bardzo rozczarowany, kiedy szybka kapitulacja Stanisława Augusta pozbawiła go możliwości zdobycia Warszawy.

Kossakowski zasłynął jako samowznący hetman polny litewski, którym sam się ogłosił, i jako główny wróg króla Stanisława Augusta. Proponował nie tylko utrzymanie moskiewskiego protektoratu nad Rzeczypospolitą, lecz także przyłączenie Litwy do Rosji i pobór szlachty do armii moskiewskiej. Dzięki sprytnym zabiegom tudzież giętkiemu karkowi uzyskał poparcie nowego ambasadora Rosji Jakoba Sieversa, który doprowadził do oddania mu godności hetmana wielkiego litewskiego.

Szymona Kossakowskiego, w Warszawie, wcale nie zgubiła pycha, ale brak czasu. W 1794 r. hetman litewski zaniepokojony był groźbą rozruchów i powstania. Późno, bo dopiero 21 kwietnia, przybył do Wilna w celu uspokojenia buntowników – natychmiast zaalarmował dowódcę rosyjskiego garnizonu Arseniewa, próbując zmusić go do zdecydowanej akcji. Sam nakazał aresztować Jakuba Jasińskiego i Józefa Niesiołowskiego, to wszystko jednak poniewczasie... W nocy z 23 na 24 kwietnia został przez powstańców aresztowany we własnym mieszkaniu i osadzony w Arsenale. Następnego dnia Sąd Kryminalny skazał go na śmierć. Ponieważ Kossakowskiego wyciągnięto z łóżka i nie pozwolono mu się przebrać, powieszono go w żółtym domowym szlafroku na szubienicy ustawionej na placu Ratuszowym. ©©

BERNADETA KRYNICKA: NAJLEPSZE SAJGONKI TO POLSKIE GOŁĄBKİ

Kiedy jem sushi, to mam ochotę zagryźć kielbasą, a najlepsze sajgonki to dla mnie polskie gołąbki. Oczywiście pół żartem, pół serio, ale mówiąc już zupełnie poważnie – uwielbiam polską kuchnię. Zwłaszcza gdy sama gotuję, bo używam dużo warzyw i ziół oraz naturalnych przypraw bez sztucznych barwników oraz glutaminianu sodu. Potrafię zrobić bigos na dziczyźnie, na zimę przygotowuję mnóstwo weków, a moi goście często chwalą przygotowywaną przeze mnie kaczkę.

Kaczka w jabłkach słodko-winnych

Składniki:

- uda i pierś z kaczki
- jabłka słodko-winne
- pomarańcza
- sól, pieprz, majeranek

Przygotowanie:

Kaczka, którą przyrządzamy, powinna być dorodna – waga przynajmniej 2,5 kg. Najlepszym rozwiązaniem jest kupienie jej w całości i użycie do tego dania jedynie ud i piersi (ja z reszty kaczki gotuję rosół, który pasteryzuję w słoikach i jest bazą do innych zup, a później z mięsa robię pasztet – nic się nie marnuje) lub kupienie samych dużych ud i piersi. Nacieram je przyprawami – solą, majerankiem i pieprzem – i odstawiam do lodówki co najmniej na jedną dobę, a najlepiej na półtore.

Na kilka godzin przed pieczeniem przygotowuję jabłka. Myję je, wydrążam środki, kroję na połówki i nacieram przyprawą będącą mieszaną suszonych warzyw i soli – taką naturalną „vegetą”. Wykładam dno dość dużej teflonowej brytfanny połówkami jabłek (wydrążeniem do góry), a na nich układam mięso z kaczki skórką do góry. Wyciskam na mięso trochę soku z pomarańczy i wstawiam do piekarnika w zamkniętej brytfannie. Czas pieczenia kaczki uzależniony jest od ilości mięsa. Jeśli mamy go ok. 2 kg, to pieczemy 2 godz. w temperaturze 180 st. C, jeśli 2,5 kg – to pieczemy 2,5 godz. itd. Oczywiście sprawdzamy stan upieczenia mięsa, bo każdy piekarnik może piec nieco inaczej. Naszą kaczkę sprawdzamy pół godziny przed planowanym końcem pieczenia i jeśli jest już dość miękka – to układamy na wierzchu pozostałe połówki przygotowanych wcześniej jabłek. Zamykamy brytfannę i pieczemy kolejne pół godziny, dzięki czemu jabłka będą upieczone, ale się nie rozpadną.

Podajemy, układając na talerz kawałek mięsa i trochę jabłek z dodatkiem żurawiny. Danie doskonale uzupełniają pęczak i buraczki na ciepło z suszoną śliwką (zamiast cukru dodaję do buraczków pokrojone drobno suszone śliwki). Palce lizać! ©©

*oprac. raw
Bernadeta Krynicka
jest posłanką PIS.*



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Jabłko czy kiwano

Wczasach, kiedy kupowanie w sieciówce Jeronimo Martins uchodziło tylko biedakom, a bogacze potajemnie zaopatrywali się tam w wino Châteauneuf du Pape, w Biedronce można było znaleźć najlepsze i najtańsze mango. Duże, soczyste, z czerwonym rumieńcem. Teraz, kiedy Biedronka stała się wyższą półką i nikt się nie wstydzi tam kupować, repertuar egzotycznych owoców się rozszerzył.

Prowadzimy tam z mężem działalność badawczą, odkrywając nowe gatunki. Grejpfruty, pomarańcze, bananów nie uważamy już bowiem oczywiście za owoce egzotyczne, choć może gdy klimat się ociepli, to wyrosną także pod Grójcem.

Jesteśmy fanami wyjątkowo smacznej marakui (passion fruit, czyli owoc męki), której nawet podróż z półkuli południowej nie jest w stanie zaszkodzić. Brązowy owoc wielkości śliwki prezentuje się niezachęcająco – po kilku dniach przechowywania staje się brzydko pomarszczony, przez co wygląda na nieświeży. W niczym nie wpływa to jednak na smak – marakuja jest pyszna! Wystarczy przekroić na pół i żółte słodko-kwaśne pestki zjeść łyżeczką. Bliską jej kuzynką o ładniejszej prezencji (pomarańczowa), ale nie tak smaczną i droższą, jest granadilla.

Przy obieraniu pomelo trzeba się namęczyć, bo ten największy z rodziny cytrusów i genetyczna hybryda ma grubą skórę oraz błony w środku. Kiedy już jednak się wykona robotę i dojdzie do delikatnych, lekko słodkawych kawałków, satysfakcja pewna! Mało, że smaczny. Pomelo jest jeszcze niskokaloryczny i zdrowy. Z ciekawości można spróbować custard fruita – jabłka budyniowego – choć nie sądzę, żeby to coś mogło wejść na stałe do naszych deserów. Jego słodki miąższ przypomina w smaku przejrzałą gruszkę, ale wypływanie czarnych pestek, których jest tam mnóstwo, psuje całą przyjemność. Nikogo nie zachęcałabym do kiwano

– ogórka afrykańskiego. Cóż to za świnstwo! Zielonożółty, galaretowaty miąższ, zawierający nasiona, jest całkiem bez smaku.

Rzadko udaje mi się natrafić na zdrowy i dojrzały ananas. Z zewnątrz ładnie wygląda, w środku zepsuty. No i obieranie nie jest łatwe – trzeba wyciąć zewnętrzne krosty i twardy trzpień. Wspominam z czułością, gdy w praczasach PRL można było zdobyć ananasy w puszkach firmy Dodoni. Odpowiednio przygotowane, równo przycięte i bardzo słodkie uchodziły za wielki luksus.

I komu to przeszkadzało? Teraz musimy męczyć się ze świeżymi. Na szczęście są jabłka. ©©





Lamborghini Huracán Performante



Porsche 911 GT2 RS



Alpina B5



Aston Martin Vantage



Bentley Continental GT

AUTA WEDŁUG CLARKSONA

Znany dziennikarz motoryzacyjny Jeremy Clarkson na łamach „Sunday Times” opublikował listę najlepszych oraz najgorszych samochodów ubiegłego roku. Wśród tych pierwszych znalazły się modele niezwykle drogie i bardzo mocne. Według Brytyjczyka najlepszym autem 2018 r. było Lamborghini Huracán Performante z silnikiem V10 o pojemności 5,2 l i mocy 639 KM. Maksymalną ocenę pięciu gwiazdek dziennikarz przyznał też Porsche 911 GT2 RS. Pierwszą trójkę zamyka wyposażona w silnik V8 o mocy 600 KM Alpina B5, która dostała cztery gwiazdki. W pierwszej piątce najlepszych aut znalazły się także Aston Martin Vantage oraz Bentley Continental GT. Znany z ciętego języka Clarkson nie byłby sobą, gdyby nie wskazał równocześnie najsłabszych aut. Na liście najgorszych znalazły się Dacia Duster, Audi Q8, Volvo V60 oraz Abarth 695 Rivale i Mini 1499 GT.

ZNIENAWIDZONA TECHNOLOGIA

Nowoczesne technologie nie wszędzie są mile widziane. W amerykańskim stanie Arizona wzrasta liczba ataków na automatyczne samochody. W zeszłym roku policja odnotowała aż 21 takich przypadków. Według dziennika „Arizona Republic” najczęściej są one obrzucane kamieniami. Często opony samochodów-robotów przebijane są też nożem. Zdarzają się również przypadki, gdy kierowcy-ludzie obawiający się autonomicznej konkurencji próbują spychać roboty z drogi lub zmuszają je do zatrzymania. Na policję zgłosiło się też kilku kierowców bezpieczeństwa z aut autonomicznych, którym osoby nienawidzące samojedźnych pojazdów miały grozić bronią palną. Ofiarami innego rodzaju ataków padają też osoby jeżdżące samochodami elektrycznymi. Członkowie ruchu Tesla Haters celowo zastawiają miejsca służące do ładowania elektryków swoimi potężnymi, paliwozernymi SUV-ami czy półciężarówkami. Amerykańska policja odnotowała też przypadki werbalnej agresji wobec użytkowników Tesli.

ELEKTRYCZNI NORWEGOWIE

Niemal jedną trzecią ze 148 tys. nowych samochodów sprzedanych w zeszłym roku w Norwegii stanowiły auta całkowicie elektryczne. To rekord. Rok wcześniej „elektryki” stanowiły 21 proc. sprzedanych w kraju samochodów, a w roku 2013 jedynie 5,5 proc. Za sześć lat władze w Oslo chcą całkowicie zakazać sprzedaży aut spalinyowych. Tymczasem na krakowskim Kazimierzu ruszyła pierwsza w Polsce strefa czystego transportu. Wjeżdżać do niej mogą tylko samochody elektryczne, napędzane wodorem oraz zasilane sprężonym gazem ziemnym. Ograniczenia nie obowiązują mieszkańców strefy, taksówkarzy oraz osób niepełnosprawnych. Mandat za złamanie zakazu może wynieść 500 zł.

NIEMCY KAŻĄ PŁAĆ

Po latach burzliwych dyskusji władze w Berlinie oficjalnie ogłosiły, że od października 2020 r. kierowcy samochodów osobowych, aby móc poruszać się po autostradach w Niemczech, będą musieli kupić specjalną winietę. Jej cena zależeć ma nie tylko od okresu ważności, lecz także od pojemności silnika oraz ilości wydzielanych przez niego spalin. Niemcy liczą, że wprowadzenie opłat za autostrady będzie przynosić do budżetu aż pół miliarda euro rocznie. Zebrane pieniądze mają być inwestowane w remonty i budowę nowych dróg.

FERRARI WARTO WIĘCEJ NIŻ ZŁOTO

Sztabki cennego kruszcu to ulubiona inwestycja bogaczy, którzy szukają pomysłów na lokatę kapitału. Okazuje się jednak, że jeszcze lepsze wyniki może przynieść kupno wybranych modeli pięknych, klasycznych samochodów. Jak podał portal Reddit, ważący 880 kg model Ferrari 250 GTO z roku 1962 jest już wart znacząco więcej niż 880 kilogramowych sztabek złota. Auto na aukcji RM Sotheby's Monterey sprzedano w ubiegłym roku za 48,4 mln dol., czyli za ok. 55 dol. za jeden gram. Tymczasem jeden gram złota inwestycyjnego kosztuje zaledwie 41,3 dol. Do tego w razie potrzeby ucieczka przed rabusiami Ferrari jest o wiele łatwiejsza niż nagła ewakuacja ważących niemal 900 kg sztabek. ©©

opracował Jacek Przybylski



Ferrari 250 GTO

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



KRZ * W D A D R A M *
N I * S P R A W I E * * * W O * C

NA POMOC!

PROGRAM INTERWENCYJNY

ŚRODA 21:30

Oglądaj Telewizję Republika również na: www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 1485523cca





MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

To będzie **dobry rok**

MARCIN MAKOWSKI: Tydzień temu podsumowaliśmy rok 2018, teraz pobaw się w proroka i powiedz mi, co w Polsce i Europie wydarzy się w kluczowym wyborczo 2019 r.?

MATTHEW TYRMAND: W proroka? Tutaj nawet nie trzeba zgadywać. Trend prawicowo-populistyczny, o którym rozmawiamy nieustannie od trzech lat, będzie zyskiwał na znaczeniu i już zyskuje we Włoszech, Francji, w Niemczech, Skandynawii i krajach wyszehradzkich. To przełoży się na zmianę układu sił w Brukseli wiosną. Myślę, że PiS uzyska w wyborach europejskich wynik na poziomie 35 proc. Zaskoczeniem może być start egzotycznej koalicji zbudowanej wokół Korwin-

No dobrze, a wyścig do polskiego parlamentu?

Wiele po drodze może się jeszcze wydarzyć, ale mam przeczuć, że jesienią Zjednoczona Prawica osiągnie dobry rezultat. Być może pozwalający na rządy przy zachowaniu samodzielnej większości. Mateusz Morawiecki konsekwentnie umacnia się wewnątrz, ale jeżeli walka międzyfrakcyjna ze Zbigniewem Ziobrą nie ustanie, to nie zdziwiłbym się, gdyby doszło do pozbycia się go z rządu w 2020 r. Jeśli PiS chce utrzymać władzę, to musi również intensywnie zabiegać o budowę Fortu Trump. Fakt zmiany sekretarza obrony w USA może się okazać tutaj bardzo pomocny. Generał James Mattis był bardzo doświadczonym dowódcą, ale spowalniał proces przeniesienia stałych baz US Army do Polski. Jego wizja obrony wschodniej flanki zasadała się na koncepcji tworzenia powiązanych ze sobą mniejszych sojuszy wewnątrz NATO, które przy wecie Niemiec nie pozwoliłyby na przeniesienie bazy ze swojego terytorium. I choć John Bolton w Białym Domu lobbował za przeciwnym rozwiązaniem, ich siły się równoważyły i koncepcja bazy nie zyskiwała takiego uznania w Waszyngtonie, jakie by mogła. Myślę, że Mattisa może zastąpić weteran wojny w Wietnamie i byłby demokratyczny senator stanu Wirginia, Jim Webb. On uważa, podobnie jak powtarzał Ronald Reagan, że pokój buduje się poprzez siłę, a w jego gabinecie zajmował się zagadnieniami marynarki wojennej. Pomimo swoich dawnych afiliacji politycznych jest typem „jastrzębia” sceptycznie nastawionego do Rosji i Putina, dlatego może chcieć

wzmocnienia peryferyjnych granic Sojuszu. Nawet jeśli ostatecznie nie otrzyma tej pozycji, to wokół Trumpa jest wystarczająco dużo osób, które chcą utrzymania dominującej roli Stanów Zjednoczonych w NATO i wzmocnienia jego potencjału, a nie utrzymania status quo, czyli organizowania setek spotkań i dyskusji w stylu bezużytecznego ONZ.

A co myślisz o błędach, które w 2019 r. może popełnić obecny rząd? Weźmy chociażby nominację Adama Andruszkiewicza na wiceministra cyfryzacji.

Przyznam szczerze, że nie rozumiem logiki, która stała za tym wyborem – jak słyszę – dokonanym na szczytach KPRM. Być może chodzi tutaj o pozyskanie młodszego prawicowego elektoratu i zwolenników Andruszkiewicza? Tyle że oni albo nadal będą głosować na narodowców, albo i tak wspierają Zjednoczoną Prawicę. Pomijając wszystkie wcześniejsze młodzieńcze i głupie poglądy Adama Andruszkiewicza, zapominając nawet o jego partyjnej przeszłości, najbardziej problematyczny wydaje mi się jego brak realnych kompetencji. I to szczególnie w ministerstwie, które zarządzane przez Annę Streżyńską stawiało konsekwentnie na wykwalifikowanych specjalistach. Resort cyfryzacji w XXI w. w dojrzałym państwie realizuje zadania o wymiarze strategicznym, od cyberbezpieczeństwa przez telekomunikację do kryptowalut. Czy Andruszkiewicz ma jakąkolwiek wiedzę na te tematy, czy został ściągnięty po to, żeby prowadzić w rządzie Facebooka? Chciałbym znać odpowiedzi na te pytania, bo sytuacja wygląda źle. I właśnie o takie sprawy, jak o własne nogi, może się potykać PiS w tym roku. ©©

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

„O porządkach w owczarni” – cotygodniowa narada wilka z pasterzami



-Mikkego i Ruchu Narodowego. Platforma ma natomiast duże szanse na monopolizację głosów wyborców opozycyjnych, ponieważ Nowoczesna i Teraz! właściwie się nie liczą, a SLD i PSL nie są tradycyjnie silnie reprezentowane w Brukseli. Prawdziwą zagadką będzie natomiast wynik ruchu Kukiz'15 – jeżeli ktoś z niego trafi do europarlamentu, to ma sporą szansę, że jego kadencja przetrwa samą inicjatywę polityczną, która go do niego zaprowadziła.

OKIEM JASTRZĘBIA

Panie! Piersi pana nie oburzają? No coś pan?

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

Jest! A takiej jeszcze nie było! Wybuchła, proszę państwa, zdumiewająca afera piersiowa, którą podobno bardzo ma być zbulwersowane społeczeństwo. I nie że na pokładzie samolotu silikonem wybuchła pod bluzką.

Nie chcę nikogo dyskryminować, ale czy przy mężczyźnie z łupieżem kobieta może czuć się bezpiecznie?

Nie, nie. W mediach wybuchła. Polityczna. Poseł Arkadiusz Mularczyk z PiS został mianowicie przyłapany, że kiedyś był na zdjęciu, że w odległości kilku metrów od piersi, do piersi tyłem stał z żoną. Nie były to piersi żony, ale były to piersi kobiece, gołe. Kobiety dwie były przebrane niekompletnie właśnie za jakieś, że niby z Egiptu tancerki, a wokół stało dużo ludzi, natomiast Mularczyk daleko z tyłu, z boku nawet biedak nie miał szansy na te piersi zerknąć, niestety, chociaż nie były symboliczne.

No niewiarygodny podobno skandal, choć ja tego w ogóle tak nie czuję, ale pracuję wewnętrznie nad tym, żeby się oburzyć jak inni, wrażliwi widać ode mnie, z powodu tego, że był poseł PiS i były gdzieś obok piersi, ale mnie to w ogóle nie oburza. Czy w ogóle poseł prawicy może stać jakoś przy piersiach? W jakiej ewentualnie odległości? Czy na plaży koło jakiejś np. przechadzającej się toplesówy może zostać uchwycony przez fotografa czy nie? Albo jakby był w muzeum poseł PiS (to jest możliwe) i stanął przy piersiach posągowych, albo na obrazie, to czy to jest obraza, czy nie jest?

Czuje, że już sama myśl taka powinna mnie oburzać, ale mnie nie oburza. Słaby ze mnie oburzac, być może mam dysfunkcję oburzacową. Inni lepiej potrafią się oburzyć, przyznaję z cieniem zazdrości. Na przykład takie czytamy perełki w mediach: „Burza po zdjęciu z posłem” albo „Poseł musi się tłumaczyć”, na wysokim C to oburzenie nie ma co ukrywać. Pan Mularczyk co prawda wyjaśnił, że kiedyś tam stał na jakimś niby występie artystycznym i niby co ma być w tym niestosownego, ale musiał się tłumaczyć. Świat nam delikatnie głupieje, ale mogę się mylić, może wcale nie delikatnie...

Godna natomiast pochwały informacja przyłynęła do nas zza oceanu z kręgów celebryckich,

filmowych. Ja jako osoba lansująca od lat życie bez ciężaru zwierzęcej szczeciny na męskiej głowie odnotowuję tę informację z pewną taką satysfakcją, bez nieśmiałości. Otóż wreszcie! Wreszcie John Travolta (lat dopiero 65) wydorósł i postanowił zostać mężczyzną. Aktor znany nie tylko z kultowego rozglądania się na boki w „Pulp Fiction” zrezygnował z przypinania sobie imitacji sierści zwanej włosami pomiędzy uszami i pokazał się tak, jak facet, czyli jak facet, czyli jak łysy facet. Bez peruk, przypinek, zagęszczaczy sierści, kucyków i loczków. Wygląda Travolta John w oszałamiającej łysinie oszałamiająco. Koło niego stoi kobieta uśmiechnięta. Gdy łysy facet daje kobiecie poczucie bezpieczeństwa.

Nie chcę nikogo dyskryminować, ale czy przy mężczyźnie z łupieżem kobieta może czuć się bezpiecznie? Przecież taka kobieta obawia się o swoje bezpieczeństwo, że zaraz jakieś płatki będą lecieć. Facet z włosami to ewidentnie przeżytek, ale nie należy tego tak bardzo nagłaśniać, bo wrażliwsze samce nie chcą tego akceptować. Sprawa Johna Travoltę skojarzyła mi się w ogóle z cudowną sztuką teatralną Eugène’a Ionesco „Łysa śpiewaczka”. Szczególnie z tym dialogiem Strażaka, który mówi: „À propos, co z łysą śpiewaczką?”. Na co pani Smith odpowiada głosem na pewno wyrażającym spokojną akceptację: „Ciągłe tak samo się czesze”.

Gdy z łysiną związane są przewidywalność, stateczność i – już mówiłem – poczucie bezpieczeństwa. A sama „Łysa śpiewaczka” (zachęcam do lektury) jest tak nielogiczna, absurda i ucieszenie bzdurna jak ten Travolta przyczepiający sobie peruki, loki, kitki. ©



FOT. ROBERT CAROŹŃSKI



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Kierownik szatni

MARZENA PACZUSKA: „*Krótko mówiąc: NBP wysłał wszystkich na drzewo. Wychodzi na to, że wszystkie teksty o 65 tys. zarobków są wysane z brudnego palucha*”.

Doradczyni prezesa TVP nawet nie próbuje ukrywać satysfakcji z tego, że Adam Glapiński „wysłał dziennikarzy na drzewo” i na zwołanej po wielu dniach wałkowania tematu niebotycznych wynagrodzeń pań o nieznanych kompetencjach konferencji prasowej nie odpowiedział normalnie na żadne pytanie z mediów. Paczuska, do całkiem niedawna szefowa „Wiadomości”, ciągle jeszcze pewnie uważająca się za dziennikarkę, już całkiem otwarcie kibicuje władzy przeciwko dziennikarzom i nawet nie przyjdzie jej do głowy, że mogłaby doradzić swoim niedawnym podwładnym, żeby zawstydzić innych dziennikarzy i sami zdobyli dowody na to, ile (nie) zarabiają dwie blondynki prezesa. Fakt, że ani oficjalnie, ani kontrolowanymi przeciekami do zaprzyjaźnionych mediów Glapiński nie rozbroił bomby, którą sam podłożył pod dobrą zmianę, jest chyba najlepszym dowodem na to, że grzebanie w listach płac tylko potwierdziłoby doniesienia mediów. Dlatego

zamiast walczyć faktami z tym, co rzekomo inni dziennikarze „wyssali z brudnego palucha”, partyjni propagandyści mogą tylko wykpić tych, którzy te fakty próbują ustalić.

Dla zbulwersowanych już nie tylko sobiepaństwem Glapińskiego, lecz także jego niewyobrażalną arogancją wobec domagających się informacji obywateli jedynym pocieszeniem może być to, że Glapiński „wysłał na drzewo” zarówno nas, jak i swoją partię, z prezesem na czele, po drodze pozwalając sobie na aroganckie odzywki pod adresem wicepremiera rządu. Podatnika asystentki Glapińskiego kosztują grosze w porównaniu z tym, ile mogą ostatecznie kosztować dobrą zmianę.

Później czy później i tak przecież poznamy zarobki obu pań i jeśli miałabym obstawiać, to okaże się, że ze wszystkimi dodatkami i premiami okazały się nawet wyższe niż te podawane w mediach. Gdyby było inaczej, Glapiński dawno uciąłby spekulacje. Nie uciął. Widać nie może i pozostało mu chojrakowanie przed dziennikarzami, ku ucieście partyjnych propagandyistów płci obojga. Cieszy się więc na Twitterze Marzena Paczuska,

choć nawet oficjalna partyjna rzeczniczka jest zachowaniem Glapińskiego rozzarowana.

Adam Glapiński z jego postawą kierownika szatni („Nie mamy pańskiego płaszcza i co pan nam zrobisz?”) może mówić o dobrej zmianie dużo więcej niż tylko to, że ta przyciągnęła niepokojąco dużo postaci traktujących państwo jak koryto dla siebie i koleżeństwa. Każda władza tak ma, choć w przypadku partii idącej do władzy z hasłem „Praca, pokora, umiar” ostentacja w napychaniu własnych kieszeni publicznymi pieniędzmi razi szczególnie. W sprawie Glapińskiego najbardziej interesujące są powody, dla których uznał, że opłaca mu się postawić prezesowi. Jego kadencja kończy się w 2022 r., gdyby nie sprawiał kłopotów, PiS pewnie wybrałby go na kolejną i jego ulubienice mogłyby się nachapać jeszcze więcej. Wystarczyło okazać trochę pokory, być może wykonać jakiś pozorny ruch, zrobić cokolwiek, żeby własnej partii ułatwić wyjście z kryzysu. No, chyba że Glapiński już nie wierzy, iż w 2022 r. PiS będzie wybierał prezesa NBP. Z pewnością bowiem nie bardzo wierzy w dobrą zmianę, jeśli uznał, że nie jest warta poświęcenia dobrego samopoczucia dwóch pań. ©

PODSŁUCHANE

Na plastik

Aga, co to za ciekawy pomysł? Podobno coś wymyśliłaś fajnego na wybory.

Tak, Grzesiu, będę walczyć z plastikiem.

Że z czym? Z plastikiem!

Chyba plastikiem? Ale wiesz, że ja nie poprzę używania materiałów wybuchowych, nawet w małej ilości. Za duże ryzyko.

Nie, mnie chodzi o plastik. O, taki jak ten tutaj.

Mogłabyś zostawić moje tic taki?

Ale popatrz, pudełko jest z plastiku, a mogłoby być z drewna.

Ale wtedy trzeba by ściąć drzewa, może w Puszczy Białowieskiej.

No fakt... To z kartonu.

Ale karton też jest z drzew.

Naprawdę? Nie wiedziałam. No to mogłoby luzem sprzedawać.

W każdym razie chodzi o to, że ty zjesz, potem wyrzucisz to pudełko byle gdzie, a potem uduś się nim jakiś żółw na Galapagos.

Zgłupiałaś? Jak ja wyrzucę to pudełko tutaj do kosza w Sejmie, to jak ono potem się ma znaleźć na Galapagos i jak ma je zeżreć jakiś żółw?

Nie wiem, ale Greenpeace mówi, że to się jakoś dzieje. I ja z tym chcę walczyć.

No tak... A ten twój kubek tutaj to niby z czego jest?

No owszem, z plastiku, ale ja w nim piję kawę od miesiąca.

W tym samym.

A myjesz go chociaż?

Nie. Oszczędzam wodę. ©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„To tak jak Bandera kiedyś robił i jego UPA z Polakami”.

PAWEŁ KUKIZ w Polsat News o ostrzale prośnych loch

fot. Jerzy Gumowski



Mity—kity

Materia, z jakiej składają się dzieje ludzkości, to mniej więcej po równo: fakty (realia) oraz mity (bajkowość), choć według niektórych te drugie mają przewagę. Pozytywną stronę mitów kreuje ich urokliwość bądź interesująca dramatyczność, zaś negatywną ich nieprawdziwość, fałszowanie historii. Gdy wielkie mity upadają (czasami po stuleciach), ergo: gdy okazuje się, że to były „kity” — historiografia nie przeżywa trzęsienia ziemi, tylko media mają chwilową frajdę wzmiankując sensacyjkę. Demitologizacje bywają, jeśli chodzi o rozgłos, globalne (dzisiaj już wiemy, że w Średniowieczu nigdy nie funkcjonowało feudalne „prawo pierwszej nocy” i nie istniały „pasy cnoty”), lub jedynie lokalne (mit przyzwoitości Wałęsy runął wyłącznie nad Wisłą), historyczne (króla Zygmunta Augusta nie zaraziła syfilisem Barbara Radziwiłłówna, lecz wcześniejsza jego kochanka, Diana di Cordona, dwórka królowej Bony) lub aktualne (vide niedawny mit potęgi sarmackiego futbolu, stymulowany szóstym miejscem na komicznej liście rankingowej FIFA), artystyczne (coraz głośniej mówi się, że najlepsze filmy Wajdy zrobił nie „mistrz”, tylko jego współpracownicy; Sławomir Koper poświęcił temu krytyczny felieton w „Do Rzeczy”) lub propagandowe (swoisty graal bolszewickiego zamachu zwanego „Rewolucją Październikową”, rzekomo dokumentalny film ukazujący szturm na Pałac Zimowy, okazał się fabularyzacją zamistrowaną przez reżysera Sergieja Eisensteina).

Z personalnego punktu widzenia demitologizacje mają siłę rehabilitującą (oczyszczającą) figury, które zostały utrwalone w powszechnej świadomości jako „czarne charaktery”, bądź odwrotnie: demaskującą tych, którym niesłusznie włożono aureole na czoła. Pierwszy przypadek świetnie ilustruje historia rodziny Borgiów, czyli Rodrigo Borgii vel papieża Aleksandra VI, Cezara Borgii i Lukrecji Borgii. Cezar i Lukrecja mieli być bękartami Rodriga, zaś cała trójka obrzydliwymi potworami działającymi sztyłem, trucizną i jurnością — taki obraz lansowano przez kilka wieków, czyniąc to trio zespołem wręcz modelowych zwyrodniałców. Jest to kompletna bzdura (również rzekome ojcostwo Rodriga), o czym napomkano już prawie sto lat temu (Peter De Roo, „Material for a History of Pope Alexander VI, His Relatives and His Times”, 1924) i pół wieku temu (Michael Mallett, „The Borgias”, 1969). Czarny mit jednak dalej funkcjonuje dzięki paru popularnym serialom o złowroziej rodziny Borgiów. Z kolei

dobrym przykładem zrywania aureol było ujawnienie (w minionych kilku dekadach) prawdy o rozmaitych świętoszkach męskich (prezydenci Kennedy tudzież Allende, Che Guevara, itp.), jak też żeńskich (Grace Kelly—księżna Monako, Diana Spencer—„La-dy Di”, Matka Teresa z Kalkuty, birmańska noblistka Aung Suu Kyi, itp.) — wszystkie te przypadki komentowałem detalicznie Czytelnikom „Do Rzeczy”, podobnie jak przypadek legendarnej szefa FBI, Johna Edgara Hoovera, który okazał się pederastą „trzymanym za jaja” przez mafię i przez sowieckie „szużby”. A gdy już jesteśmy przy USA, warto wspomnieć o tym, że — wbrew westernom — w całej ponad stuletniej historii Dzikiego Zachodu miało tam miejsce ledwie 12 napadów na bank, i o świeżej próbie skompromitowania mitologii kultowego herosa Ameryki, Supermana, przez antysemitów dowodzących, że jego kryptońskie imię Kal—El to imię żydowskie (w języku hebrajskim znaczy ono: „Głos Boga”), które mu dali z rozmysłem żydowscy twórcy Supermana, Jerry Siegel i Jo Shuster.

Dwa wyżej zamieszczone akapity były tylko swoistą „introduction” vel „podgotówką” do zasadniczego tematu niniejszego fe-



Władysław Ludwik Anczyc:
„Śliczne wojsko, jak laleczki,
Ładne na nich sukmaneczki”



lietonu, którym jest głośno szerzony u nas (zwłaszcza hucznie przy corocznym Święcie Wojska Polskiego) mit o tężyznie i gotowości obronnej sił zbrojnych III RP. To dokładnie taki sam „kit” jak sanacyjna propaganda z drugiej połowy lat 30—ych XX wieku — „silni, zwarci, gotowi”, „guzika nie oddamy”, itp. Frontman tamtego tromtadrackiego pohukiwania i przeżenia muskułów, niewydarzony następca Piłsudskiego, marszałek Edward Rydz—Smigły, wydał w 1936 roku książkę pt. „Byćcie o sile nie zapomnieli” (rozkazy, artykuły, mowy), lecz sam zapomniał o sile i Polska okazała się bezbronna w 1939 roku. Notabene: największy (formatem) z ówczesnych gromko patriotycznych/pretriumfalnych plakatów miał obok rozmaitych zawiadackich hasel drugiego sortu (np.: „Swego nie damy, napastnika zwyciężymy!”), hasło główne, drukowane u góry wielką czcionką: „GWAŁT ZADAWANY SIŁĄ MUSI BYĆ SIŁĄ ODPARTY”, co jest sformułowaniem idiotycznym — pleonazmem vel tautologią; twórców tego hasła należałoby spytać czy mogą wskazać gwałt dokonany bez użycia siły.

A dzisiaj? Wojsko Polskie maszerujące/jadące świętecznie Alejami Ujazdowskimi lub wiślanym nadbrzeżem grodu stołecznego może sobie wyglądać bardzo malowniczo

i budzić euforię machających chorągiewkami dzieciaków tudzież ich rodziców, którzy są ignorantami w sprawach militarnych, lecz tak naprawdę jest to armia „cóżkolwiek” (jak mawiał trener Górski i „pan Piecyk” u Wiecha) operetkowa, bo wbrew propagandzie politycznych elit III RP mamy siły zbrojne typu prowincjonalnego cyrku klasy III, przeterminowanej, a cała narracja o ich „strong-męskiej” kondycji jest fałszywym mitem, hucpą. Większość bojowego sprzętu naziemnego to żywe muzeum, czego symbolem są stareńkie czołgi T—72 i ciut nowsze Leopard, których Niemcy, ku naszemu zadowoleniu, pozbywają się od lat, rozdzając miast wyrzucać je na złom. Ruskie rakiety lub samoloty zezłomowałyby toto „w try miga”, bo nie mamy jeszcze właściwych systemów obronnych. Na razie staramy się o system Patriot — A. D. 2022 Amerykanie dadzą nam (za horrendalne pieniądze) dwie baterie Patriotów, co nie wystarczy do obrony Pcimia, ale kraju nie obroniłoby nawet dziesięć czy dwadzieścia takich baterii. Dlaczego? Z różnych przyczyn, choćby takiej, że radary Patriotów okazały się bardzo zawodne (nawet gdy nie zawodzą — działają na wycinku 180°, czyli nie obejmują pełnego pola), a celność Patriotów została skompromitowana zarówno w starciu z prymitywnymi irackimi Scudami Saddama Husajna, jak i teraz w konfrontacji ze Scudem jemeńskich rebeliantów Huti (chybiły go pięciokrotnie!). Patrioty winny nam służyć do przechwytywania rakiet podczas końcowej fazy ich lotu, lecz ruskie Iskandery systemu „stealth” w końcowej fazie lotu sprytnie antyzestrzeleniowo manewrują. Słychać już głosy, że lepiej byłoby kupić tańszy i skuteczniejszy izraelski system obronny Żelazna Kopuła.

Głównym tytułem do chwały militarnej III RP jest dziś niewielka liczba starzejących się samolotów myśliwskich F—16 (świat już od dawna kupuje wyłącznie F—35), a większość naszego bojowego lotnictwa to archaiczne postsowieckie Su—22S. Helikoptery to równie archaiczne Mi — Bogiem a prawdą helikopterów bojowych nadających się do walki nie posiadamy, mimo bardziej solennych niż komicznych zapewnień eksministra Macierewicza. Brakuje ich zresztą nie tylko „silom lądowym”, lecz i „flocie”. Piszę to cudzysłowem, po Polska żadnej floty wojennej nie ma (ani nawodnej, ani podwodnej), czego żenującym symbolem stał się klecony przez 14 lat za półtora miliarda złotych „Gawron”/„Ślżak” (korweta przepoczwarzona w patrolowiec). Polskie morze i polskie wybrzeże są bezbronne stuprocentowo. Same helikoptery rosyjskiej floty wojennej, uzbrojone w rakiety Kindżał (podobno nie do strącenia przez żaden system antyrakietowy), zmasakrowałyby wszystkie nasze porty bez większego trudu, a gdyby jeszcze rosyjskie okręty Floty Bałtyckiej wystrzeliły rakiety manewrujące Kalibr... Lepiej nie myśleć o tym. A o czym się myśli? Jak to o czym — o Forcie Trump załatwiającym „full security”. ©©

Waldemar Łysiak

Przemysław
Sadowski

Kamilla
Baar-Kochańska

Antoni
Pawlicki

ECHO SERCA

PREMIERA
WTOREK 21:40

TVP 1